

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 177.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1885.

SERYA VI.

Luty.

TOM I. — ZESZYT II.

WARSZAWA.  
W Drukarni Józefa Bergera.

Ulica Elektorska. Nr. 14.

— 421 —

*Ukończono druk dnia 6 lutego 1885 roku.*

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Walka z socjalizmem. Studium d-ra Bron. Łozińskiego . . . . .	161
II. Jan Ernest Smoler (1816 — 1884). Przez W. Bugusławskiego. . . . .	194
III. Moje wspomnienia. Ustęp z niewydanych Pamiętników Leona Dembowskiego. (Ciąg dalszy). . . . .	221
IV. Hesty O'Grady. Pwiesć oryginalna, osnuta na tle stosunków obecnych w Irlandyi. Napisał Działosza. (Ciąg dalszy). . . . .	236
V. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. — Dzieła uwieńczone na konkursie akademii francuzkiéj: „Dzieje rycerstwa,“ przez Leona Gauthier.—„Życiorys Johanny, córki Ludwika XI,“ p. Maulde.—„Kancelrz Maupeou i Parlamenta,“ p. Juliusza Flammermont. — „Jan de Witt, wielkorządzca Holandyi,“ p. Lefèvre Pontalis. — „Kardynał Carafa,“ p. Jerzego Duruy. — „Zarysy wschodnie“ J. Darmstettera. — „Obr az literatury francuzkiéj za pierwszego cesarstwa,“ p. Merlet. — „Młodość pani d'Epina y i ostatnie jej lata,“ p. Percy. — „Życie marszałka Bugeaud,“ p. hr. Ideville. — „Rivarol i społeczeństwo francuzkie podczas rewolucyi i emigracyi,“ p. Lescure. — Przekłady: „Komedye Plauta;“ „Sen Poliphila i t. d.; „Spiewnik historyczny XVIII wieku,“ p. Emila Raunie. — „Korespondencya Chapélin'a,“ p. Taming de Lorroque. — „Wiek XVI we Francyi,“ p. Arsena Darmstetter. — „Żargon XV wieku,“ p. Augusta Vitu. — Uwieńczeni poci: Lecomte de Lisle, Ernest Hervilly, Charot, Fryderyk Mistral. — „Błąd Izabeli,“ powieść pani Maryan. — „Podróż do Ziemi świętój,“ p. Wiktoryna Guerin. — „Turysta na zapadłym Wschodzie,“ p. Cotteau. — „Korespondencya Jouberta,“ p. Pawła de Rainal. — „Listy Drozona,“ p. Pawła Droz. — „Życiorys generała Chanzy,“ p. Chuquet. — „Śmiech, zarys psychologiczny,“ p. Ludwika Philibert. — Położenie klas roboczych w różnych krajach,“ p. René Lavolée. — „Literatura angielska,“ p. Augusta Filon.—„Wychowanie moralne i obywatelskie przed rewolucyą,“ p. księdza Sicard. — „Dziennik samotnika,“ Ksawerego Thiriot.—Przyjęcie Fr. Coppée do Akademii francuzkiéj.—„Listy Guizota do rodziny,“ wydane przez córkę p. de Witt.—Św. Franciszek z Asyżu,“—„Boska komedyą,“ z ilustracyą Sturlera.—„Wybrzeża Francyi,“ p. Aubert.—Etnograficzne obrazy z gór Auwernii. — Rozmaitości. . . . .	255
VI. Kronika londyńska. Z życia społecznego, z literatury, sztuki i nauki.—Zima. — Taniósć artykułów spożywczych. — Zgoda stronnictw parlamentarnych. — Projekt ustawy nowego rozkładu mandatów	



De. II. 1.

## WALKA Z SOCYALIZMEM.

STUDYUM

*D-ra Bronisława Łozińskiego.*

### I.

Gdyby kto zebrał bez komentarza definicje socjalizmu z dzieł naukowych, wydanych w okresie, kiedy już walka z socjalizmem stała na porządku dziennym wszystkich niemal rządów europejskich, otrzymałby nie pouczające zestawienie, lecz szereg sprzeczności, tak widocznych nawet dla oka niefachowego, że wobec chwiejności tej dyagnozy możnaby wątpić o trafności środków leczniczych, zalecanych społeczeństwu przeciw tej groźnej chorobie współczesnej. Zestawienie dokładne tych sprzeczności nie leży w planie tej rozprawy, ale dla ilustracji potrzebnym jest bodaj dorywcze przytoczenie przykładów z niektórych dzieł, które w ostatnich czasach większą na siebie zwróciły uwagę.

Zaczynamy od książki, która powinna stanowić najbliższe dla nas źródło informacyjne, od wydanej w r. 1883 rozprawy prof. d-ra Leona Bilińskiego („O istocie, rozwoju i obecnym stanie socjalizmu”). Definicja socjalizmu, podana przez prof. Bilińskiego, brzmi apodyktycznie i jest tak dobitna, że utkwic musi w pamięci czytelnika, który szuka tylko informacji bez zamiaru dalszego studyowania rzeczy. „Socjalizm — mówi prof. Biliński — nie chce uznać potrzeby ani ładu hierarchicznego, ani opartego na prawie własności prywatnej systemu gospodarstwa społecznego. Niepomny ani przyrodzonej nierówności fizycznych i duchowych własności człowieka, ani różnicy między wolnością i samowolą, chce on stworzyć jakąś równość i wolność bezwzględną przez całkowite zniesienie religii i rodziny w republice robczej, mniej lub więcej anarchicznej. Niepomny dalej prawidła historycznego, iż z postępem cywilizacji następuje, zwłaszcza przy zie-

mi, ciągła przemiana własności zbiorowej w prywatną, stanowiącą najpotężniejszy bodziec do pracy i dalszego postępu cywilizacji, niepomny téż faktu, stwierdzonego świetnym doświadczeniem stu lat ostatnich, iż oparta na tém prawie budowa społeczna, potrzebuje przy swojej nadzwyczajnej skuteczności technicznej jedynie pewnych dodatnich rękojmi na rzecz klasy roboczej, aby się stać niemal doskonałą—chce socjalizm zburzyć całą tę budowę, chce własność indywidualną przełać na państwo, chce z państwa zrobić przedsiębiorcę generalnego i temu państwu roboczemu—lub w razie anarchii stowarzyszeniom roboczym poruczyć zaopatrywanie społeczeństwa we wszystkie potrzeby. Zniesienie pieniędzy i handlu, procentu, czynszu, renty i płacy, a przemiana wszystkich ludzi w przymusowych urzędników rządowych, to tylko dalsza konieczna konsekwencya głównej zasady. I otóż dążenie do takiego radykalnego przewrotu dzisiejszej budowy społecznej przez zniesienie państwa, religii, rodziny i prawa własności prywatnej, a to przy pomocy tradycyjnego od r. 1796 środka rewolucyi politycznej i społecznej, to i tylko to jest treścią socjalizmu właściwego. A o ile nauka popiera podobne dążenia wespół ze środkami do ich zrealizowania i stara się je uzasadnić ze stanowiska teoryi ekonomicznej, o tyle się wyłamuje i stanowczo wydziela z wielkiej nauki ekonomii społecznej i o tyle, ale tylko o tyle stanowi odrębną naukę socjalizmu.”

W téj definicyi widocznie ujęte są już wszystkie rodzaje dążności do gwałtownego przewrotu stosunków społecznych. Najsakrajniejszy komunizm i zbrodniczy anarchizm współczesny zupełnie pomieszczają się w ramach powyższych.

Weźmy teraz książkę innego profesora, głośnego w świecie naukowym, Emila Laveleya. Sam tytuł książki („Socjalizm współczesny”) wskazuje, że czytelnik szukać w niej może szczegółowej i ścisłej informacji. Dla naszego dorywczego zestawienia poglądów i wykazania sprzeczności między niemi ważną jest jeszcze i ta okoliczność, że prace profesorów dr. Bilińskiego i E. Laveleya o socjalizmie są prawie równoczesne. Czemże jest socjalizm? — pyta E. Laveleya i taką daje odpowiedź: „Nie spotkałem nigdzie ani jasnej definicyi ani nawet bliższego określenia tego wyrazu. Można uchodzić za socjalistę dla najrozmaitszych powodów. Gladstone od czasu zniesienia praw rolnych dla Irlandyi uważany jest przez konserwatystów irlandzkich za socjalistę najgorszego gatunku. Bismarck, przyjaciel Lasallea i Schäfflega, autor nienawistnego projektu, żeby za monopol od tytoniu utworzyć kasę wsparcia dla niezdolnych do pracy robotników, nie może się obronić od zarzutów, jakoby był socjalistą, czemu zresztą wcale nie przeczy. Ministrowie, którzy niedawno we Francyi projektowali, ażeby państwo wzięło na siebie eksploatacyą wszystkich dróg żelaznych, byli niewątpliwie socjalistami. Nareszcie od czasu głośnych szkiców Bastiata niewątpliwym jest dla każdego stronnika wolnego handlu i dla każdego prawowiernego ekonomisty, że ktokolwiek jest

przeciwnikiem wolnego handlu, został zarażony socjalizmem i komunizmem. Proudhon, niechcąc bynajmniej wzmocnienia wpływu państwa, domagał się jego obalenia w imię anarchizmu. Nie byłże więc socjalistą? Po dniach czerwcowych 1848, Proudhon mówi do prezesa trybunału, który go przestuchiwał, że rozmyślał o wzniosłych okropnościach kanonady.

— Ale — rzecze prezes — czyżes pan nie socjalistą?

— Niezawodnie, panie prezesie.

— Jeżeli tak, to czémże jest socjalizm?

— Wszelkie dążenie do poprawy doli społeczeństwa — odparł Proudhon.

— W takim razie — dodał bardzo słusznie prezes — wszyscy jesteśmy socjalistami.

— Ja właśnie tak rozumiem — zawnioskował Proudhon.

„Definicja Proudhon'a — dodaje Laveleye — jest za obszerna; brakuje jej dwóch znamion. Naprzód każda doktryna socjalistyczna zmierza do zaprowadzenia większej równości w warunkach społecznych, a powtóre do urzeczywistnienia tych reform przy pomocy prawa czyli państwa. Socjalizm ma skłonności do równania i niwelacji. Nie przypuszcza on, ażeby sama swoboda mogła sprowadzić królowanie sprawiedliwości. Rozsądni ekonomiści przyznają, że w społeczeństwie istnieje wiele złego i krzywd rozmaitych, ale sądzą, że te niedole zmniejszą się pod działaniem „praw przyrodzonych” i zbawienych następstw zasady *laisser-faire*. Chrystyanizm potępia bogactwo i nierówność całą mocą, tak samo jak i socjalizm, tylko że się nie do państwa odwołuje, gdy chodzi o zaprowadzenie królestwa sprawiedliwości. Socjalista jest pesymistą. Lubuje się on w podnoszeniu ujemnych stron stanu społecznego. Pokazuje, jak silny depce słabego, jak bogacz wyzyskuje ubogiego, jak nierówność staje się coraz cięższą i bardziej krzyczącą. Wzdycha do idealnego świata, w którymby szczęście było odmierzane proporcjonalnie do pracy i świadczonych usług. Ekonomista jest optymistą. Nie twierdzi on wprawdzie, że wszystko na świecie jest doskonałym, sądzi jednak, że człowiek, pilnując własnego interesu, już tém samém jaknajdzielniej przykłada się do spraw ogólnych i że ze swobodnej gry egoizmów wynika jaknajpiękniejsza harmonia. Według niego zatem pozostaje tylko jedno do zrobienia: usunąć wszelkie przeszkody i zredukować wpływ państwa i rządu do minimum. Świat własnym ruchem zdąży do możliwej doskonałości. Socjalista odwołuje się do sprawiedliwości narzuconej przez prawo, ekonomista do własnego interesu jednostki.“

Na tém kończy Laveleye określenie istoty socjalizmu i przystępuje potem do przedstawienia jego genezy i rozwoju. W tém określeniu nie tylko niema mowy o dążności do „radykałnego przewrotu dzisiejszej budowy społecznej przez zniesienie państwa, religii, rodziny i prawa własności prywatnej,“ co według dr. Bilińskiego stanowi kryterium właściwego socjalizmu, lecz owszem, znajdujemy wprost

twierdzenie, że „każda doktryna socjalistyczna zmierza do zaprowadzenia większej równości w warunkach społecznych przy pomocy prawa, czyli państwa.“ Mamy więc sprzeczność w oczy bijącą. Jeden autor (dr. Biliński) ma widocznie na oku i na myśli tylko anarchistów jako typowych przedstawicieli socjalizmu, drugi zaś (Laveleye) tylko mniej lub więcej lojalnych propagatorów równości społecznej, chociaż w dziele swoim nie pomija także ani internacyonału ani najświeższego produktu socjalistycznej doktryny, anarchizmu.

Jak Laveleye w stanowiącej dalszą część dzieła obszerniej charakterystyce różnych odcieni socjalizmu niejako wypiera się swojej łaskawej definicji wstępnej, tak samo i dr. Biliński w dalszej części pracy swojej daje czytelnikowi do zrozumienia, że uznaje także inny rodzaj socjalizmu, do którego nie ma zastosowania, definicya na wstępie podana. Nazywa bowiem wyraźnie „jedynie racjonalnym kierunkiem polityki socjalnej“ słowa ks. Bismarka wypowiedziane w parlamencie berlińskim dnia 15 czerwca 1882 r.: „W ogóle musi się państwo przyzwyczaić do nieco zwiększonej dozy socjalizmu. Byłoby to wielkiem zaniedbaniem obowiązków prawodawstwa, gdyby ono (z obawy przed rzekomym socjalizmem) nie dążyło do reform na polu kwestyi roboczej. Wszakże socjalizmem (w dobrém znaczeniu) było także nadanie chłopom wolności, socjalistyczną jest każda eksproporcycyacja na korzyść kolei, socjalistyczną w najwyższym stopniu jest komasacya, socjalistyczne całe ustawodawstwo dla ubogich, przymus szkolny i drogowy.“

Dr. Ludwik Gumplowicz w znamienitem dziele swoim o stosunku socjalizmu do panującej teorii państwa praworządnego (Rechtsstaat und Socialismus), określa pojęcia socjalizmu w sposób nadzwyczaj jasny dla każdego czytelnika i trafny ze stanowiska teorii autora, który genezy państwowego i społecznego ustroju szuka jedynie w podbojach i w opanowaniu słabszej rasy, słabszego szczepu, w ogóle słabszej grupy syngenetycznej przez silniejszą. Ponieważ w teorii państwa praworządnego zasada równości odgrywa rolę pryncypalną a dr. Gumplowicz jako zadanie wytknął sobie postawienie dowodu, że socjalizm z tej teorii wysnuł całą dzisiejszą swoją racyą bytu, przeto temi słowy charakteryzuje socjalizm: „Co do celów socjalizmu nie może istnieć żadna wątpliwość. Cele są te same, jakie zakreśla sobie komunizm, to jest zniszczenie zupełnej równości między ludźmi na polu ekonomiczném, skoro takowa na polu politycznym została już zasadniczo wszędzie uznana. Tylko pod względem środków wiodących do celu tego różni się socjalizm od swojego poprzednika, brutalnego komunizmu. Socjalizm porzuca komunistyczną ideę równego rozdziału własności i posiadania jako na razie niewykonalną i zajmuje stanowisko więcej umiarkowane, z którego zapobiedz chce tylko wyzyskiwaniu pracy przez kapitał. Socjalizm wskazuje jako przyczynę nędzy ludzkiej, nie nierówność własności i posiadania, lecz tylko system gospodarczy oparty na prywatnym kapitale, który posiada niezaprzeczono-

ną dążność do wzrastania kosztem pracy pozbawionej środków i do strącania klas pracujących w coraz większą nędzę. Jestto roztropna taktyka socjalizmu, że porzuca postulat komunizmu co do zniesienia własności w ogóle, jako źródła nierówności i żąda tylko zniesienia prywatnego kapitału. Ścisłe rzecz biorąc, chodzi tu o rzecz jedną i tę samą: o ziszczenie równości i o równouprawnienia indywiduów, co teoria państwa praworządnego uważa za punkt wyjścia. Wszystkie postulata i pomysły socjalizmu streszczają się przecież w idei równości i równouprawnienia, z którą nie daje się to pogodzić, żeby jeden miał mniej pracować a więcej używać, kiedy tymczasem drugi mniej, lub wcale nie pracuje a więcej używa. Jeżeli na tém polu ziścić się ma równość i równouprawnienie, to każda praca otrzymać powinna odpowiadający ściśtemu stosunkowi wymiar używania.“

Jestto określenie niezawodnie jasne, ale obudzić musi w każdym czytelniku pytanie, czy w ten sposób rzecz została wyczerpana. Socjalizm bowiem tak pojmowany, byłby tylko produktem równoczesnym, nieznanym zupełnie przed zwycięstwem idei równości wywalczonem jak wiadomo dopiero przed niespełna stu laty w wielkiej rewolucyi francuskiej. Tak rzeczywiście pojmują i przedstawiają rzecz dr. Biliński i dr. Gumpłowicz; ale już Laveleye widzi w rewolucyi francuskiej tylko nową erę lecz nie sam początek socjalizmu a jeżeli dla dalszej ilustracyi niezgodności poglądów naukowych weźmiemy w kombinacyę jeszcze jedno dzieło (dr. R. Meyera „Der Emancipationskampf des vierten Standes), z którém pod względem obfitości nowego i wielce pouczającego materiału oraz głębokich poglądów, mało współczesnych prac na tém polu może iść w zawody, to znajdziemy przed sobą całkiem odmienny, nietylko dalszy lecz i szerszy horyzont naukowy. Określenie socjalizmu przez dr. Meyera zasługuje na obszerniejszą uwagę, bo znakomite to dzieło mało jest u nas znane.

„Teoria socjalizmu — mówi dr. Meyer — jest wprawdzie odwieczną, ale w każdym okresie czasu odmienną od dawniejszej. Teoria komunizmu zaś jest o wiele prostsza i zawsze jednakową. Komunizm wychodzi z zasady, że wszyscy ludzie co do swęj istoty są sobie równi a w skutek tego, powinni mieć także równe prawo do używania życia, oraz równy udział w materialnych i idealnych dobrach. Powszechnie rozumie się pod komunizmem wskrzeszenie pierwotnego stanu ludzkości, co równa się absolutnej negacyi państwa, społeczeństwa i rodziny. Socjalizm natomiast jest dążeniem do reformy ekonomicznego ustroju społeczeństwa według ideału, który w danęj chwili przyświeca. Uznaje on zatem społeczeństwo, państwo i rodzinę; opiera się na naszęj, tysiące lat trwającęj kulturze i nie chce poświęcić żadnych jęj zdobyczy. Komunizm spotykamy sporadycznie w okresach szczególnie silnego wzburzenia, socjalizm zaś stanowi siłę historycznie działającą. Socjalizm stosuje się w każdym okresie do panujących stosunków gospodarczych, jego wymagania są zatem w każdym okresie inne, ale mimo to mają cel wspólny. Wszyscy wielcy prawodawcy

wprowadzali w życie pewne zasady socyalne, Raumer mówi, że wszyscy starali się zapobiedz, aby w ich państwie nadto wielkie bogactwo jaskrawo nie odbijało od nadto wielkiego ubóstwa.“

Kwestyą socyalizmu w chwili dzisiejszej tak określa dr. Meyer:

„Kwestya społeczna terażniejszości streszcza się w pytaniu, czego chce i co osiągnąć może stan czwarty? Przywyczajono się kwestyą społeczną nazywać chorobą i wskutek tego szukać środków leczniczych. Jestto frazes, z którym żadną miarą pogodzić się nie mogę. Kwestya, którą postawiła rewolucya francuzka w poprzedniém stuleciu i która obecnie mniej więcej wszędzie jest rozwiązana, opiewała jak wiadomo: *qu'est ce que le tiers état?* W tém pytaniu mieściło się także i to, czego chce i co osiągnąć może stan trzeci? Trzeci stan chciał wyzwolić się pod każdym względem z pod ucisku feudalizmu i osiągnąć w ten sposób polepszenie swojego bytu materialnego. Właściwy cel ruchu znajdował się zatem na polu ekonomiczném. Środki jednak służące do osiągnięcia tego celu ekonomicznego były natury politycznej. I tutaj rozwiązano kwestyą ekonomiczną politycznie za pomocą liberalizmu. Użyto do tego siły, która zatem była matką chrzestną liberalnego okresu. Liberalizm oznacza panowanie trzeciego stanu, t. j. stanu jednostek samodzielnie zarobkujących, a w szczególności kapitalistów jako panów na całym obszarze produkcyi. Skończoną formę państwową dla takiego liberalnego ekonomiczno-politycznego społeczeństwa stanowi republika konserwatywna à la Thiers, jednakże ile możności bez powszechnego równego prawa wyborczego lub konstytucyjna monarchia pozorna według wzoru angielskiego albo belgijskiego z prawem wyborczém, które census oznacza. Liberalizm osiągnął swój cel i polityczny. Trzeci stan panuje faktycznie. W państwach, w których istnieje jeszcze reszta dawniej powagi, w których stara dynastya tron zajmuje, liberalizm także wykonywa faktyczne panowanie, gdyż wskutek swojej kapitalistycznej natury zastrzegł sobie prawo budżetowe i broni go jako najświętszej zdobyczy swojej. Liberalizm położył rękę na skarbie i w ten sposób owdądnać usiłuje militarizm, gdzie tenże stanowi jeszcze ostatnią podporę tronu. Liberalizm ułatwił nadmierne zadłużenie się państw z wielu powodów, mianowicie dlatego, że zadłużone i ciągle nowe długi zaciągające państwo staje się zupełnie zależnym od potęg finansowych, dalej dlatego, że procent od długu państwowego przedstawia ciężar nałożony na producentów, mianowicie na robotników (pośrednie podatki konsumcyjny), ciężar pobierany na rzecz posiadaczy renty. Ekonomicznego celu nie osiągnął jeszcze liberalizm, ale pod panowaniem obecnego systemu politycznego dokonywa się bez przerwy społeczny czyli ekonomiczny przewrót lub rozwój, który krótko nazwać można pochłonięciem, zniszczeniem, wywłaszczeniem małych samodzielnych egzystencyi gospodarczych przez wielkie. Coraz więcej wzmacnia się panowanie kapitału i coraz więcej zmniejsza się liczba rąk, do których dostaje się kapitał. Jeżeliby ten system bez



przeszkód cały wiek panował, to w końcu mielibyśmy małą liczbę ściśle ze sobą połączonych, ile możliwości spokrewnionych milionerów, którzy panowaliby nad resztą ludzi z zachowaniem mnóstwa form liberalnych i konstytucyjnych. Ci władcy kapitalistyczni byłiby kosmopolitami krwi najczystszej. Powstałoby nowe niewolnictwo, naj-srozsze, jakie kiedykolwiek istniało, niewolnictwo, w którym pan nie byłby interesowany zachowaniem życia i zdrowia swojego niewolnika. To nowoczesne niewolnictwo widzimy już na pozornie samodzielnych egzystencyach ekonomicznych, na głęboko zadłużonych przedsiębiorcach drobnych. Żaden niewolnik nie pracował tak ciężko dla pana swojego, jak taki dłużnik dla swojego wierzyciela. Już Macaulay powiedział, że niewola dłużnika jest naj-srozsza ze wszystkich. Zwycięzki stan trzeci coraz więcej ścieśnia swoje szeregi. Pierwsze dwa stany złamał politycznie, a teraz stopniowo wywłaszcza je i zniża ich uczestników na swoich urzędników, robotników, dzierżawców, dłużników. Jako kres tego ruchu przedstawia się społeczeństwo złożone z dwóch tylko stanów, wielkich kapitalistów i proletaryuszy z najrozmaitszym stopniowaniem. Proletaryusza charakteryzuje nie tylko jego ubóstwo, lecz jeszcze więcej niepewność egzystencji. Walka stoczona przez stare stany z trzecim prowadzona jest jeszcze tu i owdzie słabo i bez nadziei przez niedobitków. W Niemczech miejski stan średni, rzemieślniczy, już zaniechał téj walki, a w Austrii podejmować ją się zdaje napowrót—dla cechów przymusowych. Do niedawna jeszcze bez oporu pozostawiał pole wielkiemu producentowi, fabrykantowi. Nawet samoistny przedsiębiorca prowadzący produkcją w średnich rozmiarach chętnie chroni się pod skrzydła wielkiego kapitału, zrzeka się samoistności dla stanowiska urzędniczego w jakim towarzystwie akcyjnym, które odkupuje jego posiadłość i urządza się pod auspicjami potęg kapitałowych, banków lub domów bankowych. Taki dawniej samoistny przedsiębiorca a dziś urzędnik, to proletaryusz pierwszej klasy. Od ostatniego robotnika w fabryce różni się on nie istotnymi znamionami, lecz tylko wyższą zapłatą za robotę. I on należy już do téj klasy obywateli państwa, których nazwać można czwartym stanem w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu. W miarę zmniejszania się liczby członków stanu trzeciego, właściwie pierwszego, wzrasta się liczba członków stanu czwartego, dziś właściwie drugiego, który według większości członków nazywamy stanem proletaryuszy. Ten czwarty czyli drugi stan podjął walkę przeciw trzeciemu czyli pierwszemu. Ta walka dwóch klas społeczeństwa jest nieuniknioną, rozwojem społeczeństwa w pewnym kierunku wytworzoną i dla dalszego rozwoju społecznego w pewnym cywilizacyjnym, a więc przez Boga wytkniętym celu niezbędną. Z téj walki rozwinię się nowy porządek społeczny i to nie w tym lub owym kraju lecz we wszystkich państwach cywilizowanych.“

Na tém urywamy już cytaty. Wystarczają one zupełnie do objaśnienia wstępnej uwagi o panującej nawet w literaturze naukowej

niejasności. lub co najmniej chwiejności w ścisłym określeniu, lub przynajmniej odgraniczeniu pojęć, których wyrazy czyta i słyszy się dziś na każdym kroku w najróżnorodniejszej dążności. Jestże to skutek chwiejności w pojmowaniu samej istoty rzeczy, jej znamion i zakresu, czy tylko objaw nieustalonej terminologii? I jedno i drugie. Literatura o socyalizmie, i to ta poważna naukowa a nie broszurowa na propagandę obliczona literatura, jest już dziś rozległą, wzrasta nieustannie i pod naciskiem dzisiejszego prądu wzrastać nie przestanie, a mimo to i dziś zamiast uproszczenia i rozjaśnienia spotykamy w objawionych poglądach i teoryach coraz większą rozmaitość. O świecie dziennikarskim i o pojęciach panujących nawet w inteligentnych, ale niefachowych kołach już wspominać nie potrzeba. Któż nie spotyka się na każdym kroku z sprzecznościami! Jedni na samo wspomnienie socyalizmu w ogóle zdają się widzieć już kres cywilizacji i zupełną zagładę społecznego ustroju, inni rozszerzają to pojęcie na reformy społeczne w ogóle i sam socyalizm w antytezie do komunizmu stawiają jako zadanie, ciężące na każdym państwie, jego ustawodawstwie i administracji.

Ujednostajnienie i ustalenie poglądów jest w ogóle niemożliwe, dopóki socyalizm, jak to dziś się dzieje, odgrywa rolę jednego z najważniejszych motorów w grupowaniu się i w walce stronnictw na tle politycznym, a nadto wciągnięty został w grę tak zacieklej propagandy, na jaką mało od dawna społeczeństwo nie było wystawione. Tak samo przekreśleniu i zamąceniu ulegają wszystkie inne hasła polityczne. Konserwatyzm, liberalizm, postępowość — wszystko to bywa określone tak, jak to w danej chwili jest potrzebnym, wszystko to naginać się musi do widoków i planów politycznych stronnictw. Socyalizm wybornie się nadaje do tego, żeby w oczach ogółu niewtajemniczonego i niebadającego rzecz do głębi służył raz za straszdyło, a zaraz potem, jeżeli chwilowe widoki tego wymagają, przedstawiony był jako szczytne zadanie społeczeństwa. Największy mąż stanu chwili dzisiejszej ks. Bismarck dostarcza na to najlepszego dowodu. Nikt tak czarno nie odmalował szatana socyalistycznego jak kanclerz niemiecki, kiedy chodziło o przeparcie w parlamencie ustawy wyjątkowej przeciw socyalistom, a nikt znowu tak śmiało jak ks. Bismarck niepostawił zasady, że państwo musi dziś zaordynować sobie pewną dozę socyalizmu. Temi słowy i zgodnemi z ich duchem projektami późniejszemi, kanclerz niemiecki stworzył osobny rodzaj oficjalnego socyalizmu. Tak samo obszedł się ks. Bismarck z postępem. Ileż to razy dawniej jednym chórem wtorowały jego mowom wszystkie postępowe żywioły całego świata. A teraz z mowy kanclerza z 29 maja, 1884 r. świat dowiaduje się, że postęp a nihilizm to rzecz jedna i ta sama, bo nihilizm stanowi tylko „klimatyczny gatunek postępu“ (eine klimatische Abart des Fortschrittes)!

Cóż wreszcie jest prawdą? Jak wygląda ten socyalizm, który

zasługuje na potępienie i ściganie, a jak ów, z którego pewną dozę ks. Bismarck państwu dziś zapisuje?

Jeżeliby, jak Proudhon zapewniał sędziego swojego, socjalizm znaczył tyle, co dążenie do poprawy doli społeczeństwa, to nietylko, jak odparł na to ów sędzia wszyscy bylibyśmy socyalistami, lecz w ogóle niemożnaby było tego pojąć, jakim sposobem teraz dopiero miałyby państwo nie z własnej inicjatywy, lecz pod naciskiem zatrważających wypadków i symptomów społecznego rozstroju godzić się na pewną dozę socjalizmu. Czyż kiedykolwiek i gdziekolwiek wytykano państwu cele sprzeczne z dążeniem do poprawy doli społeczeństwa, lub przynajmniej częściowo odmienne od tego dążenia? Panowały różne systemy polityczne zupełnie sprzeczne ze sobą, spisano całe biblioteki o istocie i zadaniu państwa, ale nigdy i nigdzie żaden mąż stanu, żaden polityk, żaden uczony, w ogóle nikt nie odważył się powiedzieć, żeby państwo w jakiegokolwiek formie nie uważało uszczęśliwienia ogółu w miarę możności i w obrębie danych stosunków za swoje główne, pierwsze zadanie. Definicje państwa mogą znacznie różnić się i rzeczywiście różnią się w określeniu nietylko subtelnych, lecz i zasadniczych znamion lub granic pojęcia, różne systemy polityczne i formy rządów mogą stanowić przeciwieństwa i rzeczywiście nieraz jaskrawo odbijają od siebie, lecz to wszystko odnosi się tylko do środków ale nie do celu. Absolutna monarchia i demokratyczna republika, rząd ultrakonserwatywny i ultrapostępowy—każdy po swojemu t. j. swojemi drogami i środkami, ale do jednego zmierza celu. Jednostki dzierżące chwilowo ster w swoim ręku mogą mieć samolubne, nawet zgubne aspiracje na oku i do nich naginać swoje dyspozycje, ale takie sporadyczne zboczenia jednostek nie mogą stanowić negacji ducha instytucji i to takiej instytucji jak państwo, które powstało razem z ludzkością i jak najdoskonalsza forma społecznej egzystencji stworzyło całą cywilizację.

Ale uszczęśliwienie wszystkich stanowi ideał, który jak każdy ideał ma tę właściwość, że jest niewykonalny na widowni ludzkiej i środkami ludzkimi. Można się zbliżyć do tego ideału, ale osiągnąć go niepodobna nigdy. Wskazanie drogi i środków najwięcej zbliżających do ideału w danej chwili, stanowi wyższe zadanie wszystkich czynników, wypełniających życie państwowe, wspólne tło wszystkich programów polityczno-społecznych. Na tém polu powstał, rozwinął się i zorganizował ten socjalizm, który uchodzi dziś za synonim zupełnego przewrotu istniejących urządzeń i stosunków. Ideał absolutnej równości wszystkich ludzi uważany za najprostsza i najpewniejszą drogę do uszczęśliwienia całej ludzkości, jednym posłużył za podstawę do stawiania fantastycznych horoskopów, innym zaś za punkt oparcia w rozpoczęciu destrukcyjnej propagandy. Szlachetni w gruncie, ale jak się pokazało szkodliwi swoją nauką marzyciele i przewrotni agitatorowie, stworzyli z ideału niedoścignionego postu-

lat terażniejszości, który pochwycony przez wszystkich malkontentów stał się straszną dla całego społeczeństwa groźbą.

Dr. Wawrzyniec Stein pisząc przed trzydziestu laty, a więc w okresie zupełnie odmiennym i o tyle spokojniejszym od dzisiejszych czasów, swoje znakomite dzieło o ruchu społecznym we Francji (*Geschichte der sozialen Bewegung in Frankreich*) od r. 1789 aż do chwili bieżącej, zapatrywał się jeszcze także idealnie na socjalizm, nazywając go ogółem systemów, pomysłów i badań, które mają na celu wyniesienie pracy na stanowisko czynnika panującego nad kapitałem, na stanowisko zasady porządkującej ustrój społeczny. Dr. Stein nie mógł się wtedy wydziwić, jak inny znakomity autor odważył się obwiniać socjalizm o zamiar zniszczenia indywidualności, skoro on przeciwnie głosi zasadę, że każdy winien mieć udział w produktach stosownie do swojej zdolności, pracy i uczesnictwa w kapitale. Ale już i wtedy, na następnej zaraz stronie, dr. Stein doszedł do wniosku otwierającego widok na przepaść, w jaką socjalizm ze swoją zasadą równości musiałby wtrącić społeczeństwo. Mówi bowiem autor wyraźnie, że kapitał będący owocem pracy, właściwie samą pracą, nie da się wziąć pod panowanie pracy. Z tego też powodu socjalizm — oto słowa dr. Steina — „zostaje zmuszony do podniesienia całego szeregu projektów, których treścią jest mniej lub więcej zniesienie prywatnej własności. Pod tym względem socjalizm, przechylający się do komunizmu, wykazuje błąd swój najdobitniej.“ A więc już przed 30 laty pewnie nieuprzedzony a niezrównany w głębokiej bystrości badacz ustroju społecznego widział w socjalizmie rodzzonego brata komunizmu i wroga własności prywatnej, chociaż wtedy socjalizm nie zdradził się był jeszcze ze swojemi aspiracyami i lepiej mógł przybierać pozę zbawienną dla ludzkości dotkryny.

Przeniesiona tedy ze sfery nieuchwytnych marzeń na grunt realnej propagandy, zmieniona z ideału, o którego urzeczywistnieniu na seryo się nie myśli, w formalny program całkowitego przekształcenia budowy społecznej, idea zupełnej równości wszystkich ludzi na polu ekonomicznym, od razu przedstawiła się jako negacya tych urządzeń państwowych i społecznych, wśród których ludzkość wzrosła i ucywilizowała się, w których widzi nie tylko najpewniejszą, lecz jedyną rękojmię nietylko dalszego rozwoju lecz w ogóle bytu swojego. O ile, ale tylko o ile dążenie do reform społecznych bezpośrednio lub pośrednio wytyka sobie jako cel ostateczny absolutne zrównanie ludzi pod względem ekonomicznym, należy mu się nazwa socjalizmu w tym złym znaczeniu, które uprawnia państwo i społeczeństwo do użycia wszelkich środków własnej obrony. Szczerze i otwarcie wywiesił sztandar równości komunizm, który też uważany być musi za typowy okaz socjalizmu. Zgnieciony we wszystkich swoich próbach przeprowadzenia własnego programu siłą i mocą, komunizm przybierać zaczął maski, które miały go uczynić podobnym do stanowczej wprawdzie, ale nie tak jaskrawo destrukcyjnej reformy ustroju społecznego. Or-

ganizacja pracy ludzkiej, emancypacja pracy z pod tyranii kapitału i t. p., oto hasła przejściowe, podniesione tylko dla obalamienia trwożliwej opinii, oto maski przybrane w tym tylko celu, aby dostać się na szerszą widownię pracy publicznej, zająć silniejszą pozycję i z niej stopniowo zdobywać dalszy teren. Socjalizm, w złém znaczeniu, jest tedy zamaskowanym komunizmem, łagodniejszym od niego w formach, mniej groźnym w bezpośrednich następstwach tryumfu, ale zato daleko niebezpieczniejszym z tego powodu, że nie wyjawiając ostatecznych celów swoich i nieuniknionych konsekwencji w połowie tylko odsłoniętego programu, w błąd wprowadza umysły mniej czujne a mniej przenikliwe omamia nawet dźwięcznymi frazesami, że zęcnie wyzyskuje wrażliwość i łatwowierność dla swojej propagandy nawet w kołach inteligentnych a przytém umie wyśliznąć się z pod kontroli i ramienia prawa, że jedném słowem niejako krytą, boczną drogą, bezpiecznymi manowcami dotrzeć usiłuje tam, dokąd z tym samym zamiarem i planem dostać się nie mógł brutalny, bo otwarty komunizm wstępny bojem, niejako szturmem, krwawo odpartym przez państwo za kilkakrotnym nawrotem. Trzeci z rzędu, najświeższy produkt propagandy na tle zupełnej równości, anarchizm, najlepiej ilustruje całą negację obecnego ustroju społecznego, jaka wynika naturalnie i nieodwołalnie z wymarzonej równości. Komunizm działał najotwarciej, bo zabierał się wprost do niszczenia wszystkich urządzeń, zapowiadając równocześnie nową, fantastyczną na mrzonkach opartą budowę społeczną, socjalizm stopniowo chce podkopać i rozebrać główne podwaliny obecnjej budowy a plan nowjej ukrywa aż do chwili, gdy już to, co istnieje nie dałoby się ani spoić napowrót ani podtrzymać, anarchizm zaś najbrutalniejszy i najzacieklejszy zarazem, zniszczyłby wszystko za jednym zamachem nawet bez planu na przyszłość w przekonaniu, że jakakolwiek potém nastąpi organizacja społeczna, zawsze lepszą będzie od tēj, jaka istnieje dzisiaj jako organiczny produkt cywilizacji, opartej na nierówności.

Czy zamaskowana i dopióro z konsekwencji wysnuwająca się, czy otwarcie wypowiedziana—zasada zupełnej równości ludzi na polu ekonomiczném stanowi główne kryterium tego socjalizmu, który jako nieprzejednany wróg dzisiejszej organizacji społecznej i całego na nierówności opartego rozwoju cywilizacyjnego ludzkości, jest wszędzie i na każdym kroku ścigany przez państwo, idące za instynktem zachowawczym. Dopóki zasada równości nie wychyla się lub nie przebija przynajmniej z jakiego programu, produktem socjalizmu nazwać go nie można, chociażby podyktowany zbyt gorączkową chęcią rychłego poprawienia doli robotnika lub w ogóle polepszenia stosunków ekonomicznych między klasami społecznymi, zawierał za śmiałe i za stanowcze rady. Odnosi się to do tēj kategorii mężów stanu, polityków i myślicieli, którzy za swoje pomysły reform, dziś już częściowo w Niemczech i w Austrii w życie wchodzące i z pewnemi zmianami dalej forytowane, uchodzili dawniej jako „socyaliści,” państwowi lub

z katedry. To zamącenie pojęć powstało ze zbytnej lęklivości, i u s u m właściwego socjalizmu, który doskonale umiał już wyzyskać takie zamącenie w obec mniej inteligentnego ogółu i nadal go wyzyskiwać nie przestanie. Prawda, że chodzi tu tylko o słowa a nie o rzecz samą, o nazwę a nie istotę rzeczy; ale może to nie mieć znaczenia gdzieindziej tylko nie u nas, gdzie nawet w inteligentniejszych kołach dotąd niestety chociażby tylko znajomość fundamentalnych zasad umiejętności o państwie i społeczeństwie bywa tak często uważaną niemal za zbytzną specjalność naukową. Jeżeli to ma jaką dobrą stronę, to chyba tę, że dobrze świadczy o dzisiejszym stanie naszego społeczeństwa. Gdyby ono było zagrożone socjalizmem w cokolwiek wyższym stopniu, chociażby nie tak jak np. w Niemczech i we Francji, pewnie nawet ogół nauczyłby się poznawać i odróżniać zgubny socjalizm od reform, które właśnie zapobiedz mają zamachom destrukcyjnym.

Co socjalizm czyni najstraszniejszym, to fakt, że walczy on hasłem entuzjazmującym ogół, zakrawającym na najszczytniejszy ideał a w rzeczywistości streszczającym w sobie tylko negację wszystkich urzędzeń, wśród których ludzkość wznosi się bez przerwy na coraz wyższy stopień cywilizacji — że walczy hasłem równości! Gdzież jest umysł prostaczy, któryby olśniony odrazu tém hasłem, zechciał i potrafił w drodze refleksyi poznać całą grozę, jaką wszelki eksperyment praktyczny w téj mierze przedstawia? Że ziszczenie zasady równości jest niemożliwe, że tylko chwilowo mógłby przewrót socjalistyczny zniwelować społeczeństwo a zaraz potem musiałby doprowadzić do reakcyi stokroć straszniejszej, bo do reakcyi pod hasłem *va e victis*; to socjalizm uważa za postrach tylko, ale tego nie odparł dotąd, bo nie postawił wykonalnego programu nowej organizacyi społecznej, bez instytucyi własności a w dalszej konsekwencyi bez państwa, rodziny i kościoła, jednem słowem, bez tych wszystkich fundamentalnych urzędzeń, które zasada równości wyrzuciłaby za jednym zamachem, wprowadzając natomiast stan zdziczenia, nazywany w języku propagandy stanem pierwotnym, lub naturalnym.

Poruszyliśmy kwestyą, której ze względu na dalsze uwagi pominiąć niepodobna, która jednak sama dla siebie stanowi zagadnienie, od wieku niemal rozpatrywane przez najgłębszych myślicieli w najlepszej wierze, z szczerem zamiarem przekonania się, czy wydobywająca się na wierzch z taką siłą doktryna socjalistyczna o równości jest wykonalną bezwzględnie, lub przynajmniej w drodze kompromisu z ustalonymi już urzędzeniami bytu społecznego. Ograniczymy się do przytoczenia najgłówniejszych rezultatów tych badań i to tylko o tyle, o ile one konieczne są do zrozumienia dalszych uwag.

Zasada równości, stanowiąca w ostatecznych wynikach wspólny cel socjalizmu i komunizmu, zawiera stanowczą negacyą państwa a więc najdoskonalszej formy organizacyi społecznej. Można się różnić w umiejętném określeniu istoty, celów i zadań państwa, można

do tyłu już istniejących definicji państwa dodać wiele nowych, mniej lub więcej nagiętych do aspiracji socjalistycznych, wszystko to nie ma znaczenia w obec historycznie stwierdzonego faktu, że w każdym państwie, jakie dotąd istniało, wszystkie urządzenia opierały się i opierają na nierówności. Nierówność ta wytwarza cały ustroj hierarchiczny, uwydatniający stosownie do formy konstytucyjnej mniej lub więcej dobitnie zależność jednej a wyższość drugiej t. j. rządzącej kategorii plebion, stanów, klas, czy jednostek. Ów „pierwotny stan,“ na który powołują się marzyciele socjalistycznego kroju, stanowi tylko fantasmagoryę, którą każdemu wolno sobie wyobrazić w innych barwach. Dokąd jednak historia rzuca światło, wszędzie spostrzegamy opartą na nierówności organizację państwa a bez takiej organizacji, chociażby w formie nieuduszonej, historia nie zna ludzkości.

Komuniści i socjaliści powołują się na pewne przykłady historyczne, mające wrzekomo stanowić dowód, że zasada równości jako podstawa społecznego i państwowego ustroju jest możliwą, bo już tém nieraz była. Za takie przykłady służyc mają między innymi stosunki, które przed Chrystusem panowały w społeczeństwie żydowskiem, w Sparcie i Krecie a po Chrystusie w pierwszych gminach chrześcijańskich, następnie w różnych klasztorach i sektach średniowiecznych. Trafnie odpowiada na to dr. Gumpłowicz, że przykłady te czerpane ze Sparty, Krety, Palestyny i t. d., nie stanowią dowodu wykonalności mrzonek komunistycznych, lecz raczej są tylko odmiennymi, właściwymi swojej epoce formami państwowego ustroju. Taka wspólność ekonomiczna bowiem, panowała zawsze tylko w szczepie, lub klasie panującej nad innymi i stanowiła niejako rekojmię trwałego panowania. Było to tylko ścisłe połączenie się żywiołu panującego w jedną zwartą całość, aby rola panująca mogła być dochowana i przekazana przyszłym pokoleniom. Jeszcze mniej za przykład służyc mogą gminy chrześcijańskie z pierwszych lat po Chrystusie i różne związki, sekty i korporacje średniowieczne. Obejmowały one bowiem tylko wybrane jednostki ale nie ogół, stanowiły organizacją pewnych kół ale nie społeczeństwa całego, miały motywa i cele powiększej części duchowe ale nie polityczne. Z komunizmem i socjalizmem w tej formie, w jakiej one wystąpiły przed światem od czasu wielkiej rewolucji francuskiej, powyższe organizacje nie mają nic wspólnego. Tak komunizm bowiem jak i socjalizm ma przed sobą materyalne dążności i rozciąga swój plan na całe państwa, bo mówi o uszczęśliwieniu ludzkości.

Jeżeli historia ma być powołaną na świadectwo, to znajdziemy w bliższym nam okresie właśnie dosadne dowody niewykonalności mrzonek komunistycznych i socjalistycznych o równości. Owe falanstery według pomysłu Wiktora Consideranta z wspólnem gospodarstwem, miały swój okres szczęśliwy, w którym wszystkie okoliczności sprzyjać się im zdawały. Na najlepszym do takich eksperymentów grun-

cie, w Ameryce, najznakomitsi ludzie około roku 1840 pracowali nad urządzeniem falansterów bez przeszkód ze strony rządu, owszem przy ogólnej pomocy. Z 31 falansterów z trudem urządzonych, do szczęścia lat ślad nie pozostał. Podobny los spotkał eksperyment Cabeta z koloniami komunistycznymi, także na gruncie amerykańskim podjęty. Jedyna kolonia, która kilka lat istniała w pierwotnej organizacji, wyparła się swego założyciela. Słusznie poczytuje to prof. Biliński Ameryce za zastugę, że znosiła podobne eksperymenta. „Bez nich bowiem — mówi ten autor — stałby świat może do dziś jeszcze przed rzekomymi ideałami, których złe rządy nie chcą dopuścić ze szkodą dla uszczęśliwienia rodu ludzkiego. Dzięki natomiast wolnomyślności amerykańskiej, stwierdzono tylko mnogimi doświadczeniami to, co z góry zawsze twierdziła nauka, że choćby wrodzony człowiekowi indywidualizm zechciał kiedykolwiek abdykować dobrowolnie na rzecz wspólności dóbr, to jeszcze wtedy nawet musiały się objawić ponownie w zabójczych dla gmin komunistycznych sporach religijnych, politycznych, administracyjnych lub gospodarczych.“ A jaki byłby rezultat tych sporów? Najpierw sroga dyktatura, bo wreszcie znalazłaby się wyższa jednostka, zdolna do zapanowania nad masą, potem zaś reakcja i powrót do stanu zburzonego, po gruzach cywilizacji. Gdyby to jeszcze dał się wynaleźć w Ameryce teren neutralny, na którym pozwolono by socyalistom całego świata odbyć wyższą próbę ogniową, to jest zorganizować się w państwo, czy jaką „wspólność“ idealną! Gdyby to można taką próbę urządzić i wskrzesić dla niej Lasallea i Marxa, dwóch genialnych bohaterów socyalizmu! Skończyłoby się pewnie tylko na — walce o panowanie między dwiema dynastjami. Powstałoby państwo takie samo jak wszystkie inne pod prezydenturą lub może nawet pod berłem jednego z tych dwóch apostołów socyalizmu, z których każdy za życia wśród agitacyjnej karyery, na każdym kroku zdradzał żądze panowania i to panowania absolutnego! Gdyby taka próba była możliwą! Poczyłaby ona słabe umysły więcej aniżeli całe biblioteki! W jednej z ostatnich mów swoich ks. Bismark powiedział, że na taką próbę ofiarowałby jedną prowincję.

Słusznie powiedział dr. Stein, że nie można przypuścić, aby jaki umysł światły i gruntowny mógł uważać równość ludzi za kwestję filozoficznie rozwiązaną i stwierdzoną, że owszem każdy taki umysł musi dojść do wyniku wręcz przeciwnego i spostrzedz błąd kardynalny tych dociekań filozoficznych, które równość wzięty za punkt wyjścia jako pewnik już żadnej nieulegający wątpliwości i ztąd dalej snuć zaczęły wnioski. Z równością jako postulatem społecznym rozprawił się ten sam uczoney w swoim znakomitým, już poprzednio zacytowanym dziele o Francji i w innych pracach tak dosadnie, że po ich przeczytaniu uzna się przekonany każdy światły i gruntowny umysł. Wywody filozoficzne w pracach naukowych d-ra Steina, traktujących o organizacji społeczeństwa, grupują się około pojęcia, charakteru i przeznaczenia indywidualności ludzkiej. Kto nie jest w stanie



wznieść się razem z autorem na zajętą przezeń wyżynę filozoficzną, dojdzie do równych wyników za głosem zdrowego rozumu i trzeźwej refleksyi, byle tylko nie zamglili sobie przedtém umysłu ponętnymi utopiami marzycieli społecznych lub efektownymi tyradami burzycieli ustroju społecznego. Gdzież jest ta równość wrzekomo naturalna? Nie ma jej ani w świecie zwierzęcym ani w roślinnym, bo na dwóch napozór zupełnie równych sobie przedmiotach obserwacyi, bystre oko spostrzeże wiele a wiele różnic. To rzecz tak jasna i jawna, tak łatwo w codzienném życiu stwierdzić się dająca na każdym kroku, że dłużej nad nią rozwodzić się nie potrzeba. Wobec takiej różnorodności powszechniej, tylko człowiek miałby stanowić wyjątek i posiadać już z natury wszelkie wymogi zupełnej równości? Właśnie przeciwnie się dzieje. Zanim jeszcze człowiek rozwinię się w indywidualność z wybitnym charakterem, z odrębną miarą zdolności i z odrębnymi przymiotami, przywarami i popędami, więc w stanie, który napozór najwięcej zbliżony jest do równości, t. j. w początkowym okresie życia, począwszy od chwili przyjścia na świat, nierówność jest ogólną i uderzającą. Nierówny jest z natury zapas sił żywotnych i nierówny wymiar warunków przyszłego rozwoju. A jak jaskrawo uwydatnia się ta nierówność w właściwościach fizycznych na każdym kroku od kulebki aż do grobu! Nie mówimy już o obserwacyi na takim mrowisku ludzkim, jakie stanowią wielkie miasta. Weźmy na uwagę tylko jaknajciaśniejsze kółko rodziny. Gdzież jest taka idealna rodzina, w której wszyscy członkowie byłiby sobie równi w właściwościach fizycznych i duchowych?

Słusznie powiedział dr. Gumplowicz, że kwestyja równości stanowi sprawę, o którą chyba z Bogiem lub przyrodą, jak komu wiara dyktuje, rozprawić się można. Niech szaleńcy, którzy w swoich zamachach na społeczeństwo powodują się tylko materjalizmem, wymogą najpierw na swoim bóstwie, na przyrodzie, aby nie było ani ułomnych z urodzenia, ani chorowitych, skazanych na krótkie życie, aby wszyscy przychodzili na świat z równym zapasem sił fizycznych i umysłowych, niech zamienią w ten sposób odwieczny i niezmienny porządek rzeczy, a równość w posiadaniu i używaniu wejdzie w zastosowanie bez wszelkich dalszych wysiłen, jako najnaturalniejsze następstwo zmiany!

## II.

Bilższe poznanie stosunków i okoliczności, którym socjalizm w znaczeniu otwartej negacyi obecnego ustroju społecznego zawdzięcza tak nadzwyczajny rozkwit w czasach dzisiejszych, stanowi zarówno jak poznanie samej istoty socjalizmu temat, posiadający już całą bibliotekę. I tutaj zdania krzyżują się i tutaj trudno dojść do pewników, ale różnice nie mają już charakteru otwartych, nawet zbliżyć się do siebie niedających kontrastów. Główna różnica zdań objawia się

w tém, co główną stanowi przyczynę złego a co tylko dodatkowo przyczyniło się do spotęgowania złych skutków, co wymaga najpierw działania zaradczego a co już potem samo z siebie w naturalnej konsekwencji stać się musi. Dla uchylenia złego, dla zażegnania niebezpieczeństwa i wyboru środków, do tego celu wiodących, jestno pytanie tak samo ważne, jak poznanie przyczyn choroby indywidualnej.

Jeżeli się weźmie zasadę niwelacyjną, reorganizacją a raczej dezorganizacją społeczeństwa na podstawie równości wszystkich ludzi, to wielka rewolucya francuzka przedstawiać się musi jako kolébkka socjalizmu, nie tego idealnego, niejako książkowego socjalizmu, który całe wieki przedtém miał już swoich sentymentalnych a nawet na pozór systematycznych przedstawicieli i wytwarzał różne dotąd jeszcze poniekąd ciekawe utopie, lecz tego brutalnego socjalizmu, który, stanawszy raz na szerszej widowni z charakterem motora społeczno-politycznych ruchów, tylko chwilowo dawał się ztamtąd zepchnąć, a od drugiej połowy bieżącego stulecia już nie myśli o ustąpieniu, lecz o pokonaniu czynników, składających się na obecny porządek i ustrój społeczny.

Ideał równości wszystkich ludzi przyświecał zawsze całym pokoleniom, pielęgnowany był zawsze na tle moralném lub poetyczném, ale ludzkość krzepiła się tylko widokiem tego ideału i uważała go jak każdy ideał za—rzecz nieuchwytną i niewykonalną. Rewolucya francuzka postawiła jednak zasadę równości w formie programu wykonalnego, a gdy w stanie politycznej ekstazy społeczeństwo francuzkie na chwilę zdawało się być zupełnie na téj zasadzie przekształconém i gdy inne społeczeństwa porwane hasłami Zachodu burzyć zaczęły podstawy dotychczasowego ustroju, aby przyswoić sobie zdobycze ruchu francuzkiego, zdawało się, że idea równości raz na zawsze jest utrwaloną. Szczegółowe fazy tego wielkiego procesu dziejowego, który pod względem politycznym we Fracyi wcale się jeszcze nie skończył, lecz tylko zmienił się w chroniczną rewolucyą, nie wchodzi w zakres tych rozpatrywań. Dla nas wystarczy tutaj samo skonstatowanie, że jedna z konsekwencji zasad rewolucyi francuzkiej, mianowicie zasady równości w formie powszechnego prawa głosowania, zrobiła właśnie w ostatnich czasach wielki postęp, zapanowała w samym środku Europy, w cesarstwie niemieckim.

Któż nie zachwycał się prawem powszechnego głosowania w chwili, gdy ono zdawało się być jutrzenką nowego wielkiego przeobrażenia państw, ich zbliżenia się do ideałów filozoficznych? Któż dziś jeszcze nie żywi tego zachwyty, dopóki się znajduje w uprzywilejowanym okresie marzeń i optymizmu, dopóki umysł z obłoków idealnych pobieżnie tylko spogląda na rzeczywistość?

Powszechne prawo głosowania, jako prawne sformułowanie zasady absolutnej równości na polu życia publicznego, oparte zostało na iluzyi i doprowadzić musiało do rozczarowań, które wyborczą oddały

usługę propagandzie, skierowanęj ku zniszczeniu całej obecnej organizacji społecznej i wytworzeniu nowęj.

Uznanie zasady równości na polu życia politycznego, ujęte w popularną i ponętną formę powszechnego głosowania, a zatęm z powszechnego i równego udziału w stanowieniu o losach spraw publicznych państwa wogóle, ma i mieć zawsze będzie znaczenie tylko fikcyjne, dopóki nie opiera się na społecznęm urzeczywistnieniu równości, a więc na równym podziale dóbr, co znowu niezmienna i niezachwiana na tym punkcie rzeczywistość przedstawia jako ideał, do którego wzdychać wolno, którego jednak osiągnąć niepodobna. Państwo i społeczeństwo nie stanowią dwóch odrębných światów, z których każdy mógłby mieć odrębnę prawa i ustrój odmienny. Społeczeństwo bez organizacji, której najdoskonalszą formę stanowi właśnie państwo, przestałoby być społeczeństwem i zamieniłoby się w niekształtny konglomerat, mający chyba w hordach swój typ historyczny. Państwo zaś jako najdoskonalsza forma bytu społecznego nie da się pomyśleć bez społeczeństwa, chyba jako abstrakcja. Taką abstrakcją słusznie tęż nazwał dr. Gumpłowicz owo państwo, które dr. Stein w przedmowie do swojego dzieła o ruchu społecznym Francji przeciwstawia społeczeństwu, upatrując w państwie reprezentanta wolności, a w społeczeństwie reprezentanta zależności, ugruntowanęj w stosunkach życia ekonomicznego, mianowicie w zależności klas nieposiadających od klasy posiadającęj. W antytezie tęj, świetnie pod względem pisarskim przeprowadzonęj, przedstawiają się nie dwa pojęcia, dwie rzeczy odrębnę, lecz tylko jedna i ta sama rzecz w dwojakim charakterze, rzeczywistym i idealnym. Owo państwo, przeciwstawione społeczeństwu, jest właściwie ideałem, przeciwstawionym rzeczywistości. W ideale państwa mieści się najwyższe udoskonalenie, uszczęśliwienie, a więc zrównanie wszystkich ludzi w doskonałości i szczęśliwości. Na państwie rzeczywistęm z nieubłaganą konsekwencją faktyczny ustrój ekonomiczny wyciska piętno swoje i przenosi w stosunki polityczne tę zależność, jaka w życiu wytwarza nierówny rozkład dóbr. Klasy posiadające, wpływem swoim wznoszą się z konieczności na stanowisko panujące, a o ile, w jakim stopniu i pod jakimi warunkami pewne jednostki z klas nieposiadających lub całe te klasy przypuszczone są do pewnego, mniej lub więcej ograniczonego współdziałania w rozstrzyganiu o losach spraw publicznych i państwa, to już stanowi odrębną właściwość każdęj konstytucji. Pod tym względem zachodzi taka różnorodność, jak różnorodnie kształtują się stosunki ustroju ekonomicznego w każdym kraju. Takie abstrakcyjne odróżnianie społeczeństwa od państwa, jest w dalszych konsekwencyach wprost niepodobne. To tęż nawet dr. Stein w zacytowanęj już rozprawie niejednokrotnie zdaje się zapominać o swojęm fikcyjnym państwie jako świecie urzeczywistnienia wolności indywidualnęj, gdyż ostrzega wyraźnie, że nigdy reforma polityczna, wprowadzająca nowe warstwy na pole życia publicznego w charakterze równouprawnionych czynników, nie

powinna zakreślać sobie ram szerszych od téj podstawy, jaką dla téj reformy wytworzyły w społeczeństwie stosunki ekonomiczne. Po za te ramy sięgnął ruch społeczny we Francyi i dlatego tak rychło po politycznej emancypacji trzeciego stanu, który w rewolucyi francuzkiej wywalczył sobie tylko konsekwencye polityczne zdobytej już dawno przedtém dojrzałości społecznej i ekonomicznej, wystąpiła na widownią i rozwinęła się tak groźnie kwestya emancypacji stanu czwartego, emancypacji, nieograniczającej się już do samego wymiaru swobód politycznych, lecz sięgającej po utopią zupełnej niwelacji społecznej.

Jakżeż masy mogły poprzestać na saméj niwelacji pod względem politycznym, jakżeż nie miały obudzić się daleko sięgające aspiracye ekonomiczne, skoro przyjęta w prawie powszechnego głosowania zasada równości stanowi dotąd formę bez treści, niejako pretensyą bez wierzyciela, dopóki nie opiera się na równości ekonomiczno-społecznej? Skoro równi jesteśmy na jedném polu, to dlaczegóż panować na taka jaskrawa różnica pod względem rozdziału dóbr, skoro milioner ma taki sam głos jak robotnik bez kondycyi, to ten ostatni powinien mieć równy z pierwszym udział w posiadaniu dóbr, a skoro jest możność opanowania władzy, to należy z tego skorzystać i przez wymuszoną niwelacją społeczno-ekonomiczną stworzyć treść dla formy, podstawę dla zawieszonej w powietrzu równości politycznej. Tak musiał rozumować cały proletaryat, przejęty popularnemi hasłami propagandy socjalistycznej, a że rozumowanie to trafia odrazu do przekonania, na to klasycznym świadectwem są ostatnie wybory do niemieckiego parlamentu, wykazujące wzrost głosów socjalistycznych w stosunku, przewyższającym nawet wszelkie oczekiwania pesymistyczne. Szlachetni zwolennicy prawa powszechnego głosowania twierdzili napozór trafnie, że trzeba ogół zainteresować dla spraw państwa i zająć go życiem publiczném, aby w ten sposób mógł nie drogą spisków lub erupcyi rewolucyjnych, lecz legalnie przedstawić swoje życzenia. Powoływują się na stan, który poprzedził wielką rewolucyę francuzką, na zabójczą dla dawnego porządku negacyą wszystkich ustępstw, o które upominał się stan trzeci. Praktyka odbyta w ostatnich wyborach niemieckich nie poraz już pierwszy wykazała, że rachuba ta nie ma żadnej podstawy. Masy zgłodniałe i rozpasane w swoich zachceniach przez propagandę socjalistyczną, pojęty zrównanie na polu politycznym nie jako ustępstwo dobrowolne, lecz jako wymuszony mały zadatek na to, co się im należy, na zupełne przekształcenie porządku społecznego tak, aby równość polityczna otrzymała swoją treść, t. j. równość ekonomiczno-społeczną, aby do zaspokojenia pretensyi uznanéj zgłosił się dłużnik, którego dotąd nie było. Tym dłużnikiem jest w oczach socjalizmu tylko państwo, więc do niego zwraca się już nie z prośbą, lecz z somacyą. Opanowanie władzy państwowej jest dla niego celem, bo rzecz naturalna że w takim razie mógłby osiągnąć to, co nieraz już zdobyć usiłował,

przebojem, ale zawsze daremnie i zawsze z bolesnemi doświadczeniami. Każda kampania wyborcza pod systemem powszechnego głosowania stanowi skuteczną propagandę socjalistyczną, bo pod osłoną swobód konstytucyjnych, na podstawie zasadniczych praw konstytucyjnych wolno wobec tysięcy wypowiedzieć śmiało, otwarcie i dobitnie to wszystko, co w małej tylko części nie dało się przemycić zapomocą broszur i pism ulotnych. Jeżeli jeszcze do tego kampania wyborcza skończy się jak w r. 1884 w Niemczech wyborem kilkunastu zdeklarowanych socjalistów i jeżeli wybrani zorganizowani są w osobną frakcyą parlamentarną z dostateczną liczbą głosów do stawiania samoistnych wniosków, rozwiną w parlamencie ruchliwą akcyę — to już nie da się pomyśleć większa sprzeczność między obecnym stanem rzeczywistym a tą tendencyą do walki z socjalizmem na każdym punkcie, jaką dziś wszystkie rządy postawiły na pierwszym miejscu w swoich programach. W parlamencie bowiem można dopiero rozwinąć propagandę, daleko intensywniejszą i skuteczniejszą nawet od tej, jaką stanowiła już sama kampania wyborcza. Frakcyą posłów socjalistycznych może wszystkie swoje herezye społeczne ubrać w formę wniosków i doprowadzić do tego, że muszą być rozbierane i komentowane wobec świata całego. Przy każdej takiej sposobności można w uzasadniającej mowie wyrecytować to wszystko, co zawierają pokonfiskowane broszury i pisma agitacyjne. A prokurator musi na to patrzeć z założonemi rękoma, jeżeli zasadnicze prawa konstytucyjne mają być uszanowane, a wszystko to potem za pośrednictwem prasy rozchodzi się po świecie i jedna nowych ochotników dla armii antyspołecznej! Prawda, że i strona przeciwna może wszystko wypowiedzieć, ale ponętne zdania socjalistów trafiają odrazu do przekonania ogółu, bo wypowiedziane na temat codziennego życia są dla każdego, nawet prostaczego umysłu, przystępne, kiedy natomiast wywody przeciwnej strony są czytane i rozumiane tylko tam, gdzie już wcale nie potrzeba zadawać antidotum, t. j. w kołach wyższej inteligencji.

Właśnie w czasie, gdy zwycięzka na polu politycznego życia idea równości otworzyła propagandzie socjalistycznej szerokie pole i utworzyła jej drogę aż do parlamentów pod zupełnie bezpieczną osłoną swobód konstytucyjnych, dokonywała się niepostrzeżenie ale nieustannie w stosunkach ekonomicznych zmiana zupełna, rażąco sprzeczna z nowym prądem politycznym i tą sprzecznością swoją właśnie najzgubniejsza dla pokoju społecznego. I nauka i polityka, i ekonomiści i mężowie stanu długo, nawet zadługo żyli w złudzeniu, że liberalizm ekonomiczny, otwierający najszersze pole konkurencyi i największą swobodę wszelkim systemom i rodzajom nowoczesnej produkcji, sam w sobie, w swoich prawidłach z doktrynerską subtelnością rozwiniętych, zawiera najskuteczniejsze środki zaradcze na usunięcie sprzeczności i stopniowe wyrównywanie powstających różnic. Nie wglądnięto w porę w skutki zgubne, bo hasło *laissez faire laissez*

passer stanowiło dogmat nienaruszalny. Dopiero pierwsze wyraźne wstrząśnienia, zapowiadające kataklizm porządkowi społecznemu, ocknęły i naukę i politykę z długoletniego kwietyzmu, w którym upatrywano szczyt mądrości ekonomicznej.

Ale ta rażąca sprzeczność między stanem politycznym a ekonomicznym wymaga bodaj pobieżnej charakterystyki i genetycznego objaśnienia. Wyręczymy się w tej mierze streszczeniem jednego ustępu z dzieła Laveleya o socyalizmie społecznym. Autor ten bowiem umiał krótko a jedynie scharakteryzować sytuację nie ze stanowiska stosunków jednego tylko kraju, lecz z ogólnego punktu widzenia. Oto charakterystyka przez Laveleya podana.

Kiedy teoretycy przyznają wszystkim ludziom równe prawa, równocześnie zmiana sposobów produkcji wywołuje równie głębokie zmiany w losie pracowników, gdyż z pod istniejącej od wieków opieki dostają się w stan większej zależności i chociaż pod względem politycznych ogłoszeń za wszechwładnych, w ustroju ekonomicznym spadają na stanowisko najemników. Nastął porządek kapitalistyczny: ztąd powstał społeczny socyalizm. Kapitał wzrastając ciągle spotęgował w dziesięćkroć siłę środków produkcyjnych i sumę produktów, ale za to ujarzmił pracę. Maszyny pomogły kapitałowi dokazać cudów, ale pracownika, który ich nie posiada, wzięty w niewolę. Dawne uprzywilejowane zamknięte w sobie cechy nadawały pracy charakter własności, porządek kapitalistyczny zaś zmienił ją w towar, którego cena spada według prawideł podaży i popytu, który często nawet wcale nie znajduje nabywcy. Ztąd wynikła zmienność i niepewność zarobku, ztąd owe bezrobocia wydające całe rodziny na pastwę głodu. Los rolnika i część owoców jego pracy, które może dla siebie zachować, były niegdyś również zwyczajem regulowane; dzierżawy czasowe i wieczyste, daniny w naturze nie ulegały zmianie, a zatem było zabezpieczenie. Był rolnika nie zależał od twardego prawa konkurencji. Obecnie dzierżawą rządzi prawo popytu i podaży tak samo jak i pracą. Wprawdzie robotnik był przykuty do ziemi, ale na tej samej ziemi miał prawo żyć i umierać. Niegdyś wieśniak miał w gminie schronisko opiekuńcze. Gmina była nietylko pojęciem terytoryalnem ale zarazem instytucją ekonomiczną, którą zarządzali sami jej mieszkańcy. Czém gmina po wsiach dla wieśniaków, tém po miastach były cechy dla rzemieślników. Zapewniały im pracę, zbyt i utrzymanie. Wspólne prowadzenie interesów, wiece, uroczystości wiązały ścisłym węzłem pracowników tego samego rzemiosła. W mieście zarówno jak na wsi producent był panem narzędzia produkcji, a kapitał znajdował się w ręku pracujących. Robotnik bez węzłów łączących go z całą klasą społeczeństwa lub z ziemią, niemający zabezpieczonego jutra, słowem najemnik, nie był znany a dziś stanowi on formę typową, w której przedstawia się główny czynnik produkcji, praca. Słowem, kiedy dawniej los tych, których ręce tworzą wszelkie bogactwo, był osłoniiony pewną tarczą zwy-

czajów, dzisiaj zależy od zmienności targu, od walki konkurencji t. j. od woli właścicieli i kapitalistów. Żyjemy w takich stosunkach, że każdy może dowolnie zawierać umowy, ale w każdej umowie strona dostarczająca rzeczy niezbędnych do życia i pracy, t. j. kapitał, będzie dyktować warunki i to tak, żeby renta była jaknajwyższą a zarobek jaknajniższym. Dzisiaj, gdy spadły owe tradycyjne i zwyczajowe tamy, które osłaniały słabych i wydziedziczonych, nastąpił w świecie ekonomicznym rząd prawa Darwinowskiego, czasy walk o byt, niczém niehamowanej. Najsilniejszy przeważa, a najsilniejszym w tej sferze jest najbogatszy.

Jeżeli teraz zważymy zmiany dokonane w stosunkach społecznych, dzięki rozwojowi przemysłu, to przekonamy się, że te same wpływy ekonomiczne, które czynią ludzi równiejszymi sobie, prowadzą równocześnie do antagonizmu między pracodawcą a robotnikami, i że tym sposobem przyczyna, sprowadzająca zwycięstwo demokracji sprzyja też rozwojowi socjalizmu.

Przypomnijmy sobie, jak się odbywała praca przemysłowa w wiekach średnich. Weźmy na przykład przemysł wełniany, który z Anglii i Flandryi wytwory swoje wysyłał w świat cały i który dał początek potężnym i ludnym gminom. Niektóre winiety na rękopismach pozwalają odtworzyć mieszkanie rzemieślnika. Siedzi on za warsztatem i tka sukno, dzieci koło niego sposobią przędziwa a żona przędzie na kołowrotku. Praca więc odbywała się w domu, majster pracował własnoręcznie przy pomocy rodziny i kilkorga czeladzi, a wystarczał mu niewielki kapitał. Ukształcenie, stan, sposób życia i myślenia tak majstra jak i robotników były bardzo podobne. Przywileje cechowe mogły doprowadzić do nieporozumień, ale nie wyradzały antagonizmu warstw społecznych, ponieważ tak majster jak i współpracownicy jego należeli do tego samego stanu. Wprawdzie pod koniec wieków średnich wzrost bogactwa i nierówności wywołał pośród gmin flandryjskich, a jeszcze więcej pośród włoskich, walkę wielkich z małymi, ale były to współzawodnictwa cechów ubiegających się o pewne przywileje polityczne, nie zaś radykalny antagonizm między kapitalistą a robotnikiem, ani domaganie się zrównania stanów.

Dzisiaj produkcji dokonywa wielki przemysł, noszący zupełnie inne znamiona. Robotnicy muszą opuszczać swoje domowe ogniska i rodziny, zbierać się gromadnie w wielkich warsztatach, około mechanicznego motora, wprawiającego w ruch niezliczone maszyny i przyrządy, które dziesięć a nawet sto razy potęgują siłę ludzką. Robotnik fabryczny, dokonujący jedynie wysiłku masykularnego i niejako automatycznego, spadł niżej od dawnego czeladnika i terminatora, a równocześnie przemysłowiec-naczelnik zakładu podniósł się bez porównania wyżej od dawnego majstra. Czy to właściciel fabryki, czy tylko jej dyrektor — każdy rozporządza ogromnemi kapitałami i jak generał dowodzi armią pracowników. Jest on bogaty lub hojnie opłacany, powinien posiadać znaczne wiadomości techniczne, wolę

silną, któraby nakazywała posłuszeństwo licznym podwładnym, znać potrzeby krajów zagranicznych. rozległość targu i chwiejne stosunki handlowe nietylko obok siebie, lecz i na całym świecie z powodu ścisłej łączności między wszystkimi krajami pod względem obrotu. Ukształcenie, stanowisko, sposób życia, piastowanie władzy sprawiają, że dzisiejszy naczelnik przedsiębiorstwa należy do innego świata w porównaniu ze swoimi robotnikami. Czasem uczucia ludzkości lub zasady chrześcijańskie wpływają na niego tak, że widzi w nich jedynie uboższych braci: bądź co bądź jednak, między obiema stronami niema nic wspólnego, są one dla siebie obce. Możeby pryncypał nieraz chciał podnieść płacę robotnika i polepszyć jego dolę. Nie może tego uczynić, bo konkurencya zmusza go do znizienia ile możności kosztów produkcji. Stosunki, które się wytworzyły w teraźniejszym przemyśle między kapitalistą a robotnikiem doskonale wyłożył pewien fabrykant przed komisją angielską, badając stosunki związków robotniczych. Dowodził on, że leży to w interesie przemysłu, aby mnóstwo robotników szukało zajęcia, gdyż w ten sposób cena pracy ręcznej spada a równocześnie dochód wzrasta. Dodał przytém ten rzeczoznawca, że często powiększał zyski swoje zastępując robotników uczniami. Gdy go spytano, co się jego zdaniem dzieje z ludźmi odprawionymi i z ich rodzinami odrzekł: Nie wiem, polegam jednak na działaniu praw przyrodzonych, które rządzą społeczeństwem! W tej odpowiedzi streszcza się panująca do niedawna doktryna ekonomiczna. Chrystyanizm byłby inną dał odpowiedź.

Tak więc przemysł w miarę doskonalenia sposobów produkcji, zaprowadzenia coraz więcej machin i rozdrabniania podziału pracy, poprawia dolę klas niższych dostarczając im tanięj fabrycznych wyrobów, ale równocześnie kopie coraz większy przedział między kapitalistą a robotnikiem. Wielkie fabryki zgniotły rzemieślnika, drobnego przedsiębiorcę, małego przemysłowca. Ci, których nazwano baronami finansowymi i przemysłowymi, stali się panami świata ekonomicznego.

Jest oprócz tego inna jeszcze przyczyna, z której wynikają dążenia socjalistyczne, mianowicie !nietrwałość położenia, obawy i nieumiarkowane żądze. Nietrwałość jest wynikiem równości cywilnej i wolności zawierania umów. W wiekach średnich każdy był przykuty do swojego miejsca, ale równocześnie miał los jako tako zapewniony. Robotnika zabezpieczały od konkurencyi przywileje cechowe, więc nie było ani przesileni ani bezrobocia. Położenie drobnych handlujących było równie zabezpieczone. Wysoko ponad temi klasami stała szlachta feudalna żyjąca w swoim świecie odosobnionym i niedostępnym. Tym sposobem społeczeństwo było całkowicie spętane siecią swoich tradycyjnych zwyczajów. Było ono wprawdzie znieruchomione, ale stałe. Była to organizacya warstw ułożonych na sobie, podobna do tej, która dawnemu Egiptowi dała tak trwałą fundament



i wiek tak długi i która zarówno w Egipcie jak i tutaj dźwignęła tak godne podziwu pomniki.

Nie można zaprzeczyć, że dziś materyalny byt ludzi jest lepszy. Niegdyś cierpienia jednostek były czasem bardzo wielkie, ponieważ gwałtu możnych niepowściągała wszechwładna opiekuńcza ręka państwa, ponieważ brakło handlu i nauki, by zaradzić głodowi i chorobie. Społeczeństwu dokuczały nieustannie wojny domowe, dziesiątkowały je peryodycznie głód i zarazy, ale w czasach zwyczajnych dusze były spokojne, a w porze próby zrezygnowane. Wszystkie te instytucje średniowieczne, będące równocześnie i przeszkodami i ochroną, znikły. Równość i wolność przyznane wszystkim zniwelowały grunt, na którym teraz zapanowała rozpetana powszechna konkurencja. Te powszechne wyścigi są przyczyną wszelkiego postępu, potężną sprężyną pracy przemysłowej, źródłem naszego znaczenia, ale równocześnie wywołują nieustającą gorączkę, ciągły niepokój, powszechną chwiejność stosunków. Nikt ze swojego losu nie jest zadowolony, nikt jutra pewny. Bogaty chce zostać bogatszym, żyjący z pracy obawia się, że ją straci. Każdy jest wolny, każdy twórcą szczęścia i nieszczęścia własnego, niema już klas społecznych zamkniętych w sobie, lub rzemiosł niedostępnych. Równość wobec prawa jest uznana, ale nierówność faktyczna istnieje po dawnemu i tym więcej drażni, ile że każdemu wolno zapragnąć wszystkiego. Zawiedzionych nadziei jest tym więcej, im więcej ich obudzano. Wszyscy mogą dojść do tego lub owego, ale nie wszyscy dochodzą, a ci którzy zostali u dołu zazdroszczą i złorzeczą tym, którzy się ponad nich wzbili. Niegdyś ludzi nie trawiła taka gorączka zmiany stanu, gdyż nie widzieli możliwości zmiany. Nie mieli takiej żądzy górowania i bogactwa, bo to leżało poza sferą dla nich dostępną. Ponieważ los ich na ziemi był niejako z góry zakreślony, przeto nadzieje swoje zwracali do innego świata. Teraz chcą już na tej ziemi być szczęśliwi i gotowi są niszczyć wszystko, co stawia przeszkodę urzeczywistnieniu równego podziału przyjemności ziemskich. Nadto ludzie tegocześni pożądają bogactwa zawzięciej aniżeli dawniej, gdyż bogactwo stanowi główne wyróżnienie od innych i zapewnia więcej przyjemności. Dzisiaj dawne stosunki życzliwe między panami a służbą, między właścicielami a dzierżawcami gruntu znikły. Właściciel i kapitalista mają tylko jeden cel t. j. powiększyć swój dochód i pod tym względem rządzą się zasadami ekonomii prawowiernej. Z drugiej strony dzierżawcy i robotnicy zaczynają się coraz więcej przejmować zawiścią do swoich pryncypałów. Walka między klasami społecznymi tak okropnie srożąca się w Irlandyi jest jeszcze w toku, a już wszędzie w Europie podobne uczucia fermentują pocichu wśród ludności wiejskiej.

Szczególnie zapłata robotnika nadaje dziś socjalizmowi znamię choroby zapałnej i ostrój. Niegdyś płacę regulowały zwyczaje a często urzędowa taryfa. Dziś ustanawia ją swobodna konkurencja t. j.

stosunek, zachodzący między liczbą rąk i sumą kapitałów szukających zatrudnienia. Płaca stosuje się do miary tego, co jest ściśle niezbęd-  
 nym i aby robotnik mógł egzystować. Ażeby drogą prawideł podaży  
 zniewolić pracodawców do ustępstw urządzone są znowy, a ztąd wy-  
 wiązuje się między obiema stronami nieustająca stan wojenny, nieja-  
 ko wojna domowa, głucha i zacięta, zwycięzka dla tego, kto dłużej  
 wytrzymać może nic nie zarabiając. A jak smutnie wygląda to zwy-  
 cieżtwo dla robotnika, jeżeli wytrwał w znowie kosztem pochłonię-  
 tych oszczędności i sprzedanych lub zastawionych sprzętów! Wśród  
 narodów przemysłowych, stanowiących obecnie niejako jedno targowi-  
 sko, istnieją dwie ciągle uzbrojone przeciw sobie armie, z jednej stro-  
 ny kapitaliści, z drugiej klasa pracująca. Dzięki międzynarodowej  
 lidze i jej propagandzie socjalizm ogarnął wszystkie kraje, stał się  
 niejako religią kosmopolityczną. Wskutek tego kosmopolitycznego  
 charakteru i jednakowego położenia ekonomicznego we wszystkich  
 krajach, agitacje socjalistyczne stały się tak powszechne, jak niegdyś  
 ruchy religijne. Zwracają się one do potrzeb ogólnie odczuwanych  
 i do pożądlivosti drzemających wszędzie na dnie duszy ludzkiej. So-  
 cjalizm jak religia roznieca ducha prozelityzmu, posiada swoich teo-  
 retyków i apostołów. Nie trzeba się łudzić chwilową ciszą, bo wcale  
 niewygasła nienawiść, która niedawno podpałała Paryż na cztery rogi  
 z okrzykiem: niech zginą w płomieniach wszystkie pomniki, przy-  
 pominające nierówność.

Krótko tak się zdaje określić obecny stan rzeczy. Robotnicy  
 zostali wyzwoleni ze wszelkich więzów cechowych, zarobki ich pod-  
 nosiły się ale równocześnie powstała z nich odrębna klasa, zszerego-  
 wana w masach po niezmiernych warsztatach i w wielkich ogniskach  
 przemysłowych. Postęp ekonomiczny obudził w nich nowe potrzeby  
 i nieograniczone pragnienia, wystawiając ich w stanie bezbronny  
 na wszelkie przesilenia w zakresie przemysłu, pochodzące ze zmian  
 sposobów produkcji, chwiejnych stosunków handlowych i stagnacji  
 w sprzedaży. Wieśniak został wyzwolony z pańszczyzny, dola jego  
 stała się znośniejszą, ale zaszły inne nieuniknione a fatalne dlań na-  
 stępstwa nowych dotkryn ekonomicznych. Na domiar złego powoła-  
 no do wybierania ciał prawodawczych, więc do stanowienia praw tych,  
 którzy nie mają własności. Ogłoszono równość w zakresie prawa,  
 a nierówność faktyczna istnieje ciągle jako przyczyna cierpień, coraz  
 bardziej drażniąca.

Laveleye zawarł w tém ostatniem zdaniu sumaryczną i cierpką  
 krytykę także tych dotkryn politycznych, które równocześnie z man-  
 szesterskim systemem ekonomicznym zapanowały w społeczeństwie  
 europejskiem, przybierając pretensjonalną nazwę systemu państwa  
 praworządneho. Świetną krytykę tego systemu, a zarazem ścisłą  
 łączność jego dotkryn z tak szybkim i zatrważającym wzrostem so-  
 cjalizmu przedstawił dr. Gumplowicz w swoim dziele „Rechtsstaat  
 und Socjalismus.“ Zwolennicy tego systemu w nauce dostarczyli naj-

lepszéj broni socyjalizmowi, który żywcem mógł przyjąć do swojej propagandy całe wywody poważnych autorów téj szkoły o równości, wolności, powszechném głosowaniu i t. d. Musimy poprzestać na téj uwadze odsyłając zresztą do przytoczonego dzieła dr. Gumpłowicza, gdyż w ramach téj pracy nie pomieściłaby się taka dygresya na pole naukowo-polemicznej walki o systemy polityczne i ich zasady.

Ale także i współczesna literatura ekonomiczna dostarczyła socyjalistycznój propagandzie nieocenionéj broni. Kiedy jedni autorowie (jak np. niedawno dr. Menger i Schmoller) prowadzą zaciętą książkową polemikę o różne subtelności naukowéj metody (np. o historyzmie w ekonomii) jakgdyby w tym gorącym czasie, kiedy każda chwila jest droga, bieżące żywotne sprawy nie wymagały także i od nauki przyspieszonéj informacyjnéj akcji w kierunku praktycznym; inni popisują się swoją zręcznością i bystrością logiczną w stwarzaniu dla najskrajniejszych postulatów socyjalizmu podstawy naukowéj. Weźmy np. Schaefflego „K w i n t e s e n c y ą s o c y a l i z m u.” Jestto nieprzebrana kopalnia dla propagatorów socyjalizmu, a kopalnia z firmą poważną i bardzo wpływową. Były minister a obecnie jak wiadomo jedna z tych powag naukowych, u których ks. Bismark chętnie zasięga informacji i rady w swoich planach i zamysłach na polu reform społecznych, rehabilituje pomysły jednego z najskrajniejszych apostołów naukowych socyjalizmu (Marxa), szczególnie pomysł kolektywnego gospodarstwa, daje rozgrzeszenie temu pomysłowi wobec społeczeństwa, uznając go wykonalnym, do pewnego stopnia racjonalnym a pod wielu względami nawet doskonalszym od obecnego ustroju ekonomicznego. Nazwawszy „początkiem i końcem socyjalizmu zamianę prywatnych kapitałów konkurencyjnych na jednolity kapitał kolektywny,” Dr. Schaeffle drogą świetnéj dyalektyki i idealnéj interpretacji doszedł do wniosku, że socyjalistyczny proces asymilacyjny, który znosiłby wszelki indywidualizm i przekształcałby społeczeństwo na jedną olbrzymią masę automatów z oznaczoną miarą pracy i zastosowaną do téj miary konsumcyą, nie byłby „czémś nowém, lecz tylko uogólnianiem służby publicznej i zakładów publicznych.” Wbrew wszelkim, jak sam autor mówi, rozpowszechnionym poglądom, zaznacza on kilkakrotnie, „że socyjalizm nie wyłącza ani własności w ogóle ani własności prywatnej w szczególności.” A jakżeż wyglądały te własności? Autor próbuje ją określić, aby powyższe zdanie nie wydawało się paradoksem i mimo najlepszéj chęci rozgrzeszania socyjalizmu, musi ograniczyć własność do „środków indywidualnéj konsumcyi,” bo „co do żywności, którą jednostka tylko zjeść może, odzieży, którą tylko jeden nosić może, środków używania, z których jeden tylko korzystać może, własność wspólna jest niemożliwą.” Trzebaby dopiéro stworzyć ludzi, którzyby taką własność środków żywienia i odzieży, uważali jako dostateczną nagrodę za osobistą zapobiegliwość, pracowitość i oszczędność. Wystarczy to dla jednego pokolenia, bo zaraz następane musiałyby albo zepchnąć ludzkość na poziom bydłeczy, albo siłą otrząść

się z więzów kolektywnej gospodarki i przywrócić własność w dzisiejszym pojęciu, własność uszlachetniającą życie ekonomiczne i społeczne, stanowiącą podstawę rozwoju indywidualnego i życia rodzinnego, jednym słowem, własność jako podstawę cywilizacyjnego doskonalenia się ludzkości. Ale nie wielu czytelników zapaści się w takie refleksje a natomiast wielu pójdzie na lep propagatora socjalistycznego, który z książką dr. Schaefflego w ręku powiedzieć może: oto klasyczny dowód, że socjalizm nie jest potworem lecz zbawcą ludzkości. Jakżeż nie nazwać go zbawcą, skoro dr. Schaeffle dalej dochodzi nawet aż do tego wniosku, że socjalizm ma „swoje niezaprzeczone specyficzne zalety.“ Oto długi szereg tych zalet specyficznych: wzajemna karność i kontrola pracy, uchylenie nadmiernego obciążenia pracą, obrona dzieci i kobiet w obec nadmiernej pracy, zapobieżenie wyzyskiwaniu na rzecz interesów prywatnych, usunięcie lenistwa i nieprodukcyjnego życia poświętnego, zapobieżenie zepsuciu, zbytkowi, przestępstwom przeciw własności i t. p. Excusez du peu! Więc socjalistyczna organizacja pracy ziściłaby ideał niedościgniony dotąd dla cywilizacji dzisiejszej! Niedarmo socjalizm traktuje religię z taką pogardą. Nie potrzeba jej, skoro kolektywne gospodarstwo społeczne stworzyć ma raj na ziemi! Niezawodnie byłby to raj, niezawodnie kolektywizm mógłby osiągnąć takie cele, ale któż ziści główny i pierwszy warunek, od którego to zawisło, któż zmieni nagle ludzi w istoty nadziemskie, wolne zupełnie od tych wszystkich popędów i przywar natury ludzkiej, które nie ujęte w karby moralne, sztydzą z najlepszej organizacji społecznej.

Czytelnik z wyższą miarą wiedzy i szerszym poglądem potrafi tym fantasmagoryom naukowym przeciwstawić następstwa, nasuwające się z innego punktu widzenia i stanąć musi przed pytaniem, co jest prawdopodobniejszym: ziszczenie się ideałów kolektywizmu na gruzach dzisiejszego ustroju społecznego, dzięki jakiemu cudownemu uszlachetnianiu się ludzkości czy powstanie chaosu i zdziczenia ludzkości, zmienionej w jeden wielki warsztat i równie wielki obóz konsumentów? Ale ci, którym zależy na zburzeniu obecnego ustroju i porządku nie wdają się w takie refleksje. Dla nich jest to korzyść nieoceniona, że taką wielką powagą naukową, jak Schaeffle, mogą powołać na świadectwo dla swój propagandy.

Refleksja wymaga dojrzałego umysłu i pewnej miary wiedzy wyższej, takie książki zaś jak „Kwintesencja socjalizmu,“ wprost trafiają do przekonania i entuzjazmują nawet niedouczonej. W tym właśnie tkwi największa siła propagandy socjalistycznej, że dla niej materiałem jest ogół pojmujący odrazu takie hasła jak równość, kiedy tymczasem antidotum książkowe na propagandę socjalistyczną, przekonywające i skuteczne być może tylko dla wykształconych umysłów.

W ten sposób jak dr. Schaeffle, wielu innych autorów bezwiednie wyświadcza przysługę propagandzie socjalistycznej. Nie ma na to rady, bo niepodobna tamować swobodnej dyskusji naukowej dlatego, że jest przewrotnie wykładaną, tak samo jak nie możnaby z aptek

usunąć silnych środków leczniczych dlatego, że w wielu wypadkach służą one za środek otrucia.

Nowoczesne prądy i systemy polityczne także bezwiednie wielką oddały przysługę propagandzie socjalizmu. W historii tej propagandy epokę stanowić będzie niezawodnie polityka zamachów władzy państwowej na władzę kościoła, inaugurowana tam, gdzie rozbudzona niebывалymi tryumfami pycha, nie chciała znosić żadnej powagi obok wszechwładzy państwa, t. j. w Berlinie, a przeszczepienia zaraz potem w inne kraje i społeczeństwa. Dla skrajnego socjalizmu, który nie widząc na razie możności preparcya swoich potwornych pomysłów drogą reform lub chociażby drogą rewolucyjną, ogranicza chwilowo aspiracje swoje do popierania i podsycania każdej dążności niweczącej powagę wszelkiego rodzaju i rozsądzającej tém samém budowę społeczną, nie dała się pomyśleć korzystniejsza sytuacja nad tę, jaką pruski Kulturkampf i jego naśladowanie w innych krajach stopniowo wytwarzało. Stopienie poczucia religijnego w masach ludności, to uprawa gruntu dla posiewu anarchicznego. Pod okiem samęj tylko władzy państwowej, czuwającej nad porządkiem społecznym z kodeksem w ręku, który kładzie tylko tamę ujawniającym się nazewnątrż działaniom zbrodniczym i karą ściga tylko czyny dokonane, a uszlachetniającego wpływu etyki w całym zakresie społecznego życia nigdy zastąpić nie może, pod hasłem liberalnej doktryny, która głosząc swobodę jednostki na polu politycznym i ekonomicznym bez żadnych moralnych ograniczeń, a z ograniczeniem prawnym tylko o tyle, o ile omijając należy kolizyą z kodeksem—pod takimi prądami i dyrektywami tylko szlachetniejsze umysły oprzecz się mogły zupełnemu zmaterjalizowaniu pojęć i popędów, a ogół uledez musiał moralnej degeneracyi. Rozbudził się więc żywo i zapanował wszechwładnie brutalny egoizm w klasach, którym los lub zawód dał możność zyskowego zorganizowania pracy ludzkiej w formie przedsiębiorstw, rozbudziły się nienasycone żądze i chęć używania w klasach, których los lub zawód skazywał na skromne tylko zaspokojenie potrzeb. Dla piérwszych owa miłość chrześcijańska, która umie na każdym kroku wyrównywać jaskrawe różnice warunków życia, dla drugich owa rezygnacya i abnegacya chrześcijańska, która umie godzić się z ubóstwem, daném według stów Pisma św. tak samo od Boga jak bogactwo, dla jednych i drugich wszelkie wzniesienie się ponad poziom materyjalnego kierunku z jego niskimi zacheceniami i brutalnemi sposobami używania i nadużywania dóbr wszelkich, stało się naiwnym anachronizmem!

Socjalizm rósć musiał wśród takich stosunków nawet w razie, gdyby nie rozwinął był intensywnej agitacyi dla opanowania mas zgłodniałych, a żadnych wszelkiego używania i przejętych zawiścią ku wszelkim formom posiadania. Sam widok bowiem olbrzymich fortun wzrastających nieustannie i gromadzonych przez jednostki tylko dla dogodzenia egoizmowi bez wyższych celów i przeznaczeń, sam ten widok rażący z każdym dniem więcej, bo równocześnie obok niego przed-

stawiał się coraz jaskrawiej kontrast między, stopniowo coraz szersze koła i coraz liczniejsze ofiary ogarniającej, wystarczał, aby masy wyzute z religijnego i etycznego poczucia, a przejęte natomiast brutalnym materyalizmem, naprowadzać na zachcenia i pomysły zbrodnicze. Socjaliści mogli nawet czekać z założonemi rękami w przekonaniu, że taki stan rzeczy doprowadzić musi sam swoją naturalną siłą destrukcyjną do zupełnego rozbitcia społeczeństwa. Ale koryfeusze socjalizmu, którzy tak zręcznie umieli wysnuć z całego systemu ekonomii liberalnej najściślejsze argumenta dla siebie, także i ten rozstrój moralny społeczeństwa wyzyskali znakomicie. Wyjąwszy z Pisma św. i pisarzy kościelnych szereg cytat skierowanych przeciw bogactwu i nierówności, a nie przytaczając przytém oczywiście żadnego z przykazań i przepisów niewzruszonych, któremi religia daje nam najnieomylniejszy środek utrzymania ładu i harmonii społecznej, któremi usankcyonowała raz na zawsze urządzenia społeczne i państwowe, umieli zapomocą takiego fałszerstwa wpłynąć i na te umysły, które się jeszcze chwiałały cokolwiek. Jak w wywodach swoich o produkcyi, konkurencyi i t. d., uczeni, niemający zresztą nic wspólnego z socjalizmem, dostarczyli mu obosiecznej broni, którą potem tyle ciężkich razów zadał Marx i inni koryfeusze literackiego socjalizmu liberalnemu systemowi naukowemu, tak i w tém niepowołaném a z gruntu błędném naciąganiem oderwanych zdań z Pisma św. i pism Ojców Kościoła do idealizowanych postulatów nie otwartego i szczerzego; lecz tego obłudnego socjalizmu, który kryje się pod szlachetnemi hasłami uszczęśliwienia ludzkości, pracowali i pracują dotąd niektórzy uczeni mimowoli dla anarchistów. Takie w dobrej wierze, ale z najzgubniejszym niezawodnie skutkiem dokonane zestawienia cytat religijnych, znajdzie czytelnik także w przytoczoném już poprzednio dziele d-ra R. Mayera, który nawet nazywa Chrystusa pierwszym i dotąd największym socjalistą! To samo czyni E. Laveleye w swoim, także już tutaj przytoczoném dziele, chociaż o kilkanaście stronic dalej za paradoksalném zestawieniem zdań luźnie powyrywanych, całkiem trafnie upatruje w upadku religijnego ducha jeden z najważniejszych powodów nadzwyczajnego wzrostu socjalizmu w naszych czasach. Chrystyanizm, — mówi ten ostatni autor — który na Zachodzie zniósł ideę równości i braterstwa, uczył równocześnie posłuszeństwa i zalecał cierpliwość, mówiąc do uciśnionych: Życie ziemskie jest tylko czasem próby, ulegajcie potężnym, znoście bez szemrania wszelkie niedole, gdyż będą wam policzone w górze, gdzie leży skarb wasz prawdziwy. Tutaj na ziemi niegodziwość tryumfuje, ale królestwo niebieskie będzie udziałem wydziedziczonych na tym świecie. Tym sposobem ewangelia, która, budząc w duszach pragnienie sprawiedliwości, posiadała nasiona socyalnych wstrząśnień, zażegnwała z drugiej strony wybuch tychże, obiecując uciśnionym nadzieję szczęścia zagrobowego. Dzisiaj w miarę znikania wiary, gdy lud przestaje wierzyć w te nagrody niebieskie, zaczyna się domagać przynależnej so-

bie cząstki szczęścia. Odtąd już nie w raju ale w terażniejszym życiu społecznym chce urzeczywistnienia obietnic ewangelicznych. Nie mając tego, co mu się zdaje być słusznym, żyjąc w niedoli, nie znajduje już pociechy w tej myśli, że cierpienia jego, znoszone z rezygnacją, zapewnią mu sowitą nagrodę. Gdy mu będziecie dowodzili, że sprawiedliwość, o jakiej marzy, jest chimera i że terażniejszy podział dóbr zależy od praw przyrodzonych, niezmiennych — wówczas zrozpaczony rzeknie jak milenarysz: Niech ogień pożre społeczeństwo, w którym króluje niegodziwość, by na jego gruzach powstał świat nowy — i oto gotowy nihilizm! Ci, co popychają do wstrząśnień gwałtownych, wiedzą, że wykorzenienie wszelkich uczuć religijnych jest najlepszym środkiem podbudzania ludu i odjęcia mu nadziei w sprawiedliwość na innym świecie, której mu na tym odmawiają.

To też pracował socjalizm zawsze i pracuje dalej nad wykorzenieniem uczuć religijnych, co jest tak zabójczym dla porządku społecznego nawet w wyobrażeniu Laveleya, który w dziele swoim nie zdradza bynajmniej predylekcji dla katolickiej szkoły socjologów, obmyślających środki zaradcze na wzrastający rozstrój społeczny, lecz widocznie wyżej stawia ich naśladowców protestanckich. Tępienie uczuć religijnych nie było dotąd trudnym zadaniem dla propagandy socjalistycznej, bo wyręczał ją w tej mierze z wielkim powodzeniem panujący liberalizm bezwyznaniowy, ten sam liberalizm, nad którym najsroższy odwet wzięłby socjalizm w razie zwycięstwa zupełnego. Krwawe dzieje komuny paryzkiej stanowią już historyczny dowód ścisłej łączności między propagandą socjalistyczną a wyrzuceniem się z wszelkich uczuć religijnych, tego najlepszego hamulca dla brutalnych popędów mas nieoświeconych.

W przystępie szczerości i otwartości, propagatorowie i aktorowie przewrotu społecznego, nie kryli się i nie kryją bynajmniej z ignorowaniem wszelkiej religii. Głośny propagator socjalizmu, Varlin, przed laty w Paryżu wybornie oddał poglądy religijne socjalizmu w słowach: *Le bon Dieu a fait son temps, en voila assez!* Trzebaż jeszcze jaśniejszego wyznania? W procesach, wytoczonych agitatorom socjalistycznym znajdziemy ich wiele. Przycoczmy tylko najświeższy i najdrastyczniejszy. Stracony w lecie 1884 w Wiedniu okrutny morderca, Stellmacher, który z zimną krwią mordował nawet dzieci dla celów swojego stronnictwa anarchicznego, zaczął swoje wprzód obmyślaną i spisana obronę przed trybunałem od słów charakterystycznych: „Nie wierzę w żadnego Boga!“ Zbrodniarz chciał dalej mówić a właściwie czytać w tym samym duchu, a gdy mu przerwał przewodniczący uwagą, że to nie należy do obrony, rzekł się zupełnie głosu. Tak był przejęty powyższą zasadą swoją, że nie zachwiał się nawet w najstraszniejszej chwili, idąc pod szubienicę. Za to wszystko anarchiści w Nowym-Yorku uczeili jego pamięć w sposób należy bohaterskiemu męczeństwu i zapowiedzieli zemstę.

Liberalizm, upojony Kulturkampfem, nie tylko torował drogę

propagandzie destrukcyjnej, w połowie bezwiednie a w połowie lekko-myślnie, lecz nadto zagłuszał każdy głos przestrogi i refleksji ze strony przeciwniej. Nazwa czarnego internacjonaułu dostała się po komunie paryżkiej stronnictwu katolickiemu za to, że widząc przepaść przed społeczeństwem, podniosło tylko głos przestrogi jawnie i otwarcie, że w porę wskazało na konieczność reform, dziś dopiero pod naciskiem zamachów anarchicznych podejmowanych. I to także stanowiło cenną przysługę dla propagandy anti społecznej, bo w poglądach płytkich umysłów kompromitowało wszystko, co wychodziło z inicjatywy obozu katolickiego, a co dziś pod firmą protestancką tak jest cenione.

Jeszcze przed komuną paryżką 27 lutego 1871 na zgromadzeniu wyborców w Moguncyi, rozwinął ks. Moufang program społecznych reform katolickiego stronnictwa w Niemczech, czyli program t. zw. katolickiego socjalizmu. Mówca postawił sobie pytanie, w jaki sposób państwo może i musi zaradzić niedoli społecznej. Cztery środki wskazał ks. Moufang: opiekę ustawodawczą, pomoc pieniężną, niżenie ciężaru podatkowego i militarne, a wkońcu ograniczenie panującej roli kapitału. Mowa ks. Moufanga, objaśniająca bliżej te cztery środki zaradcze, odegrała tak ważną rolę w programie katolików niemieckich co do reform społecznych, oddziaływała tak silnie na umysły w swoim czasie i dziś tak świetnie wystawia świadectwo przezorności stronnictwa całego, że zasługuje na obszerniejszą reprodukcją. Oto treść tej mowy programowej:

Opieka państwa nie powinna polegać na środkach policyjnych, lecz głównie na ustawodawczych. Jednakże ustawodawstwo nie powinno pospiesznie narzucać robotnikom i rękodzielnikom statutów, norm i regulaminów. Robotnicy sami mają sobie utożyć to wszystko pod sankcją i opieką państwa. Państwo ochrania wszystkich, odgranicza własność gruntową i strzeże wypożyczonych kapitałów przez swoich urzędników hipotecznych. Taka sama opieka należy się i robotnikowi co do jego majątku, który polega na czasie roboczym i sile roboczej. Opieka ta zapobiegać ma zużyciu ludzi pracujących przez t. zw. wolną konkurencją, która steranego robotnika jako zniszczoną już siłę roboczą skazuje na niedolę inwalida. Wziąwszy pod opiekę stowarzyszenia robotników, powinno państwo czas pracy ustawić uregulować. Robotnik nie jest maszyną, którą można dzień i noc w ruchu utrzymywać, nie jest on także zwierzęciem, przeznaczonem do dźwigania ciężaru, lecz człowiekiem z ludzkimi prawami. Przykazania boskie nasuwają tę myśl, bo jak nabożeństwo niedzielne stanowi hołd Bogu oddany, tak wypoczynek niedzielny służy spracowanemu człowiekowi do pokrzepienia sił wytężonych. Wobec bezsilności robotnika w zapasach z kapitałami i bezwzględnością pryncypała, ustawa powinna zakazać robotę niedzielną, ograniczyć czas pracy dziennęj i oznaczyć zapłatę w sposób zadawalający.

Ustawodawcze uregulowanie zapłaty robotnika uważane jest za



sprzeczne z wolnością. Jestto zarzut niesłuszny, bo ustawa nie ma stanowić przymusu, lecz tylko opiekę dla robotnika. Dziś konkurencja rozstrzyga o zapłacie robotnika. Zasada popytu i podaży jest słuszną co do towarów, ale ludzka siła robocza nie jest towarem lecz życiem ludzkim, a właściwie samym człowiekiem. Należy więc tę siłę konserwować, a nie poddawać popytowi i podaży jednostek. Cóż ma robotnik począć, jeżeli mu pryncypał zniży zapłatę do połowy lub do trzeciej części dlatego, że np. wybuchło jakie przesilenie lub jaka wojna? Odejść nie może, a przyjmując zniżoną zapłatę, wystawia się na głód. Takię ewentualności powinna ustawa zapobiegać.

Osobna ustawa powinna regulować pracę kobiet i dzieci. Im więcej rąk kobiecych i dziecięcych weźmie się do pracy, tém więcej mężczyzn straci zarobek. Mężczyzna powinien pracą na chleb zarabiać, a kobieta ma prowadzić gospodarstwo domowe i wychowywać dzieci. Taki rozdział zadań zajmie zupełnie obie strony.

Ustawa powinna lokale fabryczne poddać nadzorowi. Skoro ustawa przepisuje, jak wysoka i obszerna powinna być sala szkolna, aby zdrowie dźwiaty szkolnej nie było na uszczerbek wystawione, to należy także pomyśleć o robotnikach i robotnicach, zamkniętych w lochach bez powietrza po 10 — 12 godzin. Nadzór taki powinni wykonywać osobni inspektorowie jak w Anglii, za której przykładem poszły już odtąd i inne kraje, w r. 1884 także i Austria.

Ogół tych ustaw stanowiłby niejako kodeks robotniczy, jak kodeks handlowy dla świata kupieckiego, osłaniający swoją opieką interesa kupieckie, jak prawo morskie dla jednej tylko kategorii ludzi, których byt łączy się z komunikacją morską. Taki kodeks robotniczy, rękodzielniczy, określałby wszystkie stosunki między majstrami a czeladnikami i uczniami, między fabrykantami a robotnikami. Dawniej tak bywało, ale, zamiast poprawić dawną organizację, zburzono wszystko. Robotnicy szukają nowej organizacji dla swoich interesów. Nie można się dziwić, że ich zapatrywania często są błędne, a wymagania przesadne.

Także pieniężne poparcie należy się robotnikom od państwa. Akcyonaryusze przystępujący do budowy kolei żelaznej żądają od państwa pomocy pieniężnej pod formą gwarancyi procentu. Czego wymagają zamożni kapitaliści, tego także stan robotniczy żądać może od państwa. Jeżeli kolej opłaca się, to pp. akcyonaryusze zwracają otrzymane zaliczki i cały czysty dochód chowają potem do kieszeni. Jeżeli zaś przedsiębiorstwo kolejowe wykazywało niedobór, to wszyscy opodatkowani obywatele, nie wyjmując najuboższych mieliby zaszczyt uczestniczenia w ciężarach! Jeżeli tedy państwo wspiera w ten sposób zamożne przedsiębiorstwa, to słusznie wymagać mogą pomocy także i przedsiębiorstwa robotników, np. spółki produkcyjne na kupno maszyn i t. p. W tém wymaganiu nie mieści się koniecznie aprobata awanturnicznych pomysłów Blanca o warsztatach robotniczych

w Paryżu z r. 1848. Chodzi tu bowiem tylko o rzetelne przedsiębiorstwa robotników, potrzebujące pomocy.

Robotnikom należy się pomoc od państwa także w drodze pośredniej t. j. przez niżenie ciężaru podatkowego. Podatki bezpośrednio i pośrednio obciążają w anormalnym stosunku dochody robotnika, kiedy tymczasem zamożni kapitaliści, którzy z państwa więcej korzystają, ponoszą tylko mały podatek od kapitałów w rencie ulokowanych. Z ulżeniem ciężaru podatkowego zostaje w związku także ulga w ciężarze militarnym.

Państwo powinno ustawą ograniczyć panowanie pieniędzy. Nie chodzi tu bynajmniej o propagandę przeciw bogactwu i bogaczom. Pismo św. mówi, że bogactwo i ubóstwo od Boga pochodzi. Ale sposób, w jaki dziś za pomocą spekulacji pieniężnej i gry giełdowej zdobywa się lub traci w krótkim czasie majątki, pewnie nie jest sprawiedliwy. Długi państw wywołały całe to szalbiercze gospodarstwo papierowe, które okropnie ciąży na społeczeństwie. Całe miliony z podatków idą corocznie na zapłacenie procentu od długów państwa. Miliony zyskują na długach państwa pośrednicy finansowi, a na procenta składać się muszą potem także i najbiedniejsze klasy ludności podatkami różnorodnymi. Ten system gospodarstwa pieniężnego szkodzi szczególnie stanowi rękodzielniczemu. Skoro na giełdzie można papierami państwowymi zarobić 15—20%, to jakżeż wymagać, żeby kapitał zadowalał się w innych interesach 5%? Jak można było znieść ustawę przeciw lichwie i pozwolić każdemu żądać odsetek według upodobania? Łatwość, z jaką za pomocą druku i papieru ciągle pomnażać można walory publiczne o całe miliony, znacznie zniżyła wartość rzeczywistą pieniędzy. Jeżeli dziś bochenek chleba o wiele więcej kosztuje, to nie znaczy to, żeby mniej być miało zboża, lecz stanowi dowód, że pieniądź nie posiada już dawniej wartości swojej. Miliony puszczone w obrót pod formą obligów pożyczkowych, akcji i pryorytetów obniżyły wartość pieniędzy metalicznych tak, jak woda rozcieńcza i psuje wino. Rozumna ustawa powinna przynajmniej poskromić swawolę gry giełdowej, skoro już żądać nie można, aby zaniechany został system tworzenia walorów papierowych. Oburzano się na ruletę w Hamburgu i Wiesbaden i t. d. doprowadzono w końcu do tego, że gra ta zakazaną została, a czemuż jest gra przy zielonym stoliku w porównaniu z szalbierczym hazardem giełdowym? Zręczny spekulant w jednym dniu zyskuje tysiące i w krótkim czasie staje się milionerem. Komużto wydarto te miliony? Przedewszystkiem tym, którzy wdali się w nieszcześliwą spekulację, ale w gruncie rzeczy ogółowi opodatkowanych, na których odbijają się następstwa t. zw. krachu. Jestże to zdrowy system gospodarczy, jeżeli jeden bez pracy tylko za pomocą aktów pozornego kupna i sprzedaży papierów wartościowych staje się bogatym, a drugi mimo wszelkiej pracowitości i zręczności pracą zaledwie chleb codzienny dla rodziny swojej zdobyć potrafi?

Tyle co do państwa. Kościołowi zakreślił ks. Moufang także następujące zadanie:

Kościół winien rozwinąć akcję ratunkową przez krzewienie ducha sprawiedliwości, słuszności i miłości. W ten sposób zniósł św. Paweł niewolnictwo. Nie głosił on, że niewolnictwo zostaje zniesione i że między panami a niewolnikami ustaje dawny stosunek praw i obowiązków, lecz w panów i niewolników wszczepiał ducha chrześcijańskiego, nauczając ich, że są dziećmi Boga i braćmi w Chrystusie, zarówno powołanymi do wiecznej szczęśliwości. Wobec prawa niewolnicy pozostali jeszcze niewolnikami, ale w codziennym życiu stosunek zmienił się dzięki wzajemnej miłości. Od ducha krzewionego między robotnikami a pryncypałami zawisł ich wzajemny stosunek, a to jest rzecz religii. Kościół może pomódz i rzeczywiście pomaga także przez swoje dobrodziejstwa, które sam świadczy i do których świadczenia innych pobudza. Kościół równą miłosierną opieką otacza biédne dziecko, chorego robotnika, niedołęznego starca i nieszczęśliwego kalekę. Kościół niesie wreszcie pomoc, swoją pociechę we wszystkich dolegliwościach, trudach i utrapieniach oraz wzbudza niem nadziei wiecznego szczęścia po nędzném życiu ziemskim!

Tak przemawiał czarny internacyonał ścigany przez zwycięzki liberalizm z większą zaciętością, aniżeli czerwona banda burzycieli porządku społecznego. Banda ta przyklaskiwała wszelkim aktom represyi przeciw czarnemu internacyonałowi i bezpiecznie prowadziła swoje dzieło destrukcyjne. Dziś—ks. Bismarck sam toruje drogę przestrogom i radom czarnego internacyonału!

(d. n.).

# JAN ERNEST SMOLER

1816—1884.

PRZEZ

*Wilhelma Bogusławskiego.*

Pół roku przeszło upłynęło od zgonu Jana Ernesta Smolera w Budyszynie dnia 1/13 czerwca roku 1884, a żal i boleść nie opuszczają serca jego rodaków. Pisma łużyckie pełne są poetycznych utworów na cześć zgasłego męża, pisma reszty ludów słowiańskich wierszem i prozą przypominają publiczności zasługi obywatela <sup>1)</sup>. I rzecz dziwna: w Słowiańszczyźnie rozdartej waśniami narodowemi, różnaitością poglądów religijnych i politycznych,—przeciw nieboszczykowi ani jednego głosu. Owszem ludzie i pisma najrozmaitszych dążeń z największą sympatją odzywają się o serbsko-łużyckim patryocie. Zkądże taka jedność myśli? Czemże nieboszczyk zasłużył na tak powszechne współczucie? Dla zrozumienia tego zwrócić winniśmy bacność na otoczenie, w jakim wypadło J. E. Smolerowi żywot swój pędzić.

Lud, do którego J. E. Smoler należał, po ośmiu wiekowój niewoli, zgruchotany przewagą obcój siły, chylił się do ostatecznego upadku. Wszystko, co stało wyżej nad stan wieśniaczy, spieszyło przejąc się duchem cywilizacji niemieckiej, wejść do grona Niemców, wśród nich szukać losu. Patryoci łużyccy z boleścią patrzyli na odpadanie jednej po drugiej parafii łużyckiej od własnej narodowości, a tymczasem kapłani lutерscy, Niemcy, wiedli spór literacki, czy dla uszczęśliwienia słowiańskiej ludności Łużyc wypada przyjąć energi-

---

<sup>1)</sup> Nawet lipska „Illustrirte Zeitung nr. 2141“ uzcila pamięć Smolera przyjazną o nim wzmianką, czego dotąd żaden serb łużycki jeszcze nie dostąpił. „Łużiczka“ r. 1884, nr. 12, s. 102.

czne środki ku przedszemu jęj zniemczeniu, czy działać zwolna, aby narodowość słowiańska spokojnie zgasła i na jęj zwłokach dopiero zasadzić winnicę niemiecką? Z swojej strony władze kościelne i szkolne „ex certa ratione“ obsadzały parafie i szkoły ludźmi nie rozumiejącymi mowy łużyckiej, przez co lud pozbawiony nauki religijnej w zrozumiałej mowie, upadał moralnie, ubożał, tracił poczucie narodowości, stawał się pokornym sługą Niemców, a patryoci łużyccy, nie widząc znikąd ratunku, z rozpaczą powtarzali: za kilkadziesiąt lat lud nasz zginie! Zdawało się, że w Łużycach nie było już nikogo, ktoby jeszcze mógł marzyć o podniesieniu narodowości słowiańskiej. Tymczasem ku powszechnemu zadziwieniu dowiedziano się w r. 1831, że w gimnazjum budyszyńskim, gdzie nigdy mowy słowiańskiej nie słyszano, uczniowie serbo-łużyckiego rodu poczęli między sobą głośno mówić po serbsku, nie zważając na śmiech i szyderstwo Niemców. Któż ich do tego ośmielił? Kto się odważył niemiecką świątynią nauki sprofanować chłopską mową, skazaną przez cywilizację niemiecką na zniszczenie? To był 14-letni uczeń J. E. Smoler, urodzony 3 marca 1816 r. we wsi Łuciu (Merzdorf), gdzie ojciec jego, Jan Karol Smoler, był nauczycielem szkoły kościelnej. W r. 1821 <sup>1)</sup> Karol Smoler przeniesiony został na wyższą posadę nauczyciela do wsi Łazu, która równie jak i wieś Łuć leżą w okręgu Wojereckim (Hoyerswerda), na mocy traktatu wiedeńskiego r. 1815 od Saksonii do Prus przyłączonym. Spodziewając się, że przez dłuższy pobyt w Saksonii można otrzymać prawo obywatelstwa saskiego, Karol Smoler umieścił młodego Jana w gimnazjum budyszyńskim w r. 1830.

W domu rodziców J. E. Smolera nie słyszał innego języka jak tylko ojczysty, matka jego rodowita serbka nie mówiła prawie po niemiecku, a w gimnazjum budyszyńskim znalazł się on odrazu w otoczeniu niemieckim. Koledzy jego serbowie zniewoleni mówić po niemiecku zapominali ojczystą mowę, niemieczyli się. Pokrzywdzenie języka ojczystego obudziło narodowe uczucie: czternastoletni gimnazjysta postanowił przypomnieć współ-uczniom ich plemienne pochodzenie. „My serbowie, mówił do towarzyszy szkolnych, zapomnimy tu po serbsku, dawajcie, będziemy się uczyć naszego języka!“ W tym celu udał się w początku roku 1831 z prośbą do rektora gimnazjum o dozwolenie uczniom serbom zbierać się co tydzień dwa razy dla uczenia się ojczystego języka. Rektor Niemiec „starego kopyta“ <sup>2)</sup> oświadczył, że podobna praca nie przyniesie pożytku, albowiem serbska mowa za jakie 20—25 lat zniknąć musi, ale dozwolenia nie odmówił. Wtedy Smoler udał się do Lubeńskiego, jedyne podówczas człowieka, który pisał po serbsku; ale Lubeński, będąc takiegoż zdania jak i rektor Niemiec, tłumaczył Smolero wi, że praca około pod-

<sup>1)</sup> W Żiwienjobehu J. E. Smolera przez dr. Kalicha r. 1884 oznaczony r. 1823, trzymając się autobiografii J. E. Smolera oznaczyłem r. 1821.

<sup>2)</sup> Wyrażenie z autobiografii.

niesienia narodowości serbskiej będzie nieużyteczną, w Niemczech wzbudzi nieprzyjaźń, a między serbami spotka obojętność <sup>1)</sup>). Nie zrażając się tém Smoler rozpoczął nauczanie kolegów serbskiej mowy. Z biblii poznawali młodzieńcy gramatyczne formy ojczystego języka, uczyli się pisać, a przytém śpiewali narodowe pieśni, które już wtedy Smoler zbierać począł. Dzieckiem jeszcze będąc Smoler ciekawie przysłuchiwał się śpiewom rolników serbskich. Pieśni te głęboko wstrząsały jego duszę, wryły się w pamięć młodzieńca i stały się przedmiotem najulubieńszych jego marzeń. Oddalenie od rodzinnego ogniska jeszcze bardziej napawało umysł młodzieńczy miłością do kraju, do życia rolników, do ich pieśni, wysoko podnosiło uczucia narodowości, które Smoler z największą żarliwością usiłował odtąd przelać w serca młodych towarzyszy. Nastąpiły wakacje. Smoler jedzie do rodziców, ale po całych dniach rodzice nie wiedzą, gdzie ich syn przebywa, a on tymczasem wędruje od wioski do wioski, przysłuchuje się ludowym pieśniom, przysłowiom, poznaje obyczaje narodowe, słowem stara się wszystko wiedzieć i zbadać. Drugie i trzecie wakacje Smoler poświęca swym ulubionym wycieczkom po kraju, przebiega całe Łużyce, pierwszy poznaje odległe zakątki, gdzie mieszkali jego rodacy i pierwszy zakreśla na mapie granice ziemi, na której jeszcze jego ojczysta mowa utrzymać się zdołała. Kilkaset lat serbowie łuzyczanie zupełnie nie wiedzieli wielu ich jest, jakie osady utrzymały się przy narodowości, a jakie zniemczyły; młody patriota dokładnie wyświecił, że kraj serbski zajmował jeszcze 60 m. □, na których 160 do 180 tysięcy serbów mieszkało.

Po skończeniu nauk gimnazjalnych Smoler zamierzał udać się do uniwersytetu lipskiego dla nauki teologii protestanckiej, ale przed samemi egzaminami rektor gimnazjum budyszyńskiego zwoławszy do siebie wszystkich uczniów, którzy zamierzali poświęcić się studjom uniwersyteckim, przeczytał im reskrypt pruskiego ministra oświecenia, oznajmujący, że żaden pruski poddany nie może odbywać nauk w Lipsku „albowiem między studentami lipskimi niemiecka demagogia mocno się szerzy.“ Smoler zrobił uwagę, że rozkaz podobny nie tyczy się jego, albowiem on przemieszkałszy 5 lat w Saksonii, stał się przez to samo poddanym saskim; ale rektor odparł, że choćby lat 10 mieszkał w Saksonii, toby nie pomogło, albowiem do 16 lat życia nie został w Saksonii naturalizowany. Okoliczność ta zniewoliła Smolera udać się do jednego z pruskich uniwersytetów, z pomiędzy których Wrocławski jako najbliższy do Łużyc i licznie przez słowiańską młodzież uczęszczany, wydał się mu najstosowniejszym.

Zapisawszy się r. 1836 na fakultet teologii ewangelickiej we Wrocławiu, Smoler wszedł w stosunki ze studentami polakami, którzy, według jego własnego zeznania, chętnie uczyli go po polsku, a tymczasem nie przestawał wpływać na młodzież budyszyńską. Radość

<sup>1)</sup> Z autobiografii.

niewypowiedziana ogarnęła go, gdy się dowiedział, że młodszy towarzysze jego pod przewodnictwem Musaka Kłosopolskiego i Imisza zawiązali „Zjednoczenie młodzieży przy gimnazyum budyszyńskim,“ zatwierdzone w r. 1838 przez ministerium saskie pod urzędową nazwą „Societas Slavica Budissinensis.“ Było to pierwsze naukowe stowarzyszenie na ziemi serbskiej. Członkowie jego uczyli się ojczystego języka, zbierali książki, gotując się do większych czynów.

Wyższość umysłowa Smolera, jak niegdyś w gimnazyum budyszyńskim, tak teraz w uniwersytecie wrocławskim wpływała na towarzyszy rodaków, czyniła ich powolnymi jego zamiarom. Studenci teologii ewangelickiej Wielan i Markus, także teologii katolickiej Bulang i Szejder, pod przewodnictwem Smolera, połączyli się w jedno kółko dla przypomnienia sobie języka ojczystego. Była to pierwsza próba stowarzyszenia młodzieży dwóch wyznań dla wspólnej pracy ku podźwignieniu narodowości. Myśl wielka, płodna w skutkach, dobitnie malująca podniosłość umysłu młodego teologa, podającego rękę katolikom w imię jedności narodowej. Dla uzupełnienia przedsięwzięcia zamierzył Smoler wyjednać u władzy uniwersyteckiej zatwierdzenie „Stowarzyszenia serbów.“ Niepodobalo się to studentom niemcom z Łużyc, którzy, nie pojmując wówczas, aby serby coś osobnego od nich stanowić mogli, zaprojektowali stowarzyszenie wszystkich studentów z Łużyc dla wspólnego pracowania nad wyjaśnieniem dziejów kraju, który obie narodowości za ojczyznę uznawały. Zważając, że z powiększeniem liczby członków Towarzystwo zdobędzie więcej środków, Smoler wszedł w porozumienie z przedstawicielem niemców, Röslerem, i wspólnie z nim począł działać w celu założenia towarzystwa studentów serbów i niemców z Łużyc w celu naukowego badania górno-łużyckich dziejów i języka serbskiego. Przychyłając się do ich życzenia senat akademicki 22 kwietnia 1838 r. oświadczył, że z wielką przyjemnością daje swe zezwolenie na stowarzyszenie studentów we wzmiankowanym celu. Inauguracja towarzystwa odbyła się solennie, w przytomności rektora uniwersytetu, prof. Abbeg i Stencla, wybranego na protektora towarzystwa. Smoler rozpoczął pierwsze posiedzenie przemową o górnołużyckich narodowych pieśniach.

Odtąd Smoler staje się osobistością, około której łączyły się usiłowania młodzieży ku podniesieniu piśmiennictwa ojczystego. Pojmował on dokładnie konieczność rychłej pomocy swemu ludowi, by przeciąć drogę szerzącą się germanizacji: sam pracował i swych kolegów do pracy zachęcał. Wtóm niespodziany wypadek miał mu przynieść pomoc, której wcale nie przewidywał. Sławny naturalista czeski Purkynie, profesor uniwersytetu wrocławskiego, dowiedziawszy się o czynności Smolera, zaprosił go do siebie. Smoler, nie domyślając się „czegoby chciał fizyolog od teologa,“ udał się jednak do Purkyniego, i wielce zdziwił się, gdy czcigodny profesor, nie wspominając ani o fizyologii, ani o teologii, począł go się wypytywać o łużycko-serbskiem słowiaństwie. Zadowolony z rozmowy Purkynie oświadczył

Smolerowi, że może każdą niedzielę do niego przychodzić i wspólnie z polakami uczyć się po czesku. Wkrótce Smoler tak się podobał Purkyniemu, że ofiarował mu mieszkanie w swym domu bez żadnego za to wynagrodzenia; tylko przez wdzięczność doglądał Smoler szkolnych prac dzieci profesora i zajął się uporządkowaniem jego biblioteki, z której wiele korzystał, ponieważ znalazł w niej mnóstwo dzieł, tyjących się literatury wszystkich słowian. Pobyt w domu Purkyniego korzystny był jeszcze i pod tym względem dla Smolera, że tam właśnie mógł zabrać znajomość i stosunki z licznie gromadzącą się młodzieżą czeską i polską.

Poświęcając się teologii i umiejętnościom słowiańskim, Smoler nie zapominał o najulubieńszym swoim przedmiocie: o pieśniach serbskich. Co wakacje wędrował po Łużycach, dopełniał dawniejsze zbiory, które następująca okoliczność dopomogła mu ogłosić drukiem.

W Zgorzelcu (Görlitz) od r. 1779 istnieje niemieckie towarzystwo naukowe: „Oberlausitische Gesellschaft der Wissenschaften,“ które wyznaczyło premią za najlepszy zbiór górno-łużyckich narodowych pieśni. Smoler przedstawił swój zbiór. Towarzystwo, uznając ten zbiór za najlepszy, przysądziło Smolerowi premią, z warunkiem, że prawo wydania tych pieśni przy Towarzystwie zostanie. Nie podobało się to Smolerowi: ofiarowanej premii w ilości 50 talarów nie przyjął, zbiór swój napowrót odebrał. Wtedy sekretarz wzmiankowanego towarzystwa, Leopold Haupt, przekładając Smolerowi, że towarzystwo ma znaczny zapas serbskich ludowych pieśni, zebranych jeszcze w r. 1770, wezwał go, aby zechciał swój zbiór ze zbiorem towarzystwa połączyć, obiecując przytém znaleźć osobę, która da nakład na wydanie pieśni. Smoler zgodził się wejść w umowę, ale okazało się, że Haupt nakładcy znaleźć nie mógł. Tymczasem księgarz Gebhardt w mieście Grimme, posłyszawszy o Smolerowym zbiorze, ofiarował po 20 talarów za arkusz, z tém, aby do serbskiego tekstu dodać niemieckie tłumaczenie pieśni. Związany umową z Hauptem, Smoler musiał się zgodzić na ustąpienie połowy wynagrodzenia, chociaż okazało się, że Haupt ani słówka po serbsku nie rozumiał, a jego zbiór pieśni nie miał żadnej wartości. Zeby jednak za połowę wynagrodzenia Haupt cokolwiek zrobił, Smoler porucił mu rymować niemiecki przekład, który sam dokonał i napisać przedmowę. Wśród takich okoliczności wyszedł pierwszy zeszyt pieśni w r. 1840, a cały zbiór w r. 1843 p. t.: „Piesnički bornych a delnych lužiskich Serbów,“ pysznie in 4<sup>o</sup> wydany w ilości 1000 egzemplarzy. Zbiór ten, zawierający 100 arkuszy druku, pomimo wysokiej ceny 11 talarów za egzemplarz, w krótkim czasie został rozkupiony. Gebhardt zrobił dobry interes, Smoler zastąpił jako wzorowy wydawca pieśni, ale najwięcej wygrali serbowie: uczeni słowiańscy dowiedzieli się, że serbowie w Łużycach jeszcze żyją! <sup>1)</sup> Od

<sup>1)</sup> Podana przez Jana Woka z Kocziny pieśń, nazwana „Serbów do-



tego dopiero czasu uczeni czesi, rosyanie, polacy i inni zwrócili uwagę na serbów, zainteresowali się nimi, poczęli zwiedzać ich kraj, a to wszystko, dzięki Smolerowi, wpływało korzystnie na podniesienie ducha narodowego w Łużycach.

Jak oceniono pracę Smolera w uczonym świecie, wskazuje nadzwyczajna w podobnych razach łaska królewska. Nie wiemy za czyjś wstawieniem się, ale to pewno, że król Fryderyk Wilhelm IV za wydanie „Piesniczek serbskich” zaszczycił Smolera złotym medalem.

Po skończeniu nauk teologicznych w początku r. 1840, Smoler zamierzał zająć posadę duchowną w Łużycach, a nim to się stać mogło, starał się o miejsce nauczycielskie choćby w prywatnym domu, atoli w Łużycach takiego miejsca znaleźć nie mógł. Niespodziewany wypadek popchnął go na inną zupełnie drogę. Nowy król pruski, Fryderyk Wilhelm IV, przybył r. 1840 do Wrocławia dla odebrania hołdu prowincyi. Br. Stillfried (później hr. Alkantara), mistrz ceremonii, razem i prezes towarzystwa naukowego w Zgorzelcu, znając Smolera, jako umięjącego po czesku, zamierzył poruczyć mu przetłómaczenie po niemiecku różnych starych dokumentów czeskich, które br. Stillfried, jako potomek sławnego czeskiego rodu Stojmirów, licznie w swém archiwum zgromadził. W rozmowie ze Smolerem br. Stillfried zapytał go, jak długo zamierza zostać we Wrocławiu? A gdy mu Smoler objaśnił, że przyjął zobowiązanie domowego nauczyciela na Szlązku, baron zrobił uwagę, że lepiejby było, aby, zostawszy we Wrocławiu, poświęcił się nauce rzeczy słowiańskich, dla zajęcia profesury słowiańskich języków, mającej być ustanowioną przy uniwersytecie wrocławskim. Na uwagę Smolera, że dla braku środków utrzymania się, nie jest w stanie dłużej pozostać we Wrocławiu, br. Stillfried poradził mu podać prośbę do króla o stypendyum. W odpowiedzi na podaną prośbę, Smoler otrzymał list, z własnoręcznym podpisem króla, zawiadamiający o udzieleniu mu z osobistego skarbu królewskiego stypendii na trzy lata, z tém, aby corocznie składał w królewskim gabinecie sprawozdanie o swych słowiańskich studiach, a w czasie wakacyi, aby w miarę możności zwiedzał słowiańskie kraje, później zaś aby przyjął profesurę słowiańskich języków w jednym z uniwersytetów pruskich, jeśliby się taka nastęrczyła. Z radością przyjąwszy łaskę królewską, Smoler szczerze wziął się do nauki i był jednym z najpilniejszych uczniów wiado-

bycza“ (w t. I, pieśń IV), stanowi znakomity rapsod rycerski z czasów wojen serbów z niemcami. Ani Smoler przy wydaniu tój pieśni, ani Roman Zmorski przy tłómaczeniu jój po polsku (w Gazecie warszawskiej r. 1859 nr. 298) nie domyślali się o wysokiej wartości tój pieśni dla historii i literatury polskiej. Pracując nad dziejami serbów łużyckich w r. 1860, przekonałem się, że pieśń ta opiewa bohaterskie czyny Bolesława Chrobrego jak tego starałem się dowieść w „Rysie dziejów serbo-łużyckich,” 1861, str. 90. Uczeni serbowie zgodzili się z mojm zdaniem.

*Autor.*

mego lingwisty Czelakowskiego, powołanego przez rząd pruski na nowo-otworzoną katedrę języków słowiańskich przy uniwersytecie wrocławskim. Powtórnie zostawszy studentem Smoler, wydał w r. 1840 w Budyszynie „Serbo-niemieckie rozmowy“ i „Mały serbsko-niemiecki słownik,“ a także wspólnie ze swym ziomkiem Warko przełożył na język serbski „Ohlas pění českých“ Czelakowskiego i „Kralédworski rukopis,“ później wydrukowane w Pradze. Zamierzał w tym czasie zwiedzić słowiańszczyznę, ale dostęp do krajów słowiańskich, według jego wyrażenia, „był deskami zabity,“ udało się mu jednak z profesorem Czelakowskim pojechać do Czech w roku 1842.

Jak przedtém u Purkyniego, tak teraz w domu Czelakowskiego, Smoler zbliżał się z uczonymi słowianami. Tam poznał się z znakomitymi uczonymi rosyjskimi: Izmaelem Sreżniewskim i Bodiańskim, z czechem filologiem Ambrozym i słynnym szlązkiem astronomem Bogusławskim. Otoczenie tych mężów głębokiej nauki i miłości dla sprawy słowiańskiej podniecało jeszcze bardziej Smolera i młodych jego kolegów do pracy na korzyść narodowości serbskiej. Tymczasem pod wpływem wrocławskich patriotów, a także słowackich poetów Sztura i Kolara, młodzież budyszyńska usiłowała dźwignąć lud serbski z upadku moralnego. W tym celu Piotr Jordan w początku r. 1842 począł wydawać w Budyszynie tygodniową gazetę p. t.: „Iutrniczka,“ ale w piątym miesiącu wydawnictwa oświadczył, że dla braku prenumeratorów gazeta utrzymać się nie może. Okazało się, że użycie pisowni pośredniej między dawną serbską a czeską, utrudniło ludowi czytanie gazety. Nie mogąc obojętnie patrzeć na upadek jedynej serbskiej gazety, Smoler pospieszył do Łużyc, aby znaleźć redaktora, któryby nie potrzebował żadnego wynagrodzenia. Znakomity serbski poeta Zeiler, podówczas proboszcz ewangelicki we wsi Łazie i ojciec Karol Smoler, nauczyciel tamże, chętnie przyjąwszy myśl podaną przez Jana Smolera, wzięli się do pracy. Wioska Łaz, o 3½ mili od Budyszyna położona, stała się ogniskiem redakcyj gazety „Tydźeńskie nowiny“ ogłoszonej drukiem w Budyszynie, co tydzień pół arkusza. Zejler pisał wiersze i bajki, trafnie przypadające do pojęć ludu, Smoler, ojciec, pisał o rolnictwie i wiejskiem gospodarstwie; lecz duszą redakcyi był Jan Smoler, który, przypatrzawszy się czynności czeskich patriotów w sprawie oświecenia ludu czeskiego, potrafił nadać gazecie kierunek, odpowiadający potrzebom ludu serbskiego. „Tydźeńskie nowiny,“ pisane stosownie do pojęć ludu, zyskały liczbę prenumeratorów, wystarczającą dla podtrzymania gazety, a chociaż cenzura niemiecka nie pozwalała „Tydźeńskim nowinom“ zajmować się polityką, nie przeszkadzało to im kierować umysłem rodaków i powoli posuwać ich po drodze narodowego odrodzenia. Wkrótce redakcyja gazety stała się wyrocznią ludu: wszystko, co w niej powiedziano, przyjmowano za nieomylną prawdę. Powaga i znaczenie Jana Smolera rosły.

Zadowolniony powodzeniem pierwszej serbskiej gazety, Smoler przemysłliwał, jakoby utworzyć taką instytucją, któraby mogła stać na straży interesów narodowych serbskich. Obcowanie z Purkyniem i Czelakowskim, wreszcie pobyt w Czechach, nasuwały mu myśl założenia w Łużycach towarzystwa na wzór „Macy Czeskiej.“ Przyjąwszy więc na wzór statut wzmiankowanej Macy, Smoler ułożył we Wrocławiu projekt stowarzyszenia serbskiego, a przybywszy do Budyszyna w r. 1843, na zgromadzeniu patryotów serbskich przełożył wniosek o konieczności założenia niezwłocznie „Towarzystwa Macy serbskiej.“ Myśl jego przyjęto z radością, ale nim przystąpiono do czynu musiano obejrzeć się na wszystkie strony, aby podejrzliwość niemiecka nie obróciła w niwecz rozpoczętego dzieła. Kto miał wreszcie przyjąć na siebie zadanie uzyskania od rządu zatwierdzenia statutu towarzystwa? Jan Smoler, jako pruski poddany i student uniwersytetu wrocławskiego, nie miał na to prawa i środków, a w Łużycach nie było nikogo, ktoby się mógł podjąć doprowadzenia do skutku przedsięwziętego zamiaru. Sprawa zaciągnęła się, ale Smoler nie tracił nadziei. Skończywszy nauki na wydziale filologicznym w r. 1844, zostawał jeszcze we Wrocławiu, skupiał koło siebie młodzież, przygotowywał umysły do zjednoczenia sił narodowych w postaci stowarzyszenia, nie zaniedbując niczego, coby pożytecznym być mogło dla podniesienia narodowości serbskiej. Za jego poradą wydano w 1845 r. pierwszy kalendarz serbski, „Protykę,“ urządzono pierwszy słowiański koncert w Budyszynie. Kantor kościelny, Kocor, zebrał śpiewaków, kierował muzyką, ale organizatorem i duszą uroczystości był Smoler. Na kalendarzach lud uczył się czytać i poznawać zalety własnego języka,—koncert przekonał, że mowa serbska jest przydatną do śpiewu. Smoler pojmował, że serbów jak dzieci od kolębki wypada uczyć chodzić powoli, nim nastąpi chwila energicznego działania. Przeniósłszy się do Lipska w r. 1846, jako redaktor, wydawanego przez d-ra Jordana pisma „Jahrbücher für slavische Literatur, Kunst und Wissenschaften,“ Smoler nie przestawał działać dla urzeczywistnienia najulubieńszej jego myśli—stowarzyszenia serbskiego. Ciągła praca, nie zawsze dostatek, wreszcie cierniami usłana droga, stargały siły młodzieńca: Smoler uległ mocnej chorobie piersiowej, i gdy leżał, umierający prawie, złodzieje oprócz innych rzeczy ukradli medal złoty, którym go zaszczycił król Fryderyk Wilhelm IV za wydanie pieśni serbskich. W ciągu téj choroby udało się Smolerowi założyć w Lipsku z pozwoleniem rektora uniwersytetu „Słowiańskie Towarzystwo“ dla zgromadzania się studentów serbo-łużyckiej, polskiej i czesko-słowiańskiej narodowości.

Tymczasem rzucona przez Smolera myśl stowarzyszenia serbskiego, znajdowała coraz szersze uznanie w Łużycach, aż nareszcie zastępca burmistrza miasta Budyszyna dr. Adolf Klin, udawszy się do Drezna, wyjednał pozwolenie rządu saskiego na założenie Towarzystwa Macierzy Serbskiej w celu wydawania dobrych pism popularnych

i naukowych, jakoteż i czasopisma dla oświecenia ludu, oczyszczenia i wykształcenia języka ojczystego. Dzień zatwierdzenia statutu Macicy 26 lutego 1847 r., powitany był z nieopisaną radością. Smoler całkiem poświęcił się sprawom Macicy, redagował odezwy do ludu, zwoływał członków Towarzystwa na walne zgromadzenie w Budyszynie 7 kwietnia 1847 r., jednoczył i zachęcał do pracy na korzyść ludu serbskiego. Wielce zasłużony w tej sprawie Adolf Klin został wybrany prezesem Towarzystwa, ale najtrudniejsza praca redaktora czasopisma padła na Smolera.

Dzień, w którym odbyło się pierwsze zgromadzenie członków Macicy serbskiej, został wielką uroczystością narodową. Lud cały aż do najuboższego rolnika przekonał się, że to, o czém zwiastowali mu Smoler i młodzi jego towarzysze, ziściło się w sposób najpomyślniejszy. Wszyscy zrozumieli, że odtąd poczyna się w dziejach ludu serbskiego nowa epoka odrodzenia narodowości; Smoler i jego przyjaciele tryumfowali!

Wstąpiwszy na drogę literacką, Smoler przedłużał pracę swoje w Lipsku jako redaktor „Slavische Jahrbücher,” gdy niespodziewanie rewolucya francuska w lutym 1848 r. spokój zakłóciła. W Lipsku gotowało się zaburzenie, rozsądne jednak postąpienie rządu saskiego usunęło powody do naruszenia spokoju. Tymczasem na odgłos wybuchłej w Berlinie rewolucyi w marcu 1848 roku, wzburzona młodzież niemiecka postanowiła ruszyć do Berlina. W liczbie „wielu lekkomyślnych lipszczanów,” Smoler, jak sam powiada, pospieszył do Berlina, aby obaczyć co się tam dzieje. W podróży już spostrzegł swój błąd; zamyślał wrócić do Lipska, ale pociąg ruszał szybko, a na przystanku mnóstwo ciągnących żołnierzy oznajmiało, że rewolucya skończona i że król wojsko wyprowadził z Berlina. Wstąpiwszy do miasta, Smoler spotkał tłumy ludu, wyprowadzające z Moabitu Mirosławskiego i jego towarzyszy z r. 1846. Porządek w mieście utrzymywali mieszczanie złożony z siebie straż bezpieczeństwa, do której i legia akademicka należała. Przy tej legii był osobny oddział polski, któremu najważniejsze punkty, jak np. poczta, powierzone były do strzeżenia. Na zapytanie Smolera, dla czego by na warcie stali polacy, jeden berliński Niemiec odpowiedział: „Was wollen sie heute zu Tage ist mit den ehrlichen Leuten so viel Gesindel vermengt, dass man Niemandem trauen kann. Aber die Polen, das sind lauter rechtschaffene Leute und darum hat man ihnen die wichtigsten Posten anvertraut.“ (Co chcesz? W tej chwili z uczciwymi ludźmi pomieszano się tylu łajdaków, że nikomu wierzyć nie można. Ale polacy wszyscy są porządni ludzie i dlatego najważniejsze punkty im do strzeżenia powierzono).

Nie długo zabawiwszy w Berlinie, Smoler wrócił do swego spokojnego Lipska, ale ówczesne sprawy niemieckie nasunęły mu myśl wyzyskania z nich czegokolwiek na korzyść własnej narodowości. Zo-

stając oddawna w dobrych stosunkach z Robertem Blumem przywódcą liberalnej młodzieży lipskiej i w obec wybrania Bluma posłem na sejm frankfurcki, Smoler udał się do niego listownie z prośbą o wstawienie się jego u sejmu, aby serbom wolno było używać własnej mowy w kościele, szkole i przed sądem. Blum nie zaniechał przyjaźnie odpowiedzieć i widać, że działał energicznie, albowiem już w początku czerwca 1848 r. ogłoszono w gazetach, że sejm frankfurcki 31 maja, uwzględniając prawa wszelkich narodowości na ziemiach należących do związku niemieckiego, przyznał, że słowianie na równi z włochami i duńczykami, mają prawo używania swego języka w sprawach kościelnych, sądowych i literackich. Wiadomo jednak, że postanowienie sejmu frankfurckiego spełzło na niczém, ale dla widoków Smolera inne nastęrczyły się okoliczności.

W skutek zniesienia przez rządy niemieckie dawnych przywilejów, niemiecka budyszyńska gazeta straciła wyłącznie jej służące prawo umieszczania wiadomości politycznych. Dowiedziawszy się o tém Smoler po świętach Wielkanocnych roku 1848, przeniósł się z Lipska do Budyszyna, przyjął od Zeilera redakcyą gazety „Tydzenske Nowiny,“ mającej wówczas 375 prenumeratorów, zwiększył jej półarkuszowy format na cały arkusz i na pierwszy raz wypuścił 1000 egzemplarzy w obieg po wsiach łużyckich. Przyjaciel jego Imisz wędrował od wsi do wsi, pokazywał gazetę, tłumaczył korzyść wypływającą przez jej czytanie, zaostrzał ciekawość rodaków. Lud z ciekawością czytał ustępy polityczne, trafnie do jego pojęć pisane; gazeta zyskała wziętość, liczba prenumeratorów wnet podniosła się do 872 i niejedyn serb, który dawniej był zwolennikiem niemieckiej budyszyńskiej gazety nazawsze ją porzucił. W tymże 1848 roku Smoler założył w Budyszynie towarzyskie zjednoczenie „Biesiada,“ w celu, aby po całodzienniej pracy Serbowie mogli się schodzić na pogadankę i zabawę, posłuchać śpiewów i dramatycznych przedstawień w ojczystej mowie. Był to jeszcze jeden środek dla uniknienia wynarodowienia i podtrzymania obyczaju narodowego. Prezesem „Biesiady“ Smoler zostawał w ciągu dwudziestu pięciu lat.

Mając własny organ, Smoler przemysłował jakby rozproszone umysły rodaków skierować ku jednemu wielkiemu celowi: odrodzenia narodowości. „Jak niemcy o niemczyznę, tak niechaj serby starają się o serbstwo,“ prawił Smoler rodakom, a przyjąwszy myśl tę za hasło narodowe, szerzył ją między rodakami z wielkiem powodzeniem. Po całych górnych Łużycach poczęły się formować kółka, niby małe stowarzyszenia serbskie, ciężące do głównego centra w Budyszynie, mianowicie tamecznego „Serbskiego stowarzyszenia.“ Smoler był nie tylko generalnym sekretarzem, ale i duszą wszystkich stowarzyszeń. Pod jego wpływem poraz pierwszy serbowie poczęli nabierać przekonania o godności narodowej, o prawach serbów na równi z niemcami, przyjmować udział w zarządzie kraju, wreszcie o konieczności

wybierania do sejmu saskiego posłów z pomiędzy serbów gorliwych o swą narodowość.

Wszystko to działo się w tym czasie, kiedy powszechne zaburzenie w Niemczech unosiło Saksonią w odmet rewolucyjny. Demokraci sascy, pociągani wpływem swych braci z innych krajów niemieckich, otwarcie wystąpili przeciw rządowi królewskiemu, i kusili ludność do wspólnego z nimi działania. Większość sejmu saskiego okazała się nieprzyjazną królowi i jego ministrom, lud domagał się reform administracyjnych. Dla przełożenia rządowi o potrzebach powszechnych, ludność całej Saksonii wezwano do wypowiedzenia zdania względem własnych potrzeb i przyszłego urzędzenia kraju. Serbowie znaleźli się w krytycznym położeniu. Wypadało koniecznie radzić i robić,—ale co? Na pierwszy rzut oka zdawało się koniecznym połączyć się z Niemcami i stanąć po stronie sejmu, aby uzyskać względy Niemców gospodarzy kraju. Z drugiej strony wdzięczność rządowi saskiemu, za łaskawe obchodzenie się z serbami, nakazywała im trzymać się króla. Zdania podzieliły się, od Smolera zależało popchnąć opinią powszechną w tę lub ową stronę. Będąc przekonanym, że od demokracji niemieckiej narodowość słowiańska żadnych względów oczekiwać nie może, i że serby moralnie zobowiązani byli nie opuszczać króla w krytycznym razie, Smoler radził wysłać deputacyą serbską do Drezna z oświadczeniem życzliwości dla rządu królewskiego i przełożenia mu potrzeb serbów. W skutek tej rady deputacya serbska z 15 osób, udawszy się do Pilnic, przedstawiła się królowi z oświadczeniem wierności ludu serbskiego. Niepomierne zdziwienie ogarnęło dwór królewski, że ci, na których król najmniej liczył, jedynymi jego przyjaciółmi zostali. Z wielkiem więc wzruszeniem i radością król przyjął deputacyą i oświadczył gotowość przyjąć petycyą, która mieć chciała „aby mowa serbska na ziemi serbskiej takich samych praw używała, jakich mowa niemiecka w niemieckiej ziemi, a mianowicie: w szkole, kościele, przed władzami i przed sądem,“ a także „aby w gimnazyum budyszyńskim i w seminaryum nauczycielskim w Budyszynie język serbski był wykładany uczniom jako przedmiot naukowy.“ Po niejakiem czasie ministeryum saskie dało odpowiedź na petycyą serbską z obietnicą uskutecznienia życzenia serbów. Wszakże reakcyą, która nieco później za ministerstwa Beusta nastąpiła, wstrzymała wykonanie obietnicy rządu saskiego. Smoler doradzał cierpliwość, wierność królowi i spokojne zachowanie się wśród wzrastającej ciągle burzy rewolucyjnej. A gdy nareszcie rewolucya potokiem krwi zmyła bruki Drezna, Albertyński pułk piechoty z samych serbów złożony, jedyny pozostał przy królu. Pod ochroną tego pułku, król szczęśliwie wyszedł z Drezna, gdzie na czele tryumfującej rewolucyi stanął Niemiec Tschirner, niegdyś adwokat w Budyszynie.

Jeszcze podczas pobytu w Budyszynie, Tschirner poznał doniosłość wpływu Smolera na serbów, oraz przychylność jego rodaków dla króla saskiego. Stanąwszy na czele rewolucyi w Dreźnie i zamie-

rzając podnieść ją w całej Saksonii, Tschirner usiłował podburzyć serbów, lecz znając ich nieprzyjaźń przeciw Niemcom, umyślił na apostoła rewolucyi wysłać słowianina, któryby łatwiej znalazł przyjęcie u serbów.

Jednego dnia zjawił się w domu Smolera cudzoziemiec, mianujący się rosyjskim poddanym, nazwiskiem Ubril, z oświadczeniem, że będąc na kongresie słowiańskim w Pradze, zamierzył odwiedzić serbów i bliżej poznać ich sprawy. Wychodząc od Smolera, Ubril zaprosił go do hotelu na obiad. O tém zdarzeniu Smoler powiedział swoim znajomym. Między nimi znaleźli się tacy, którzy byli na kongresie słowiańskim w Pradze, a jeden z nich oświadczył, że cudzoziemiec, którego widział wychodzącego od Smolera, nazywał się nie Ubril a Bakunin. Smoler poszedł do hotelu i tam cudzoziemiec przyznał się, że rzeczywiście był Bakuninem, przy czém oznajmił mu, że przybył do Budyszyna z pewnym zamiarem i prosi Smolera o pomoc, ponieważ Tschirner powiedział mu, że Smoler powszechnie zaufanie między Serbami posiada. Przystęp Bakunin szepnął Smolerowi do ucha, że pomoc mu potrzebna, aby serbów do rewolucyi nakłonić. Dalszą rozmowę Bakunin życzył prowadzić po polsku a nie po niemiecku, aby nie być podsłuchanym przez Niemców; ale Smoler, nie chcąc kompromitować Polaków, rzekł, że mu łatwiej mówić po niemiecku. Bakunin zgodził się na to i dalej mówił, że jeszcze w Dreźnie przekonał się o trudności podburzenia serbów przeciw królowi, ale że z pomocą Smolera możnaby namówić serbskich rolników, aby się ruszyli przeciw swym niemieckim panom, właścicielom dóbr ziemskich, spalili ich domy, przez co rewolucya będzie gotowa. Na to Smoler odparł, że serbscy rolnicy przeciw panom (ryczerkublerjom) nie powstaną, ponieważ ci od r. 1835, ani jako Niemcy, ani jako panowie rozkazywać nie mają prawa. Niemiecki pan posiada większy majątek, a serbski rolnik mniejszy, zresztą we wszystkiem są równi. Cała różnica między nimi w tém, że jeden bogatszy a drugi uboższy, jeden płaci więcej podatków a drugi mniej. A jeśli się zdarzy pan świadomy serbskiej mowy, dobre rady dający serbom, to ci wybierają go na przedstawiciela swojej gminy. „Hm, rzekł Bakunin, widocznie tu z rewolucyi nic nie będzie, pomówmy o innych rzeczach.“ Tu Bakunin począł rozpowiadać o podpaleniu z jego rozporządzenia królewskiego dworu w Dreźnie, ale na nieszczęście, dodał, mało się spaliło. Na zapytanie Smolera dla czego takie niepotrzebne sprawy czyni, Bakunin miał odpowiedzieć: „mojém powołaniem jest istniejące zburzyć: czyto formę rządu, czy zamek królewski, czy pałac bogacza (Mein Beruf ist es, das Bestehende zu zörsteren: sei es eine Regierungsform, sei es das Schloss des Königs oder der Palast eines Reichen). A gdy go Smoler zapytał, coby nowego chciał utworzyć zamiast zburzonych form i grodów, Bakunin odpowiedział: „moje powołanie zniszczyć, odbudować innym zostawię.“ Zörsteren ist mein Beruf, den Neubau mögen Andere besorgen. Smoler zauważał, że według jego mniemania każdy mądry człowiek, waląc dom stary, myśli jakby zamiast niego lepszy wy-

budować. Ale Bakunin znowu rzekł: „moja mądrość jest zniszczyć, wasza tworzyć, zostawiam ją wam; zobaczymy która z nich światu większy pożytek przyniesie.“ Wkrótce potem Bakunin odjechał do Drezna, gdzie na głos Tschirnera zbiegali się rewolucyoniści z różnych krajów, ale z serbów łużyckich żaden do rewolucyi nie przystąpił.

Tymczasem, gdy rewolucya w Dreźnie tryumfowała, w Łużycach panował spokój, a w Budyszynie znajdowali przytułek słowianie z różnych krajów, losem ówczesnych wypadków zmuszeni szukać chwilowego bezpieczeństwa na obcej ziemi. Znajomy Smolera jeszcze we Wrocławiu, Roman Zmorski z Poznania, Teofil Lenartowicz z Krakowa, unita Terlecki, rusin Wasilewicz z Galicyi, chorwacki literat Topolowicz, ostatni trzech z Pragi, po rozpedzeniu przez Windischgrätza słowiańskiego kongresu, do Budyszyna przybyli. Oprócz nich w Łużycach mieszkał młody polak Gołębiowski. Spokojny ich pobyt został zagrożony przez wojska pruskie, dążące do Drezna, na wezwanie króla saskiego dla przytłumienia rewolucyi. Dwa bataliony prusaków miały zająć Budyszyn. W obec tego, Smoler wszystkich słowiańskich gości wysłał na wieś, umieszczając ich w domach protestanckich księży. Wkrótce jednak Smoler wezwał ich napowrót do Budyszyna; okazało się bowiem, że załoga pruska złożona była przeważnie z Polaków (z Poznańskiego), którzy otrzymali najlepsze kwatery i w przyjacielskie stosunki ze Smolerm weszli. Z nastąpieniem pokoju, wzmiankowani wyżej słowianie powrócili do domu, tylko Zmorski zostawszy w Budyszynie, wydawał miesięcznik polski „Stadło.“ Lenartowicz także pobyt swój przedłużał. Niepodobało się to drezdeńskiej policji, która zażądała, aby Lenartowicz opuścił Saksonię. Wtedy Smoler udał się do wsi Nowoslic, gdzie mieszkał deputat sejmowy serb Piotr Czyż. Ten z przedstawicielem gminy, na prośbienie Smolera, zwołał obywateli gminy do „hromady“ w celu przyjęcia Lenartowicza do gminy. Pożądana uchwała zapadła, a spisany o tém akt Czyż posłał do Drezna; policya zamilczeć musiała i Lenartowicza zostawiono w spokoju.

W 1850 r. król Fryderyk August wyprawił następcę tronu saskiego, księcia Alberta, do Budyszyna. Powszechnie myślano, że książe wysłany do Budyszyna jedynie dla tego, aby przy swym pułku jako major obowiązek pełnił. Tymczasem Smoler został powołany do Drezna, gdzie mu na dworcu krolewskim oświadczano, że król pamiętając jak w r. 1849 żołnierze serbscy wiernie przy nim stali, życzy okazać swą wdzięczność ludowi serbskiemu i że dlatego książe Albert ma w Budyszynie przyzwyczaić się do serbskiej mowy, a Smoler zostanie jego nauczycielem. Półtora roku pobytu księcia w Budyszynie dostateczne były dla poznania języka serbskiego o tyle, że książe mógł się rozmówić z serbami. Smoler od natury uzdolniony przezornością i taktem postępowania, pedagogiczne zajęcia z księciem umiał prowadzić w sposób zachęcający nie tylko do poznania mowy serbskiej, ale i do polubienia ludu, słynnego ze swęj prawości całą masą,



czego o innych ludach powiedzieć nie można. Usposobienie księcia okazało się najprzyjaźniejszym dla serbów, którzy z niewypowiedzianą radością spotykali przyszłego króla, odzywającego się do nich w ich ojczystym języku. Lud prosty pojąć nie mógł, jakim się sposobem stało, że z ust przyszłego króla słyszy mowę, o którym mu przez wieki niemcy prawili, że jest chłopską gwarą, którą jaknajprędzej zapomnieć wypada. „Nie! mówili serby, jeżeli mowa nasza dostąpiła godności mowy królewskiej, to témbardziej godną jest do szanowania jęj przez królewskich poddanych!“ Odtąd nadzieja zachowania narodowości serbskiej ugruntowała się w masach, odtąd Smoler zajął pierwszorzędne stanowisko we własnym narodzie!

Po powrocie księcia Alberta do Drezna rozeszła się wieść o zamiarze jego wstąpienia w stan małżeński z księżniczką z domu Wazów. Serbowie postanowili nie opuścić zręczności dla okazania swęj wdzięczności księciu. Wnet wybrana deputacya z Łużyc, mając na czele Smolera, udała się do Drezna i wznaczony czas stanęła w rezydencji królewskiej. Smoler serbską mową powitał księcia, który odpowiedział także po serbsku, a jego małżonka, świadoma czeskiej mowy, nie zaniedbała przy tej zręczności pokazać deputacyi, że i ona rozumie po serbsku. Później kilka jeszcze deputacyi serbskich, dla wyrzeczenia królowi wdzięczności serbów w obec różnych wypadków, udawały się do Drezna. Smoler organizował wszystkie takie deputacje, lecz dla słabości zdrowia nie zawsze mógł im przewodniczyć.

Zostawszy w r. 1850 serbskim poddanym i obywatelem miasta Budyszyna, Smoler założył w tém mieście handel księgarski, wyłącznie serbski, a od r. 1851 rozpoczął wykład języka ojczystego w tém samém gimnazyum budzyszyńskiem, w którym przed 20 laty on pierwszy ośmielił się przemówić po serbsku. Oprócz tego przyjął na siebie wydawnictwo gazety „Tydzenske Nowiny,“ nie szczędząc pracy i nakładów, byle gazetę, a przez nią oświatę szerzyć między serbami. Na wzmiankowane przedsięwzięcie Smoler musiał zaciągnąć pożyczkę w sumie 15,000 m., aż do czasu gdy gazeta znacznie dochód przynosić. Nie rychło to nastąpiło, deficyt coroczny pograżał wydawcę w smutne rozmyślanie o przyszłości, ale dzielny obywatel nie tracił energii. Baczyl na potrzeby narodowe, a zauważywszy, że serbowie jeszcze używali kalendarzy niemieckich, wypuścił w r. 1854 kalendarz serbski w liczbie 1000 exemp.; wieśniacy wnet je rozchwyтали; Smoler wypuścił drugi i trzeci tysiąc i te się rozeszły. Odtąd kalendarze niemieckie w górnych Łużycach zupełnie wyszły z użycia. Tymczasem wojna wschodnia w latach 1854—56 podniosła popyt na gazety. Tydzenske Nowiny zamiast 1000 egzemp. rozchodziły się w liczbie 2 tysięcy egzemp., a chociaż po wojnie liczba prenumeratorów zmniejszyła się, nie zrażał się tém Smoler, ulepszał gazetę, zmienił w r. 1858 nazwę jęj na „Serbskie Nowiny“ i tak umiał trafić do myśli i smaku swęj społeczności, że Nowiny stały się organem narodowym, zyskały zupełne zaufanie ludu, zespoliły się z jego życiem tak, że dotąd lud

serbski stosuje się we wszystkiém do tego, co podają Serbskie Nowiny. Poświęcając całe życie usługom swój narodowości, Smoler widział najwyższe swe szczęście w pomyślném rozwijaniu się Towarzystwa Miacy Serbskiej, z jego myśli powstałego. Był redaktorem czasopisma Towarzystwa od roku 1847 do r. 1853, później sekretarzem, współpracownikiem bez wszelkiego wynagrodzenia, w rzeczywistości był duszą Towarzystwa. Wszystko, co zdziałało Towarzystwo, stało się za poradą i przy udziale Smolera. Bez niego istnienie Towarzystwa w ciągu pierwszych dziesięciu lat było niemożliwe.

Czuwając nad potrzebami ludu serbskiego, Smoler przekonywał się coraz bardziej, że dla duchowego odrodzenia serbów, własnych ich sił było za mało. Wypadało szukać wsparcia u pobratymców, a własnych rodaków przekonać, że nie są jeszcze zapomniani przez sto milionów słowian. Ale żeby trafić do serca braci wypadało kołatać długo i nieustannie. O solidarności między ludami słowiańskimi wówczas nie myślano prawie. Każdy lud prowadził literaturę i politykę na własną rękę, nie zważając na innych pobratymców. Paszporty, komory celne i kordony graniczne, jakby murem nieprzebytym rozdzielając sąsiednie państwa, dopełniały odosobnienie ludów. Wobec takiego położenia rzeczy rzadko jaki podróżnik słowiański zaglądał do Budyszyna, rzadko jaka nowina z Łużyc doleciała za sąsiednie kordony, w podręcznikach zaś szkolnych o Łużyczach nie wzmiankowano. Wiedział o tém wszystkiém Smoler i dla oznajomienia cudzoziemców i słowian z Serbami Łużyczanami, tudzież ze sprawami słowiańskimi w ogólności, wydawał „Slavische Jahrbücher“ od roku 1849 do 1857, starał się o zawiązanie bliższych stosunków z Czechami, Słoweniami i Polakami. Na podróż brakowało środków, a nadzieja pomocy braci słabła. Wtém ożywiony po wojnie krymskiej stan Rosyi w latach 1857, 1859 wabił go do Petersburga dla zawarcia stosunków literackich i księgarskich, oraz dla szukania pomocy materyalnej. Pobyt w Budyszynie, znanego uczonego rosyjskiego Aleksandra Hilferdinga w roku 1858 podniecił Smolera do pędzszego wyjazdu zagranicę. Spodziewając się załatwić sprawę w ciągu kilku tygodni, Smoler ze szczupłym zapasem pieniędzy udał się najtańszą drogą przez Szczecin, morzem do Petersburga, gdzie niedaleko przystani, na Wasilewskim Ostrowiu w hotelu „Kaizera“ zamieszkał w czerwcu r. 1859. „Latem świat petersburski zwykł mieszkać na dacy.“ Smoler przekonał się, że do jesieni spraw swych nie załatwi. Traktował z księgarzami, rozmawiał z literatami, każdy obiecywał, ale każdy czując, że ma do czynienia z człowiekiem bez pieniędzy, usuwał się od interesu. Czas upływał, pieniądze wyczerpywały się, groziła nędza, ale dobry gospodarz hotelu „Kaizer“ poznawszy Smolera, oświadczył, że może mu odkryć kredyt do 500 rubli. Z nastąpieniem jesieni Petersburg ożywił się, Smoler otrzymał propozycyą dostarczania dziennikom artykułów, objaśniających stosun-

ki panów do włościan niemieckich, po uwłaszczeniu, a ponieważ podobna kwestya wówczas mocno interesowała całą Rosyą, artykuły Smolera znalazły dobre przyjęcie i wynagrodzenie, wynoszące do ośmdziesięciu rubli za arkusz druku. W ciągu kilku miesięcy Smoler napisał około sześciu arkuszy drukowanych i to mu pomogło do załatwienia potrzeb w Petersburgu. Później na wezwanie dyrektora „cesarskiej publicznej biblioteki“ barona Korfa, Smoler pomagał w urzędzeniu przewodnika nowo wychodzących książek w Rossyi. Czynność ta, oprócz pewnego wynagrodzenia, pożądaną była dla zebrania materyałów do czasopisma, które S. na przyszłość wydawać zamierzał. Słaby stan zdrowia nie pozwalał Smolerowi odbywać wśród zimy dalekiej podróży pocztą, kolei żelaznej wtedy jeszcze nie było, musiał więc pozostać do wiosny, tj. do rozpoczęcia nawigacyi. W ciągu zimy zaznajomił się z uczonymi rosyjskimi, z których znakomity lingwista p. Izmael Sreżniewski, znajomy mu jeszcze we Wrocławiu, był najlepszym jego przyjacielem. Hilferding także okazywał swe względy Smolerowi, ale najserdeczniejsze przyjęcie czekało go zawsze w domu Sreżniewskiego. Światły ten mąż, szanując wszystkie narodowości słowiańskie, nie uwodził się jak wielu innych widokami kwaśnego patriotyzmu, cenił ludzi według ich zasług i dla tego wysoko poważał serbskiego patriotę. Z nadejściem wiosny Smoler z zasobami notat, masą książek i pustą kieszenią, bo pieniężnej pomocy nie otrzymał, gotował się do wyjazdu. W maju r. 1860 kilku znajomych, wliczbie ich Sreżniewski, odprowadziło gościa do Kronstadt, z kąd popłynął do Lubeki 12 maja na parostatku „Kastor“, mając powierzoną swojej opiece żonę Sreżniewskiego z trojgiem dzieci.

Po powrocie do Budyszyna Smoler założył w r. 1860 pismo beletrystyczne „Żużiczka“, które wkrótce przeszło w rozporządzenie M. Hornika, a sam zajął się wydawnictwem czasopisma „Zeitschrift für slavische Literatur Kunst und Wissenschaft“ (1862—65). Nowo powstająca w owym czasie szkoła główna w Warszawie, zbierając profesorów po całym świecie, wezwała Smolera, za poradą p. Pąplńskiego na profesora lingwistyki słowiańskiej (r. 1862). Smoler pojmując atoli, że przytomność jego w Budyszynie konieczną jest dla sprawy narodowej, nie przyjął stanowiska, korzystnego pod względem materyalnym. Oceniając ten obywatelski postępek Towarzystwo Macicy Serbskiej na walnym zgromadzeniu po Wielkiejnocy r. 1863 mianowało Smolera pierwszym swym honorowym członkiem i złożyło mu dziękczynny adres, z wierszem Fidera, zastosowanym do wzmiankowanej okoliczności. W tymże czasie z powodu obchodzenia w Petersburgu (r. 1862) uroczystości tysiąca lat od założenia państwa Rosyjskiego, Najjaśniejszy Cesarz Aleksander II, wskutek przedstawienia Akademii Nauk Petersburgskiej, w liczbie wielu uczonych słowian, udekorował Smolera orderem św. Anny 2-jej klasy.

Smoler, zajęty ciągle pracą nad oświecaniem ludu serbskiego, pędził przez następne lata żywot wśród swojej rodziny w Budyszynie. Nie przyjął powtórnego zaproszenia, podobno za inicjatywą p. Ławrowskiego, na profesurę do uniwersytetu warszawskiego, ponieważ pragnął zostawać w domu, ale zbieg wypadków miał go jeszcze raz wywołać z domowego ustronia. Pamiętny jest ruch słowian zachodnich w r. 1867 i zjazd etnograficzny w Moskwie w celu wzajemnego porozumienia się. Na ten zjazd zaproszeni zostali i przedstawiciele serbów łużyckich. Jechać czy nie jechać? W pierwszym razie obawiano się podejrzliwości niemieckiej, gotowej w najmniejszym oznaku dążeń słowiańskich upatrywać zdradę stanu, w drugim obawiano się, aby nieobecność serbów nie poczytano za obojętność, lub może i za niechęć stosowania się do postępków słowian austriackich i tureckich. Po radzie Smoler i młody doktor Duczman, jako przedstawiciele serbów-łużyczanów, udali się w podróż, a przybywszy na stacją Granica na krańcu kordonów austriackiego i rosyjskiego, zastali tam kilkudziesięciu czechów, morawów, słowaków, horwatów, serbów, dalmatów i t. d., dążących do Warszawy a ztąd do Petersburga. Dla załatwienia potrzeb ogólnych w podróży wybrany został komitet, do którego wszedł Smoler. Podróż od Granicy do Petersburga goście słowiańscy mieli bezpłatną; w Petersburgu dla ich przyjęcia najęto hotel Belle-vue na Newskim prospekcie, prawie naprzeciw pałacu cesarskiego, zwanego Aniczkińskim. Nazajutrz po przybyciu Smoler meldował się posłowi pruskiemu, ks. Reuss, który zastępował miejsce rezydenta saskiego, uczestniczył na bankietach, jako członek wybranego przez 80 gości komitetu honorowego i we wszystkich okolicznościach postępował z wielkim taktem. Na jednym bankiecie zaszła mowa o konieczności ustanowienia w Rosyi więkšej liczby szkół gimnazyalnych, przy czém minister hr. Tołstoj zrobił pytanie: zkąd wziąć dla języków klasycznych nauczycieli cudzoziemców, którzyby po rosyjsku umieli. Smoler poradził założyć w Lipsku seminaryum nauczycielskie, w którémby i po rosyjsku uczono. Projekt ten później urzeczywistniony został. Tymczasem postanowiono z pośród 80 gości wysłać deputacyą w liczbie 23 osób dla przedstawienia się cesarzowi Aleksandrowi II. Smoler z upoważnienia deputacyi udał się do posłów pruskiego, austriackiego i tureckiego z prośbą o wyjednanie audyencyi u cesarza z zachowaniem wszelkiej etykiety dyplomatycznej. Ks. Reuss poczynił wnet stosowne kroki, inni posłowie także zrobili co etykieta nakazywała, deputacya z 23 osób, w ich liczbie Pałackiego i Rigera, stanęła przed cesarzem w Carskiem-Siole. Kiedy z kolei prezentował się Smoler, cesarz rzekł do niego: „Z panem możemy mówić po rosyjsku, byłeś już dawniej w Rosyi, jakże ją teraz znajdujesz?“ Smoler odpowiedział: „W krótkim czasie Rosya zmieniła się do niepoznania: poddaństwo zniesione, sądy głośne, prasa uzyskała swobodniejszą ustawę.“ Cesarz został zadowolony z tej odpowiedzi. Cesarzowa rozpytywała się Smolera o jego literackiej czynności, Smoler dawał odpowiedź; ale wtém córka cesarska, wielka

księżna Marya (obecnie księżna edynburska), podszedłszy do Smolera, zapytała go o zdrowie i podała rękę. Smoler według etykiety ucałował rękę jej wysokości i ze wszystkich deputatów jeden tylko takiego zaszczytu dostąpił <sup>1)</sup>.

Podczas pobytu gości słowiańskich w Moskwie na wystawie etnograficznej, potem w powrocie ich do Petersburga aż do wyjazdu za granicę państwa rosyjskiego, Smoler, jako wybitniejsza postać, figurował na bankietach, zgromadzeniach, wieczorach, a zawsze z wielkim taktem. Przemawiał o konieczności pojednania między sobą powaśnionych ludów słowiańskich, zawsze mówił szczerze, otwarcie, bronił słabszych, nie zważając czy to się obecnym podoba lub nie. Względem Niemców zachowywał największą w słowach ostrożność, wiedząc naprzód, że każde jego słowo ulegnie ostrzej krytyce w Niemczech. Nie ochroniło go to jednak od napaści prasy niemieckiej. Sama przytomność saskiego poddanego, Smolera, na wystawie etnograficznej w Moskwie, była już dostatecznym powodem do uszczypliwych przeciw niemu wycieczek. Augsburgska „Allgemeine Zeitung“ utytułowała go: „Vorkämpfer des moskauer Byzantinismus“ inna gazeta „Grenzboten“ nazwała go „Vertreter einer panslawistischen Agitation“, a berliński „Kladderadatsch“, przypomniawszy, że obok Smolera był jeszcze Duczman, postarał się ze śmiesznej strony wystawić Schmalera i Deutschmanna, jako Niemców na panslawistycznym zgromadzeniu w Moskwie <sup>2)</sup>. Inne pisma niemieckie nie szczędziły obelg i potwarzy uczestnikom zjazdu w Moskwie. Smoler wpadł w podejrzenie sprzyjania panslawizmowi. Mniejsza o to, mówił on, ludzie rozsądni rozumieją, że serbom nie o politykę chodzi, ale o uzyskanie sposobów i środków rozwijania oświaty. I rzeczywiście podróże jego do Petersburga miały przedewszystkiem na celu znalezienie współczucia i pomocy materyjalnej dla serbów. W tymże r. 1867, Smoler, korzystając z obchodzonej przez Niemców uroczystości 300-letniego jubileuszu gimnazjum budyszyńskiego, wydał studjum po serbsku: „Wo slowiańskich mestrzych mjenach w Hornej Kużicy a wo ich uznanie“ i po niemiecku „Die slavischen Ortsnamen in der Oberlausitz und ihre Bedeutung. Praca ta dobitnie przypomniła Niemcom, do jakiej narodowości należał kraj, w którym drogą podboju spanoszyła się kultura niemiecka.

1) Z autobiografii Smolera.

2) Herr Schmalder und Herr Deutschmann,  
 Sie zogen gen Moskau hin  
 Sie zogen bass von dannen  
 Mit biederm Slavensinn...  
 Dort lagen sie an den Brüsten  
 Der Panslavavia  
 Herr „Smoljar“ und Herr „Dučmann“  
 Und schrien *Slava-va*.

Wróciwszy z wystawy etnograficznej do Budyszyna, Smoler wydawał „Slavisches Centralblatt“ aż do r. 1869, redagował „Serbskie Nowiny“, pobudzał rodaków do czynności i pomnażał księgozbiór towarzystwa Miacicy serbskiej. Książek i zabytków starożytności drogą darowizny nagromadziło Towarzystwo w znacznej ilości, ale żeby z nich mogli korzystać serbowie, wypadało mieć na ten cel pomieszczenie publiczne, a tymczasem książki w pakach przechowywały się w prywatnych mieszkaniach. Smoler pragnął temu zaradzić przez nabycie stosownego domu na własność towarzystwa Miacicy serbskiej. Ale z kąd wziąć 100,000 marek ludziom ubogim, zmuszonym ciężką pracą zapewniać sobie chleb powszedni. Nie zrażał się tórn Smoler, oszczędzał ze swych dochodów pieniądze, redukując swe wydatki do nieodbitych potrzeb, zbierał z pomocą „dobrych ludzi“ składki, a gdy w r. 1873 sprzedawano w Budyszynie plac z niewielkim budynkiem w bardzo dogodnym miejscu. Smoler postanowił nabyć tę posiadłość dla Miacicy serbskiej na własne ryzyko za 23,000 talarów, chociaż mógł ledwo 500 talarów zadatku złożyć. Później ze składek i różnych darów zapłacił on jeszcze 10,000 talarów, a procenta „wobec ubóstwa „Miacicy serbskiej“ nieraz z własnej kieszeni umarzać musiał. Nabycie tej posiadłości przyczyniało mu niemało kłopotów i niepokoju: tylko nadzieja wzniesienia w przyszłości na nabytym placu „Domu serbskiego“, sładziła gorycz, nużącą żywot serbskiego patrioty. Wdzięczniejszym okazał się pomysł założenia drukarni serbskiej w r. 1875. Kapitał zakładowy Smoler znalazł w Pradze z możliwością wypłaty z dochodów. Drukarnia, urządzona wyśmienicie, tak, że może konkurować z najlepszymi prowincjonalnemi zakładami tego rodzaju i jedyna w Łużycach, posiada przyrządy do drukowania nut muzycznych, z powodu czego wielu Niemców oddaje roboty do drukarni Smolera. Praktyczne urządzenie drukarni dało możność wyłożony kapitał 24,000 marek umorzyć z dochodów, ale ważniejszy z nię nabytek dla piśmiennictwa serbskiego, które, pozbywszy się zależności od kaprysów drukarzy niemieckich, zyskało możność bystrego rozwijania się. Dopóki serbowie nie mieli własnej drukarni, utwory literackie nieraz po kilka lat czekać musiały, aż drukarz Niemiec raczy łaskawie je wydać. Teraz co innego. Drukarnia Smolera drukuje niezwłocznie serbskie rzeczy i w ciągu piérwszych czterech lat istnienia wydała więcj książek serbskich aniżeli ich wyszło w ciągu poprzednich lat 15-tu we wszystkich drukarniach. U innych ludów taki wypadek, jak założenie drukarni, nie zasłużyłoby nawet na wspomnienie w dziejach, ale u serbów-łużyczanów, obdartych, zubożonych przez wieki, opuszczonych przez stan majątnych ziemian, każdy zakład, dający przytułek myśli i środkom oświaty, jest nieoszacowany. Zapatrując się z tego punktu, łatwo pojąć, jaką usługę rodakom swym wyświadczył Smoler przez założenie drukarni. Zapewniwszy tym sposobem łatwość i taniość wydawnictwa książek potrzebnych dla ludu, Smoler przemysliwał, jakby wynaleść środki dla kształcenia młodzieży serbskiej

w uniwersytetach, aby mieć dostateczną ilość księży, lekarzy, prawników i nauczycieli serbskiego rodu. Dolne Łużyce szczególnie rychłej pomocy w tym względzie wymagały. Składki zbierane w kraju i zagranicą nie wystarczały i nie były pewne. Za inicjatywą Adolfa Parczewskiego z Kalisza i za wdaniem się Smolera, założone zostało w Budzynie w r. 1880: „Towarstwo pomocy za studujących serbów,” którego prezesem wybrano Smolera.

Lata koło pracy dla dobra publicznego upływały szybko. Starsi wiekiem zeszedli do grobu, Smoler stał na straży narodowości, cieszył się nieograniczonem zaufaniem swego narodu, był członkiem wielu stowarzyszeń naukowych <sup>1)</sup>, zyskał rozgłos w całej słowiańszczyźnie, miał możność niejednokrotnie otrzymać korzystną posadę w Rosyi, wolał jednak biedny żywot wśród swego narodu, aby go bronić od napaści wrogów. Zbliżała się starość. Całkiem zajęty sprawami lubego serbowstwa starzec zamyślony, melancholijny, dziwne spędzał chwile. Niedostatek środków materyalnych dla dźwignienia spraw narodowych, wprawiał go nieraz w zadumanie, niedostatek księży serbskich napełniał obawą o przyszłość parafii, pozbawionych proboszczów rodaków. Patrzył własnymi oczyma na widoczny rozwój narodowości serbskiej, cieszył się podrastającym pokoleniem, uzdolnionem do pracy i ofiarności, pojmował, że to wszystko stało się według jego myśli, ale na wspomnienie niezadowolonych jeszcze potrzeb narodowych ogarniał go znowu smutek, a tu jeszcze nowe kłopoty na głowę starca spadały. Zejście ze świata w krótkim czasie 10 proboszczów serbskich, po większej części w d. Łużycach i zamiar rządu obsadzenia tych parafii Niemcami, zagroziły wynarodowieniem kilkunastu tysięcy serbów. Tego Smoler znieść nie mógł. Księża serbskiego pochodzenia zabrakło, księża protestanckiego wyznania Czechów i Polaków ministerium berlińskie nie życzyło dopuścić do zajęcia wakuujących parafii, ludność domagała się kapłanów, mówiących zrozumiale dla ludu; zgodzono się wezwać Słowaków, ale na sprowadzenie i utrzymanie kandydatów w ciągu roku potrzebne były pieniądze. Zkąd je wziąć? Pobratymcy nie pospieszyli z pomocą, czas upływał, ministerium nagliło gminy do prędszego obsadzenia osieroconych parafii, obiecując przysłać księży niemieckich. Lud tego nie życzył sobie, patrioci wołali do Smolera o ratunek. Nadzwyczaj przykry stan rze-

1) Od 11 grudnia 1856 r. był członkiem-sółpracownikiem Muzeum starożytności i komisji archeologicznej w Wilnie; r. 1859 członkiem miłośników literatury rosyjskiej; r. 1860 członkiem-korespondentem rosyjskiego archeologicznego Towarzystwa; 1861 r. członkiem uniwersytetu charkowskiego, wybrany za inicjatywą p. Ławrowskiego; członkiem Srpskiego učenoga društwa w Belgradzie; członkiem kaznodziejskiego stowarzyszenia (Prediger Gesellschaft) w Lipsku, Oberlausitzer Gesellschaft der Wissenschaften w Zgorzelcu, Ctenarskiego spolku w Pradze od r. 1874 i różnych stowarzyszeń serbo-łużyckich: Macicy, Biesiady w Budzynie i t. d.

czy mocno zmartwił patryotę. Osłabiony na siłach starzec, za poradą pp. A. Parczewskiego i I. Kraszewskiego zamierzył osobiście udać się do Warszawy w celu zebrania składki na sprowadzenie księży słowaków do Łużyc. W marcu r. 1881, przybywszy do Warszawy w towarzystwie swej żony, Smoler znalazł tam najserdeczniejsze przyjęcie. W tymże czasie przybył do Warszawy proboszcz katolicki m. Budyżyna, Michał Hornik, najwierniejszy współpracownik Smolera. Dwaj rodacy różni według wyznania wiary, lecz obaj równą ogrzani miłością chrześcijańską, znaleźli się w syrenim grodzie, szukając pomocy bratniej. I nie omylili się! Współczucia im okazano niemało, publiczność wykształcona pospieszyła z ofiarą na korzyść braci. Ze składek okazało się możebnym zapewnić utrzymanie dwóch księży słowaków. Zawdzięczając więc prasie warszawskiej i młodzieży dwie parafie łужицkie otrzymały proboszczów, świadomych ludowej mowy. Zostawiało jeszcze 8 parafii, dla których Warszawa nie mogła udzielić pomocy, albowiem według pojęcia ludzi możnych zostawały do załatwienia ważniejsze sprawy, chociaż ze składki dla szlązaków zostawały zbyteczne pieniądze w dość okrągłej sumie. Jedni utrzymywali, że sumę tę wypada użyć na potrzeby serbów, inni dowodzili, że serby nie są szlązakami, a więc sumę pozostałą można użyć na pomoc żydów. O tém wszystkiém dzieje rozpowiedzą kiedyś szczegółowo, my tymczasem wracamy do naszego przedmiotu.

Odpoczynek, rozrywka, serdeczne przyjęcie w domach warszawskich wpłynęły na polepszenie zdrowia Smolera. Zaspokojony zdobyciem środków na obsadzenie proboszczami dwóch parafii serbskich i nadzieją dalszej pomocy, starzec odżył moralnie. Młodzież uniwersytecka garnęła się do niego, szanując go jako patryotę ludu, oświadczyła gotowość nieść pomoc braciom z nad Sprewi. A on tymczasem, przemyślując, jakaby usługę mógł okazać Słowiańszczyźnie, podniósł oddawna zamierzony przez siebie projekt scentralizowania w Krakowie handlu księgarskiego dla słowiańszczyzny, aby tym sposobem uniknąć monopolii lipskiej i zachowania słowiańszczyźnie milionów, opłacanych księgarzom lipskim za komis. Projekt Smolera, kompetentnych w sprawach księgarskich, jako głównego gospodarza firmy „Schmaler et Pech“ w Lipsku zasługiwał na poparcie <sup>1)</sup>. Nie tu miejsce rozpisywać się, dla jakich powodów znakomity ten projekt nie doszedł do skutku. Wierzymy, że zbadanie i pojęcie głębsze korzyści, wynikających z urzeczywistnienia wzmiankowanego projektu, pobudzi kiedyś do wprowadzenia go w życie: tymczasem zaznaczamy dla przyszłości fakt, że zbawienną radę, której nie usłuchano, podawał we właściwym czasie znakomity patryota słowiański—Smoler.

Po dwumiesięcznym pobycie w Warszawie Smoler, pragnąc odwiedzić dzieci swe, córkę i syna w Niżnim-Nowogrodzie, przybył do Pe-

<sup>1)</sup> Zob. rozbiór téj sprawy w „Bibl. Warsz.“ z r. 1882, w zesz. kwietniowym, str. 150—153.



tersburga. Ale tu spotkała go niespodzianka dla serbów bardzo niepomyślna z następnego powodu. Jeden z magnatów rosyjskich, powodowany chęcią wspomżenia serbów dla nabycia placu w Budyszynie, pożyczył w r. 1873 Towarzystwu Macicy Serbskiej 6000 talarów, aż do czasu, kiedy się okaże możność zwrócenia téj sumy, ale z „pewnych widoków“ życzył, aby suma ta została zahipotekowaną na nieruchomości Towarzystwa. Pewni będąc najlepszych zamiarów dobroczyńcy, serbowie byli spokojni względem wzmiankowanej pożyczki. Tymczasem dobroczyńca nie z własnej winy, ale przez innych postradał swój majątek na rzecz wierzycieli trzeciej osoby, za którą dał poręczenie. Wyznaczony dla zlikwidowania interesu konkurs podniósł kwestyą wypłaty przez Towarzystwo Macicy Serbskiej należności z procentami około 12,000 rubli, oświadczwszy, że w przeciwnym razie zmuszony będzie domagać się sprzedaży nieruchomości Towarzystwa na umorzenie długu. Można sobie wyobrazić, co się działo ze Smolerem na myśl o tém, że wszystkie jego starania, kłopoty i wydatki na nabycie placu w Budyszynie przypadną, że ze sprzedażą tego placu nadzieja na zbudowanie „domu serbskiego“ zniknie, a Towarzystwo zubożone i moralnie podkopane pochylić się może do upadku. Posępne myśli trawiły 67-letniego starca, a tu jeszcze dochodzące do niego niepomyślne wiadomości z Łuzyc o zejściu ze świata znowu kilku kapłanów serbskich i o niemożności zastąpienia ich serbami, doprowadzały go do melancholii: trzeba było szukać pomocy. Dawni przyjaciele serbów Sreźniewski, Hilferding i kilku innych już dawno pomarli, nowsi nie pospieszili z pomocą: położenie było krytyczne. Zabiegali poczciwi czesi, mieszkający w Petersburgu, zwołali swych członków na wiec w „Biesiadzie Czeskiej“, złożyli co mogli, zabiegali i polacy, ale starania ich ograniczyły się do bardzo szczupłej składki: wielu bowiem nie uważało za potrzebne pomagać serbom w obec rozchodów na różne inne składki i na zrujnowanych w Warszawie (r. 1881) żydów <sup>1)</sup>.

Pod ciężarem niepowodzenia opuścił Smoler Petersburg w czerwcu r. 1881, udając się do Niżniego Nowgorodu, gdzie mieszkała jego córka, żona p. Czocha, rodem łuzyczanina i syn Jan, uczeń dworzńskiego instytutu, w którym p. Czoch jest starszym nauczycielem. Z Niżniego Nowgorodu Smoler odbył podróż do Kazania, gdzie w kółku profesorów uniwersyteckich miał kilku znajomych, dobrze dla serbów usposobionych. Troskliwe dzieci zatrzymywały ojca w N. Nowgorodzie aż do wiosny r. 1882. Starzec zdawał się przychodzić do polepszenia zdrowia. wrócił do Petersburga, ale nie mógł bez żony wychodzić na ulicę, obawiając się upadku sił. Kołatał jeszcze do ofiarności na rzecz serbów; skutku jednak nie było; starał się o umorze-

<sup>1)</sup> Pogląd autora jest w téj kwestyi nietylko powierchowny, ale i stronny, wynikający zapewne z różnicy położenia geograficznego, z którego autor zapatruje się na potrzeby społeczeństwa polskiego. *Red.*

nie jakimkolwiek sposobem pretensyi konkursu do Towarzystwa Macicy Serbskiej, ale grube ryby finansowe ważyły interes pieniężny, a nie sympatye narodowe. Wypadało wracać do domu z pustemi rękami i małą nadzieją załatwienia sprawy z konkursem. Słabość zdrowia nie pozwalała Smolerowi odbywać podróży koleją żelazną, puścić się więc z żoną w drogę na parostaku „Henriette“ z Petersburga do Lubeki d. 28 czerwca r. 1882.

Pomimo upadku sił Smoler zachowywał zupełną przytomność umysłową, pamięć, zdolność bystrzej kombinacji i ciągle był zajęty korespondencyą w celach ulubionego serbowstwa. Przed wyjazdem z Petersburga mówił o konieczności prędszego wzniesienia „domu serbskiego,“ z któregooby jak z fortecy serbowie mogli drogą cywilizacyi odpiierać napady wszelkich serbo-żerców. Zajęty ciągle myślą o przyszłości ludu swego, wspominał, że już upłynęło 50 lat od czasu jak mu niegdyś rektor gimnazjum budyszyńskiego mawiał, że mowa serbska wkrótce ustać musi, a jednak nie tylko, że nie zgasła, lecz rozwinęła się i dalej się kształci. „Sprawa g. Łużyc, twierdził nieraz, w zupełnym porządku, ale d. Łużyce potrzebują rychłej pomocy i wsparcia.“

Ostatni rok życia Smoler spędził w Budyszynie w towarzystwie żony i syna Marka. Osłabione siły dozwalały mu z rzadka tylko wychodzić z domu, ale o najdroższej ojczyźnie nie przestawał myśleć ani na chwilę. Po półwiekowej pracy mąż wielki patrzył na jej owoce. Przed 50 laty pierwszy zawołał: jeszcze nie zginęła! Podniósł śmiało sztandar idei narodowej, szedł z nim wytrwale naprzód, niczem się nie zrażając. Młodzież biegła pod osłonę sztandaru, ubóstwiała go, powtarzając wyryte na nim słowa: jeszcze nie zginęła! Mąż wielki szedł dalej, orszak jego mnożył się, wzrastał w siły, gotowy dźwigać dalej sztandar narodowy. A gdy mistrz znużony trudami legł w niemocy, uczniowie jego, rażnie dźwignąwszy sztandar odrodzenia, chórem wołali: niech żyją Łużyce! Zbliżyła się ostatnia chwila. Na pół omdlały, lecz zupełnie przytomny starzec z radością patrzył na dojrzewające dzieło rąk swoich. Pojmował bowiem, że schodząc ze świata zostawia swą narodowość w stokroć lepszym położeniu, aniżeli widział ją w młodości. Z rozrzewnieniem patrzył na swych ziomek wytrwale prowadzących rozpoczęte przez niego dzieło, troszczył się o środki dla rychłego wzniesienia „domu serbskiego,“ przepatrywał serbskie czasopisma i na kilka godzin przed śmiercią kazał podać sobie do przepatrzenia przygotowany do druku numer „Serbskich Nowin.“ Było to zrana 13 czerwca 1884 r. Przekonał się, że już nie widzi. Przybył ojciec duchowny kapłan Kalich, przybył i najbliższy powiernik myśli Michał Hornik, gromadka otoczyła mistrza schodzącego ze świata. Życie jego gasło powoli, wreszcie o trzy kwadransy na 9 odrodziciel narodu zasnął! Jęk i boleść rozległy się po całych Łużycach, aż do najbiedniejszej chaty. Wszystkie gminy postanowiły pospieszyć dla oddania szacunku i ostatniej usłu-

gi wielkiemu patryocie. Jakoż w dzień pogrzebu 16 czerwca Budyszyn napełnił się ludnością w nieprzejrzaną liczbę. Telegramy z różnych miejsc słowiańszczyzny wyrażały spótczucie serbom z powodu poniesionej i nieodżałowanej straty. Protestanci i katolicy, niemcy i słowianie z równą czcią dla zmarłego spieszyli przyłączyć się do orszaku pogrzebowego. Wszystkie stowarzyszenia serbskie, poczynając od Towarzystwa Macicy Serbskiej, w liczbie czterdziestu otoczyły zwłoki swego patriarchy, niosąc palmy przewiązane białymi wstęgami, na których wypisane były stosowne do okoliczności myśli. Kondukt pogrzebowy przechodził po ulicach budyszyńskich w ciżbie ludu, jakiej jeszcze nigdy tam nie widziano. Śpiew pieśni pogrzebowych serbskich rozlegał się ponad miastem, w którym przez pół wieku zgasły mistrz pracował nad odrodzeniem narodości. Naród to czuł mocno, stawiał się przez swych przedstawicieli na pogrzeb, tak że nie zostało ani jednej gminy, któraby nie była reprezentowaną w tej żałobnej ceremonii. A gdy wreszcie orszak pogrzebowy przez Żidów (przedmieście) zdążył na Hradzisko, zastał tam nowe tłumy. Lud spieszył zewsząd; tłum jakby z pod ziemi wyrastał, śpiew pieśni serbskich szeroko rozlegając się po brzegach Sprewi przypominał światu, że tu jeszcze żyje ten sam lud, który przed tysiącem laty dał się poznać w sławnych bojach z Karolem W. Nad grobem przemawiali fararowie Kalich i Damaszk o wielkich zasługach zmarłego, a farar Jencz z Palowa kazał po niemiecku, aby oświecić przytomnych niemców budyszyńskich, jakiego to zacnego współobywatela stracili. Z kolei studenci lipscy, Waltar od korporacji studentów serbskich w Lipsku i Handrich od kaznodziejskiego stowarzyszenia głosili wyrazy żalu nad zgonem Smolera. Uciszyło się na chwilę. Farar Kalich odmówił modlitwę nad zmarłym: trumnę wypadło znieść do sklepu familijnego, — tłum poruszył się, — łzy popłynęły, po trzy garście ziemi rzucili na grób serbowie, ostatnia posługa oddana. Skończyło się!

Z Hradziska tłumy wracały pogrążone w smutku i rozmyślanii o stracie wodza. W mieście czytano odezwę zarządu Towarzystwa Macicy serbskiej, ogłoszoną w „Serbskich Nowinach“ z d. 16 czerwca. Członkowie zarządu, wyrażając nieopisaną boleść z powodu zgonu wodza narodu, cieszyli się nadzieją, że rozpoczęte przez niego wielkie dzieło odrodzenia narodowego, inni w jego duchu prowadzić będą. Tymczasem jęk boleści, rozlegając się po Łużycach, sięgnął do pobratymczych Czech i za kordony pruskie do braci nad Wartą i Wisłą a stąd na wschód i południe tak daleko, jak tylko serca i uczucia słowiańskiego stało. Wszędzie odczuwano stratę serbów, bo ta była także stratą całego Słowiaństwa. Nekrologi, życiorysy, poetyckie utwory i treny nad grobem Smolera napełniły karty gazet i czasopism słowiańskich. Zasługi nieboszczyka uznane zostały powszechnie, bezwzględnie, najszczerzej.

Pod silnym wrażeniem wypadku, serbowie jednomyślnie uczcili

zgasłego wodza mianem „wielkiego patryoty,“ pobratymcy nazwali go „odrodzicielem.“ I rzeczywiście, całe życie stał on u steru narodowości, bronił ję od burz i zniszczenia wobec nieprzyjaznych uraganów, prowadził swój lud ostrożnie wśród niebezpiecznych prądów, organizował go jedynie miłością ojczyzny, miłość tę przelał w serca rodaków, natchnął ich myślą, stworzył naród. Stusznie więc należy mu miano „odrodziciela.“

Pojmując zasługi i zbawienne rady Smolera, serbowie postanowili iść wskazanym przez niego torem. Smoler uznał konieczność zbudowania „domu serbskiego.“ Zapowiedź mistrza święta! Lud spełniając ją, znosi grosze na dom serbski. Mistrza niestało, ale z poza grobu myśl jego narodowi przyświeca. Upłyną lata, znajomi i towarzysze Smolera zejną ze świata, ale u grobu jego przyszłe pokolenia przypominać będą sławne czyny twórcy znakomitej epoki odrodzenia. Przeczuwają to serbowie-łuzycanie i pobratymcy, głosząc żałobne treny nad grobem wielkiego patryoty. Z najudatniejszych w tym względzie utworów jeden, porównyujący Smolera z dębem, który oplatając korzeniami swemi ojczystą wyspę, broni ję od zniszczenia przez fale i burze oceanu, tak śpiewa:

Ol budyszyński dębie stary! <sup>1)</sup>  
 Tyś ludu swego był kościołem,  
 Tyś uczył go ufności, wiary,  
 By ze wzniesionem dumnie czołem  
 Szedł w burze, walki, zawieruchy;  
 Tyś bohaterów budził duchy,  
 Tyś stworzył nowy naród cały!  
 Dziś nas rzuciłeś. Lecz zostały  
 Po Tobie wielkie czyny Twoje,  
 Twe walki, trudy, pracy, znoje,  
 A z nich wspaniały pomnik sławie,  
 Na którym, jako na kurhanie,  
 Wieki twa postać świecić będzie!  
 I kiedyś dziatwa w rząd zasiądzie,  
 A stara babka przy ognisku  
 Gwarzyć im zacznie o uoisku,  
 Niewoli, nędzach ludu swego,  
 A potem przejdzie do tych wielu,  
 Którzy zginęli w walkach jego,  
 I wspomni cię odrodzicielu,  
 I wszystkie twarze zajaśnią  
 I wszystkie serca się zapalą,

<sup>1)</sup> Wyjątek z utworu Zenona Przerzyńskiego (Mirriama), ogłoszonego w gazecie „Kraj“ nr. 26 i w „Łuzyczaninie“ nr. 9.

Będą wspominać za kolejną  
Przesławne czyny twe i dzieła,  
Aż wreszcie z ust ich grzmiącą falą  
Popłynie pieśń twa: „Nie zginęła!“

W tę samą myśl uderzając inny poeta śpiewa:

Błogosławiony co woiąż na wylomie <sup>1)</sup>,  
Zgubnej powodzi odpychając fale,  
Walczy do końca mężnie i wytrwale,  
Wzywając braci, by stali świadomie  
Wkoło chorągwi ojczystego dzieła,  
Co woła: „Nużę, zwątpieli rodacy,  
Z wiarą, nadzieją bierzcie się do pracy.  
Póki żyjemy, jeszcze nie zginęła.“  
Dziś w dół opadła dłoń upracowana,  
W grób legła starca pierś i głowa biała,  
Dziś grzebiez wodza, gromadko wytrwała,  
Lecz nie trać ducha, walka nie przegrana!

Dodamy: błogosławiony mąż, którego czyny zyskały jednomyślne uznanie całej Słowiańszczyzny; błogosławiony naród, z którego łona wyszedł mąż takiej wiary w niespożyta żywotność jego!

## E P I L O G.

Krótki życiorys Jana Ernesta Smolera podajemy czytelnikom „Biblioteki Warszawskiej“ jako ogólną charakterystykę otoczenia i czynów sławnego patrioty słowiańskiego, nie zaś jako wyczerpujące przedmiot studjum. Pięćdziesiąt lat pracy literackiej, społecznej i politycznej tego znakomitego człowieka, tak ściśle łączą się z dziejami odrodzenia Łużyc, że dla dokładnego ocenienia i uprzytomnienia sobie doniosłości wpływu jego nie tylko za życia, lecz i na przyszłość, wypada rozważyć postęp narodowości serbo-łużyckiej w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu. Praca atoli taka wychodzi poza obręb pisma peryodycznego.

Dla społeczności polskiej pamięć J. E. Smolera nazawsze zostanie drogą. Przez całe życie okazywał Smoler naszej narodowości szczerą sympatyą, czém mógł służył, dawał rodakom naszym rady zdrowe, nie jednemu z nich pomagał, a w wydawanych przez niego czasopiśmiech, szczególnie w niemieckim języku, podawał do wiadomości świata mnóstwo rzeczy z dziejów i literatury naszej. Bez niego nie wie-

<sup>1)</sup> Wyjątek z utworu Bronisława Grabowskiego, ogłoszonego w „Łużycanie“ nr. 10.

dzielibyśmy, że w Łużycach żyje jeszcze w pamięci ludu pieśń o czynach Bolesława Chrobrego. Aby jednak wdzięczność nasza była rzeczywistą, winniśmy przyłożyć się do uskutecznienia najulubieńszej jego myśli: „aby prędkiej zbudować dom serbski.“ Pomoc pieniężna, drogą składki, w którejby udział przyjęło jaknajwięcej ludzi, byłaby dowodem naszej dojrzałości moralnej i pojmowania sprawy pożytecznej dla wszystkich, albowiem w domu serbskim będą gromadzić się znajduwane w Łużycach dziejowe zabytki, między którymi okażą się i nasze. Redakcye pism warszawskich zrobiły już w roku 1882 cokolwiek na korzyść braci z nad Sprewy. Czy nie zechciałyby i teraz ułatwić publiczności złożenia ofiary! Ktoby życzył bezpośrednio nieść pomoc, może wszelkie kwoty przysyłać wprost do Budyszyna, na imię prezesa zarządu Towarzystwa Macicy serbskiej Michała Hornika, pod adresem: Bautzen (Königreich Sachsen) Herrn M. Hornik im Domstift.

Wielkich rzeczy się nie wymaga. Czesi po złotówce złożyli milion złr. na wzniesienie „Diwadła“ narodowego. Po złotówce serby-łużycanie zbiorą niezawodnie sto tysięcy marek na zbudowanie „domu serbskiego.“ Nieprzyjęcie udziału w tém przedsięwzięciu bezpośrednio nas dotyczącém, byłoby poniżającém. Kto ideę tę pojmuje, będzie wiedział co zrobić wypada!

---

# MOJE WSPOMNIENIA.

## USTĘP Z NIEWYDANYCH PAMIĘTNIKÓW

LEONA DEMBOWSKIEGO \*).

Pierwszego stycznia dyktator udał się do Modlina dla zwiedzenia stanu robót fortyfikacyjnych, które znalazł znacznie posunięte. Rząd tymczasowy pod dniem 15 grudnia wydał postanowienie, zaprowadzające juristitium od dnia 30 listopada w Warszawie, od 5-go grudnia w kraju, wyszczególniając, które sprawy bez przerwy mają być prowadzone, a które do spokojniejszych czasów odłożone być mają. Pod tą datą wydał także postanowienie względem formowania batalionów kurpiów w województwach Płockiem i Augustowskiem. Każdy batalion miał się składać z 600 ludzi. Trzydziestego grudnia dyktator uwolnił włościan i miasta od poboru liwerunku.

Siódmego stycznia, mimo woli dyktatora, deputacya sejmowa nadzorcza ogłosiła w gazetach manifest izb sejmowych. Tegóż dnia wrócił z Petersburga pułkownik Wyleżyński. Przywiózł list ministra sekretarza stanu do dyktatora z rozkazu monarchy pisany, w którym Najjaśniejszy Pan oświadcza mu swe zadowolenie za utrzymaną spokojność i zarazem wzywa, ażeby się zastosował do rozkazów cesarskich manifestem z dnia 17 grudnia ogłoszonych. Ustnie Wyleżyński doniósł o przybyciu wkrótce Jezierskiego, o niepomysłnym obrocie powierzonyj mu negocyacji. Natychmiast dyktator przybył na posiedzenie rady, odczytał odebrany list i, nie tając, że wojna jest nieuniknioną, wogóle polecił, ażeby się o ile możności do niej przygotować. Już widoczném było, że dyktator miał zamiar zrzec się powierzonyj mu władzy, albo-li téż otrzymać ją bez żadnego ograniczenia, t. j. pozbyć się onego nadzoru deputacyi sejmowój. W istocie deputacya ta w kilka dni po swojém utworzeniu zaczęła przybierać

---

\*) Ciąg dalszy—patrz zeszyt styczniowy 1885.

rolę, która dyktatora obrażała. Wprawdzie nie można jęj mieć za złe, iż pragnęła kontrolować działania tak rządu, jak dyktatora, bo inaczej jakże mogła wypełniać obowiązki, które jęj sejm powierzył. Lecz te ciągłe wywiadywanie się, co na której sesji postanowiono, a w skutku zngwu udzielane rady, czasem natarczywe, to nieustannie zanoszone żądania do dyktatora, kępowały działalność obu tych władz, a przyczyniały się do osłabienia ich powagi. Następnie pierwszych dni stycznia nastąpiły ożywione dyskusye między deputacją i dyktatorem o ogłoszenie manifestu. Dyktator oświadczył, iż przed powrotem Jezierskiego ogłoszenia tego nie dozwoli, Ledóchowski imieniem deputacyi zapewnił, że manifest ogłoszony będzie, a tym sposobem jawnie stanął w opozycyi z dyktatorem i, co więcej, na swoim postawił, bo, że cenzury nie było, wszystkim dziennikom manifest ten do ogłoszenia przesłał. Dyktator, wprawiony tém działaniem w nieukontentowanie, na téj sesyi, o której wspomniałem, oświadczył, że widzi potrzebę zwołania sejmu. Jakoż wydał uniwersał, zwołujący sejm na dzień 17 stycznia, warując, że dzień otwarcia sejmu przez dyktatora oznaczony zostanie. Na wstępie uniwersału było zamieszczone, że to zwołanie następuje na przedstawienie rady najwyższej i w moc artykułu 6 uchwały z 20 grudnia r. 1830, powód zaś—potrzeba wyrzeczenia względem dalszych sposobów zabezpieczenia bytu narodowego i obmyślenia stosownych do tego działań. Zaledwie te uniwersały zostały uchwalone, kiedy nowy nastąpił powód, zniechęcający dyktatora. Oto rzetelny opis wypadku:

Jedenastego stycznia zrana przybył do mnie kapitan Rzepecki, dowodzący jedną z bateryi nowoformujących się, a którego dobrze znałem, bo poprzednio kwaterował w Puławach. Zapytał mnie, czyli rządowi wiadome spiski, które w wojsku zaczynają tworzyć? A kiedy oświadczył, że żadnego w téj mierze doniesienia nie posiadamy, powiedział, iż 10 przyszedł do niego podpułkownik Dobrzański i kapitan Nieszokoć, obydwa dowodzący bateriami artyleryi, z oświadczeniem, iż batalion saperów, który już opuścił Warszawę i w którym miał dowództwo brat Lelewela, postanowił podnieść burzę, mówiąc, że celem jego będzie „utwierdzenie władzy dyktatora“ i że im poczyniono propozycye, ażeby do tego spisku należeli. Oświadczyłem Rzepeckiemu, ażeby się zatrzymał w mojem mieszkaniu, sam zaś natychmiast udałem się do dyktatora, uwiadamiając go o tém. Dyktator polecił mi, ażeby Rzepecki natychmiast u niego się stawił, a po otrzymaniu od niego bliższych detalów, przywołano Dobrzańskiego, który zeznał, że porucznik Nieszokoć, dowódzca IV kompanii artyleryi rezerwowój, zaraportował mu, że sapersy chcą przymusić artyleryą do działania kontra-rewolucyi. Na to doniesienie udał się Dobrzański do koszar i wypytywał się razem zebranych oficerów, a na osobności porucznika Waligórskiego, którzy potwierdzili, że chcą zmusić, ażeby rząd popierał wolę dyktatora. Dodał, iż zameldował o tém generałowi Bontemps, żądał, aby wydano karabiny i ładunki



dla IV i V baterji, polecik razem, izby tej bronj nie uzyto, jak tylko w razie, gdyby sapery mieli napaść na artyleryę. Generał Bontemps ze swej strony rozkazal wzmoćnić straż arsenału, a Stanisław Rzewuski dodał, iż Lelewel, Bronikowski, Mochnacki, Ostrowski Bolesław i Franciszek Grzymała mieli sesyę, na której uradzili, że, jeżeli dyktator sprzeciwiać się będzie utworzeniu Towarzystwa patryotycznego, należy go zmusić do tego powstaniem. Wysłano zaś Bronikowskiego do ks. Czartoryskiego, radząc, ażeby zakazał otwarcie klubu patryotycznego. Dobrzańskiego po tém zeznaniu przytrzymano w pałacu namiestnikowskim, a dyktator, zważając, iż od dni kilku okazują się oznaki wzbурzenia, rozkazal zaaresztować następujące osoby: Lelewela, Bolesława Ostrowskiego i Bronikowskiego. Dobrzańskiego odesłano na odwach. Wieczorem, kiedyśmy się rozchodzili z sesyi koło godziny 10, zastaliśmy cały przedsiönek zapełniony oddziałem pułku strzelców. Oficer wszystkich innych członków rządu przepuścił, lecz, kiedy przysła kolój na Lelewela oświadczył mu że ma rozkaz pod wartę zaprowadzić go do dyktatora, lecz zamiast, żeby to uczynił, zaprowadził go do oddzielnego pokoju, w którym już się znajdowali Ostrowski i Bronikowski. Nazajutrz zrana przysłał dyktator rozkaz, ażebym się u niego stawił. Kiedym przybył, mówik:—,Rzepecki prawdę powiedział! Z poczynionych indagacyi okazuje się, że Lelewel i jego stronnictwo zamierzili obalić dyktaturę siłą i w tym celu nietylko namówili saperów, ale nawet już i niektóre oddziały tak garnizonu warszawskiego jak i w obozie będące. Cóż myślisz? Co z nimi robić?“ — Odpowiedziałem dyktatorowi, iż, zdaniem mojem, jeżeli istotnie okaże się z indagacyi sądowych, że miano zamiar obalić jego władzę przez bunt, nie ma innego środka, jak ukarać tych, którzy będą winnymi, że, inaczej postępując, będziemy widzieli powtarzane sceny, jakie miały miejsce w pierwszych dniach powstania; nakoniec, że w podobnych okolicznościach należy powierzyć sprawę nie sądom zwykłym, lecz sądowi wojennemu, bo pierwszym warunkiem zachowania spokojności jest działanie szybkie. Na to dyktator odpowiedział:—,O ile dotychczasowe indagacye stwierdzają, nie ma najmniejszego wątpienia, iż chciano podnieść przeciwko mnie bunt. Również nie ma wątpienia, że sąd wojenny skaże winnych na śmierć. Czyli zaś moja władza jest dostateczną, ażeby podobny wyrok wykonać, to jest pytanie!“ — Na to mu odpowiedziałem:—,Nie można przesądzać z góry, jaki wyrok wypadnie! a chociaż z dorywczycich indagacyi zdaje się, że zamiar buntu istniał, lecz, kto jest w tém winny, są tylko domysły, nie może być dowodów. Zresztą, jakikolwiek na kogobądź wyrok zapadnie, wszakże dyktator ma władzę wyrok złagodzić: a nawet i winę darować!“ — Na to dyktator odrzekł:—,Czy sam fakt oddania Lelewela pod sąd nie wznieci gorszego jeszcze zaburzenia jak to, które, będąc odkryte, już przez to samo do skutku nie dojdzie? Lelewel, prócz tego, że jest zastępcą ministra, jest posłem, a co gorzej, jest członkiem deputacyi dozorczej. Gdybym go oddał pod sąd, jak przyznaję, że należałoby zrobić, któz mi zaręczy, jaka będzie postawa w tym wypadku jego kolegow z depu-

tacy dozorczej? Czyli dla ocalenia Lelewela nie złożą mię z dyktatury? Lecz, pominąwszy to wszystko, ja takiego intryganta nie ułaskawię, a, kto wykona wyrok? Na przekonanie się, spróbujmy! — Zawołał adjutanta służbowego i kazał przywołać pułkownika Łagowskiego, który dowodził akademikami, a gdy ten przybył, rzekł: — „Ze wszystkich oddziałów wojska najwierniejszemi są i największe przywiązanie do mojej osoby okazali mi — kompania pod jego dowództwem będąca. Jeżeliby w skutku wyroku sądu wojennego odkomenderowany został do rozstrzelania pana Lelewela oddział akademików, czy wypełni to zadanie?“ — Pułkownik Łagowski odpowiedział: — „Nie ręczę, czyliby chcieli rozlewać krew i odejmować życie które tyle jest znane przez swój patriotyzm.“ — Na to dyktator oświadcza: — „Łagowski kwestyą rozstrzyga“ — a kazawszy, ażeby nikomu o tém nie wspominał, kiedy wyszedł powiedział mi: — „Okazuje się, że jestem malowanym dyktatorem: mam powierzoną władzę nieograniczoną, której wykonywać nie mogę! Za tydzień zbierze się sejm i niech sobie z Lelewelą robią, co chcą. A wy w radzie róbcie także, co osądzicie możliwem, lecz widzisz, jak rzeczy stoją i możesz kolegów o tém ostrzedz.“ Na tém się zakończyła moja z nim konwersacya.

Kiedyśmy się zebrali na radę, przybył także Bonawentura Niemojowski, zastępca ministra sprawiedliwości. Był on już uprzednio u dyktatora i tam oświadczył swoje zdanie, że najstosowniej będzie zostawić rozpoznanie całego tego wypadku zwykłym sądom. To samo zdanie na radzie przedstawił, i rada, uwiadomiona przezemnie, iż dyktator jęj zostawił decyzją, jak postąpić z obwinionymi, postanowiła przychylić się do wniosku Niemojowskiego z tą jedną różnicą, iż dopóki sąd inaczej nie postanowi, oskarżeni z wolności odpowiadać będą. Do dalszych indagacyi tej sprawy nie przyszło, gdyż w kilka dni dyktator złożył swą władzę, a Lelewel został wybrany członkiem rządu, przez co samo, posiadając zaufanie izby, od sądowego dochodzenia uwolnionym został.

Te wszystkie wypadki, nietylko osłabiały władzę dyktatora i stały się powodem, iż partya ruchu śmielęj zaczęła działać, lecz nawet jęj działania zaczynały już się okazywać przez zbiegowiska, i tak: zjawiły się tumulta na Tamce, na Solcu i na ulicy Franciszkańskiej. Te ostatnie były nawet tak groźne, iż w nieobecności kolegów wziąłem na siebie odpowiedzialność i wezwałem gubernatora, ażeby II-mu pułkowi strzelców konnych rozkazał patrolować po tej ulicy i nie dopuścić rabunku, którym zebrane pospólstwo odgrazało. Na Lesnie robiono innego rodzaju demonstracye: naprzeciwno wzięcienia Karmelitów powieszono na szubienicy portret Roźnieckiego przy okrzykach: „Niech żyje Lelewel, nasz Dyktator!“ — Podobneż okrzyki inne zebranie wydawało na Nowolipiu, a przytrzymało stróża ministryum spraw wewnętrznych, który poił lud i rozdawał pieniądze, nakłaniając do wyżej wspomnianych okrzyków. Na ulicy Mostowej rozdawano pospólstwu broń, mieniając, iż to czynią z polecenia Lelewela. Ponieważ

nie dochodzono przyczyn tych wypadków i ograniczono się na patrolowaniu i rozpędzaniu zgromadzonych, nie było podobieństwa dociec, kto był powodem tych niespokojności. Partya Lelewela zarzucała konsulowi pruskiemu, że to on te zbiegowiska organizuje, dyktator był przekonany, że to jest dzieło stronnictwa ruchu. Co do mnie, myślę, iż konsul pruski nie miał żadnego powodu do podobnych machinacyi, z jego charakterem dyplomatycznym niezgodnych i których by nie mógł przedsiębrać bez upoważnienia od swojego rządu. Prędzej jest prawdopodobnem, iż to był skutek ciągłych usiłowań Mochnackiego i jego stronników, ażeby przez powstanie obalić władzę dyktatora. Mochnacki bowiem, jak to się z jego nawet dzieła pokazuje, wraz z swoimi adherentami ciągle spiskował. Czy Lelewel, którego zawsze za swojego naczelnika uważali, do tych machinacyi należał, to jest rzeczą nieodgadnioną, Mochnacki bowiem nie tylko przyznaje się, że chciał obalić dyktaturę, lecz po jej upadku chciał również nie tylko obalić rząd pięciu, ale nawet i sejm, przynajmniej tak sam wyznaje. Co jeszcze osłabiało powagę rządu dyktatora, to wolność druku bez żadnego hamulca. Wolność druku, z umiarkowaniem używana, niewątpliwie przynosi wielkie korzyści w krajach konstytucyjnych, lecz w położeniu, w jakim kraj się znajdował, nie było środka do zapobieżenia nadużyciom. Drukowano, obok najsprawiedliwszych uwag, mnóstwo oszczerczych podań, jak np. Brinkena, człowieka powszechnie szacowanego, oskarżono, że był szpiegiem. Podobnych wybryków było wiele, a żadnego środka zaradczego, bo po zniesieniu cenzury, radość z wolności druku stała się powodem swawoli, trybunały zaś z powodu juristitium w podobne sprawy wdawać się nie mogły. Między innymi wiele zaszkodził władzy dyktatora Dominik Krysiński, dawny deputowany, może, obok miłości własnej, którą w wysokim stopniu posiadał, obrażony, że go, przy niezaprzeczonem talencie powstanie nie powołało do żadnej czynności. Zaczął więc ogłaszać drukiem pamflety, w których rozbierał, czyli władza dyktatorska jest dla kraju potrzebną? a dochodził do wniosku, że nie tylko nie jest potrzebną, ale nawet szkodliwą. Krysiński zanadto wiele miał talentu, ażeby rzecz tę traktować powierzchownie; cios ten, zadany dyktatorze, nie łatwo było odwrócić.

Jeszcze za pierwszej dyktatury a w kilka dni po odejździe Lubckiego, to jest między 15 a 19 grudnia, ks. Czartoryski za przyzwoleniem dyktatora powysyłał agentów dyplomatycznych do rozmaitych dworów. Opatrzeni oni zostali instrukcją, w której główną zasadą było, ażeby się starali uzyskać poparcie dyplomatyczne mocarstw, celem otrzymania spełnienia całkowitego zawarowania traktatu wiedeńskiego, czyli innemi słowy, rozciągnięcie ustawy konstytucyjnej na gubernie od Polski oderwane i przyłączenie ich do Królestwa. Postano do Londynu margrabiego Aleksandra Wielopolskiego; do Paryża Konstantego Walickiego, lecz ten miał zlecenie oddać tylko instruk-

cyą i kredytywy generałowi Kniaziewiczowi, który podówczas w Paryżu bawił, tudzież polecić Romanowi Załuskiemu, także w Paryżu będącemu, ażeby z podobną misywą udał się do Sztokholmu, poczem Wolicki wraz z Linowskim mieli udać się do Stambułu. Kniaziewicz przyjął tę misywę. Wielopolski na Paryż udał się do Londynu, lecz w Paryżu chciał mieć audyencyą u p. Laffitte, prezydującego w ministerjum. P. Laffitte nie chciał się z nim widzieć i kazał mu powiedzieć, że, ponieważ dyktator oczekuje na skutek negocyacji, jakie bezpośrednio ks. Lubeckiemu powierzono, on żadnego agenta przyjmować nie może, dopóki skutek rozpoczętych negocyacji nie będzie wiadomy. Ta odpowiedź p. Laffitte była skutkiem przełożeń posta rosyjskiego hr. Pozzo di Borgo, który oświadczył p. Laffitte, iż cesarz rosyjski uważa powstanie w Warszawie za sprawę wewnętrzną, do której żadne obce mocarstwo nie ma prawa się mieszać i że zresztą sprawa ta zgodnie się ukończy, bo powstanie wysłało delegacyą do Petersburga, która niewątpliwie z panującym obmyśli środki uspokojenia kraju. Wielopolski więc udał się do Londynu. Później zamieszczę jakie były skutki jego usiłowań. Roman Załuski okazał zupełną nieświadomość w zawodzie dyplomatycznym. Nim opuścił Paryż, zwierzył się, może nie z celami, lecz z powierzoną mu misywą do Sztokholmu. Rosyjska dyplomacya zdołała dowiedzieć się o tém, a kiedy przejeżdżał przez Niemcy, przytrzymano go nim się do portu dostał i zaledwie, wyparłszy się wszystkiego, odzyskał wolność i wrócił do kraju. Co do Wolickiego i Linowskiego, ci przybyli do Stambułu. Wolicki zostawił tam Linowskiego a sam wrócił do kraju prawie wśród lata. Co do Austrii, nikogo tam nie posłano, bawił bowiem w Wiedniu brat młodszy ks. Adama, ks. Konstanty, ten więc przez cały czas powstania sprawował obowiązki pełnomocnika Polski, znosząc się z rządem za pośrednictwem rozmaitych osób wysyłanych z Warszawy lub Wiednia. Początkowo działania w Wiedniu szły oporem, ks. Metternich ani chciał słyszeć o jakiegokolwiek medyacji, lecz później rzeczy przybrały cokolwiek pomyslniejszy obrót, jak to się wykaże we właściwem miejscu.

Tymczasem w końcu grudnia przystąpiono do nowych formacji siły zbrojnej. W tym czasie trzecie bataliony już były do właściwych pułków wcielone; czwarte bataliony co do ludzi rekrutami ze straży bezpieczeństwa ściągniętymi, były dokompletowane a nie wiele już brakowało do ich umundurowania; piąte i szóste szwadrony były już także w gotowości, lecz stanowiły oddzielne rezerwy jazdy; nawet niektóre pułki jazdy nowoutworzone już były blizkie ukończenia swój formacji. Wtenczas dyktator polecił nowe zaciągi; składać się one miały z szesnastu pułków piechoty i aczkolwiek dopiero w pierwszych dniach stycznia wydane zostało stosowne postanowienie, już w grudniu Rada najwyższa poleciła, ażeby zgromadzać ludzi zdolnych ze straży bezpieczeństwa w kompanio i bataliony.

Dnia 3 stycznia dyktator wydał odezwę do wojska, zachęcając je, ażeby jednością i wytrwałością pokonywało przedstawiające się trudności. W rozkazie dziennym téjże daty zachęcał oficerów od artyleryi, odkomenderowanych do rozmaitych zakładów i warsztatów arsenału, które założone zostały, ażeby zaszczytny ten obowiązek spełniali bez narzekania, że do służby frontowej nie są powołani.

Liczne artykuły, jakie w pismach publicznych umieszczano z żądaniem sądu na szpiegów, skłoniły dyktatora do mianowania komisyi, któraby rozpoznała dowody szpiegostwa i wyrzekała o odesłaniu obwinionych do sądu. Komisya ta składała się z kasztelana Michała Potockiego, z członków Izby poselskiej Turskiego i Kozłowskiego, z linii sądowej z mecenasa Tarczewskiego i rejenta Bandtkego. W skutku ustanowienia owego komitetu na szpiegów, 7 stycznia Niemcewicz złożył urządowanie, w którym powierzone miał sobie przejrzenie papierów policji tajnej.

Dnia 6 stycznia prezydent Węgrzecki wezwał ochotników do stawiania się, ażeby zaliczeni mogli być do dwóch pułków, które dyktator rozkazał miastu wystawić. Dnia 8 stycznia odbył dyktator przegląd gwardyi narodowej, którą po ukończeniu przeglądu rozkazał nazywać gwardyą polową; dowódcą jej mianował pułkownika Żagowskiego. Uwiadomił, że tę zmianę czyni, ponieważ batalion ten przyłączony zostanie do wojska czynnego. Podziękował zarazem tymczasowemu dowódcy profesorowi Szymie za jego poświęcenie i ważne dopełnione przysługi.

Koło 10 stycznia Bank otrzymał uwiadomienie, iż rząd rosyjski przyaresztował wszystkie fundusze rządu i Banku, znajdujące się w Petersburgu i Odessie.

W tych dniach rozkazał dyktator ułać 100 dział dwunastofuntowych, wyznaczając ze skarbu stosowne fundusze i zarazem polecono, ażeby wszystkie dzwony po kościołach zbyteczne, do przetapiania na działa do Warszawy były dostawione. 10 stycznia mianował dyktator organizatorów siły zbrojnej: generała Żółtowskizgo do województwa Lubelskiego i Podlaskiego; Pawłowskiego do Płockiego i Augustowskiego; Przebédowskiego do województwa Mazowieckiego i Kaliskiego, nakoniec Dziekońskiego do Sandomierskiego i Krakowskiego. Powierzono zaś dowództwo pierwszej brygady strzelców pułkownikowi Jankowskiemu, drugiej brygady tychże pułkownikowi Skarzyńskiemu, dowództwo brygady czterech batalionów grenadierów gwardyi, generałowi Mühlenbergowi. W skutku tych rozkazów ustała władza obydwu regimentarzy.

13 stycznia wrócił do Warszawy z Petersburga poseł Jan Jezierski. Przejeżdżając przez Augustowskie, prawie na każdej stacyi otaczany tłumami, wypytującemi się o szczegóły jego posłannictwa, a gdy odpowiedział, iż nic w Petersburgu nie uzyskał i że lada chwila wojska rosyjskie wkroczą, ścigał na siebie niechęć słuchaczy, posuniętą nawet do nieprzywitości.

11 stycznia dyktator polecił najcisłejsze środki do zapewnienia wpływu podatków. 13 stycznia na przedstawienie Rady najwyższej ogłosił dyktator nagrody za dostawy broni z zagranicy: za 100 sztuk broni palnej dostawionej w styczniu i lutym złp. 2,000, w marcu 1000. 12 stycznia prezydent Węgrzecki powtórzył polecenie składania broni do ratusza, grożąc karami za jej przetrzymywanie. W tych czasach Rajmund Rembieliński powołany został do komisji potrzeb wojska. 9 stycznia dyktator rozkazał uformować 16 pułków piechoty z zebranych już batalionów i kompanii straży bezpieczeństwa i gwardyi narodowych.

15 stycznia przybył dyktator na sesyą Rady najwyższej w towarzystwie Ludwika Platera i Krysińskiego. Tu zakomunikował otrzymane przez Jezierskiego pisma od ministra sekretarza stanu Grabowskiego. Zaczynał się ten list podziękowaniem w imieniu cesarza, iż utrzymał spokojność w kraju; polecał mu, ażeby wypełniając przepisy zawarte w proklamacyi cesarskiej 17 grudnia roku zeszłego, wojsko poprowadził do Płocka i zdał władzę rządową Radzie administracyjnej. Odpieczętowano jednocześnie list tegoż ministra do prezydującego w Radzie administracyjnej Sobolewskiego. W tym liście dziękował, iż Sobolewski wolał zawiesić działania Rady administracyjnej, niżeli podpisać zwołanie sejmu; polecał mu, ażeby natychmiast dawnych członków Rady administracyjnej do objęcia urzędowania wezwał. Ci zaś przybyć powinni choćby z narażeniem życia, używając wyrazów *morts ou vivants*. Co dalej czynić wypadało rozważała Rada w trzygodzinném posiedzeniu, gdy zaś do dyskusyi wmixszał się Krysiński, dyktator zwrócił jego uwagę, iż nie ma prawa zabierać głosu w Radzie najwyższej. Krysiński tak się czuł tém obrażony, iż wziął to za powód do żądania dymisyi. Lecz mnie się zdaje, iż to był tylko pozór, bo Krysiński dwojako przeczuwał, iż zbliżała się chwila, w której jego urzędowanie weźmie koniec. Jakem już o tém nadmieniał, postępowanie Krysińskiego od samego początku było dwójznaczne: zdaje się, iż był przez ks. Lubeckiego przy dyktatorze zostawiony dla czuwania nad jego postępowaniem. Widząc, iż jest niepodobieństwem uniknąć starcia, wolał się wycofać tak, jak zaraz za drugą dyktaturą wycofał się Tymowski. Sesya ta była, że tak rzeknę, burzliwą. Szczególnie Barzykowski nie dzielił zdania ks. Radziwiłła. Prawdziwą kwestyą, nad którą się naradzano, było, czy próbować prowadzić jeszcze na innych zasadach dalsze z Petersburgiem negocyacye, czyli téż zerwać je zupełnie? Większość oświadczyła się za zerwaniem dalszych rokowań w przekonaniu, że najprzód cesarz nie przyjmie żadnych nowych propozycyi, że nawet niewiadomo jakieby propozycye uczynić, kiedy sejm i opinia publiczna tak gwałtownie dopomina się o przyłączenie Litwy i innych gubernii do dawniej Polski należących, propozycyi, która zdawała się wynikać ze brzmienia traktatu wiedeńskiego; powtóre, że jest rzeczą niepodobną przy spodziewaném za cztery dni

otwarcu sejmu, pominąć tę władzę w rozpoczęciu nowych negocyacji. Mniejszość była zdania, że koniecznie, choćby bez żadnej nadziei, należy prowadzić dalej z Petersburgiem negocyacje jedynie w celu zyskania czasu; zrywając dalsze negocyacje, spodziewać się można natychmiastowego rozpoczęcia wojny, do której prowadzenia nie jesteśmy jeszcze gotowi, bo, aczkolwiek przez te sześć tygodni podwoiła się liczba piechoty, która już umundurowana i uzbrojona, na linię bojową wystąpić może, chociaż artylerya o pięć bateryi czyli o 60 dział jest pomnożoną, chociaż jazda o połowę w pułkach liniowych zwiększona a nadto niektóre pułki z mazurów i krakusów są już na linii bojowej; gdybyśmy drugie sześć tygodni zyskali jeszcze czasu, stanęłoby pod bronią przeszło 40 batalionów piechoty, wprawdzie w znacznej części kosami tylko uzbrojonych, a co może jeszcze ważniejsza, przez ten czas uzyskałoby się może dyplomatyczne wstawienie ze strony mocarstw, do których wysłano agentów. Dyktator oświadczył zaś, iż nie może na siebie przyjąć odpowiedzialności za całkowite zerwanie negocyacji, które natychmiast doprowadzą do kroków wojennych. W Radzie najwyższej zasiadało pięciu członków deputacyi dozorczej: ks. Czartoryski, ks. Radziwiłł, Ostrowski, Barzykowski i Lelewel. Naturalnie, że deputacya sejmowa uwiadomioną została nazajutrz o tych decyzjach i żądała od dyktatora posłuchania. To miało miejsce 16 stycznia.

Chłopicki rozpoczął, pokazując listy otrzymane z Petersburga i dodał, że dłużej piastować władzy od narodu powierzonej nie jest w stanie. Pochwały, jakie Cesarz oświadczyć mu kazał, zmniejszą już i tak nadwreżoną ufność narodu, którą dawniej posiadał. Dodał, że widząc nierówność sił nie widzi podobieństwa, ażeby walka jakkolwiek pojedyncze wypadki mogą być świetne, szczęśliwie dla sprawy polskiej mogła się zakończyć. Mniema, iż za pośrednictwem rządu pruskiego możeby przez układy uzyskać się co dało, choćby nie w takiej rozciągłości, jakęśmy dotąd spodziewali się. Waleczność nic nie pomoże tam, gdzie jest niemożność wystawienia sił odpowiednich potędze Rossyi. Gdyby inaczej radził, skończyłoby się, iżby go o zdradę posądzono. Następnie okazał ostatnie raporty o stanie wojska i dodał: — „Z tego okazuje się, iż w razie bitwy będziemy mieli na linii 37,000, z którymi wypada się opierać 150,000, które według doniesień jakie otrzymałem posiada feldmarszałek Dybicz. Bić się więc nie będę, bo nie mam z czém. Prócz tego, nawet zapasy żywności są niedostateczne—na dni 12 wystarczają.“ Na to odrzekł Ignacy Dembowski: — „Trudno mi wierzyć, ażeby żywności wojsku zabrakło: wszakże ja z mojej małej wioski posłałem do Modlina 500 funtów sucharów.“ Na to odrzekł Chłopicki: — „Dawno już słyszę o tych sucharach! Lecz, jeżeli myślisz, że nasze siły są dostateczne, że nam żywności nie zabraknie, to bądźże dyktatorem, bo ja nim być nie chcę.“ Inni zaczęli mu przekładać, że wszystkie te okoliczności były mu oddawna znane i nie powinu wpływać na odmówienie wła-

dzy, którą mu zaufanie narodu powierzyło. Chłopicki ciągle też same myśli powtarzał, dodając, że „choć ludzi może nie brakować, ale nie ma bronii, nie było czasu do przyzwyczajenia formujących się pułków wojennych, że taka siła nie wiele wzmocni istniejącą armią. Kończył zawsze tém, iż przy tak nierównych siłach trudno marzyć o zwycięstwach, a gdyby pobitym został, to go nazwą zdrajcą. Wszakże nawet ks. Józef nie uniknął tego zarzutu i Kościuszkę byłby o zdradę osądzony, gdyby pod Maciejowicami nie dostał się do niewoli.“ A kiedy jeden z członków deputacyi uczynił uwagę, iż można powiększyć siły, wcielając kosynierów do pułków, odrzekł: — „To komenderuj sobie kosynierami, bo ja podobnego wojska nie chcę.“ Zakończył Chłopicki, iż władzę, powierzoną sobie dla uwolnienia kraju od anarchii, złoży. Ks. Czartoryski mówił jeszcze, że kiedy nie chce dyktatury, to może zatrzyma dowództwo nad wojskiem, lecz Chłopicki odpowiedział, że te same powody, które już wyłożył, nie pozwalają mu zachować dowództwa nad siłą zbrojną. Wtenczas Ledóchowski nieroztropnie podług mego zdania nadmienił: — „Jeżeli nie chcesz być dyktatorem, wodzem naczelnym, to będziesz musiał się bić jako prosty żołnierz, jako polak.“ Na to dyktator odpowiedział: — „Będę prostym żołnierzem, ale ty, Ledóchowski, pewno obok mnie nie będziesz się znajdował w ogniu.“ Ci, co byli przytomni, mówili że wpadł w nadzwyczajne uniesienie. Zaczął tupać nogami i bić pięściami we drzwi, tak, że się aż otworzyły. Kiedy deputacya widząc uniesienie osądziła, że nie ma co więcej mówić, uspokoił się Chłopicki, odprowadził ją do drzwi, lecz obracając się do Ledóchowskiego rzekł: — „Nigdy ci nie zapomnę tego, coś mi powiedział.“ Nazajutrz, to jest 17-go stycznia deputacya uczyniła do dyktatora odezwę z zapytaniem, czyli i pod jakimi warunkami władzę mu powierzoną nadal piastować pragnie? Dyktator, otrzymawszy to pismo, naradzał się z pułkownikiem Szwerynem i długo się wahał co ma czynić? Z jednej strony zawsze w zamiarze, ażeby unikać wojny, której szczęśliwego skutku nie przewidywał, pragnął zatrzymać nieograniczoną władzę, ażeby przez dalsze negocyacye otrzymać o ile można najkorzystniejsze warunki; z drugiej strony obawiał się, iż nie zdoła oprzeć się prądowi rewolucyjnemu. W tych wahaniach przychodziło mu nawet na myśl, ażeby za pomocą negocyacyi uzyskać cokolwiek czasu dla dokończenia uzbrojeń—wtenczas miał zamiar sam stanąć na czele wojska, a władzę cywilną jednej osobie powierzyć. We wszystkich tych kombinacyach poczytywał za główny warunek, żeby ani sejm ani żadna sejmowa delegacya nie stawiała zapor w działaniu; lecz nakoniec obrał pierwiastkowe postanowienie i odpisał delegacyi, że siły, jakie posiadamy i posiadać możemy i zamożność wewnętrzna nie są wystarczające do prowadzenia walki z Rosyją; że ta walka wystawi kraj na najwyższe niebezpieczeństwa, nawet zagrozi istnieniu; że prowadzić wojsko i kwiat młodzieży na rzeź, jakby w jatkach, obciążałoby jego sumienie, dlatego nie może brać na siebie



odpowiedzialności za podobne nieszczęścia i nie chce kraju wystawić na te koleje i o tyle tylko mógłby zatrzymać władzę, o ile jemu samemu zostawiono obmyślenie środków, uratować mogących kraj. Wówczas nastąpiła jedna ze scen, której nigdy zrozumieć nie mogłem. Maurycy Wolff, doktor medycyny, który miewał staranie o zdrowiu Chłopickiego a prócz tego grywał z nim w karty i był jego poufnym przyjacielem, zaczął rozgadywać tak członkom deputacyi, jak członkom rządu, że ciągła irytacja, w której postawiono dyktatora przez działania, o którychem wspomniał, do tego stopnia rozdrażniła jego system nerwowy, iż zachodzi obawa, czyli nie objawiają się początki . . . .<sup>1)</sup> Wątpię, ażeby dyktator mógł upoważnić Wolffa do podobnych zwierzeń, a jeszcze bardziej nie pojmuję, jakim sposobem bez bliższego przekonania się deputacya mogła dać wiarę podobnym komerażom. Z czyjój zas strony Wolff miał zlecenie podobne objawiać zdanie i czy to było środkiem przez niego samego obmyślanym, ażeby przyjaciela z trudnego położenia wybawić, o tém nie wiem. Jakkolwiekbydz, to zdanie Wolffa przeważnie wpłynęło na dalsze wypadki. Deputacya natychmiast odpisała, iż nie ma władzy zmieniać uchwałę sejmową z dnia 20-go grudnia roku zeszłego, co znaczyło, iż odsyłała dyktatora z jego żądaniemi do sejmu. Chłopicki już się więcej nie wahał i natychmiast w dwóch jednobrzmiących pismach zaadresowanych do prezydującego w senacie i do marszałka izby poselskiej oświadczył, iż składa władzę.

Uwiadomiona o tém deputacya zwołała posiedzenie sejmu na 19-ty stycznia, przeznaczyła tymczasowo na dowódcę siły zbrojnej generała Weissenhoffa, a że ten w Warszawie się nie znajdował, zastępstwo jego powierzono generałowi Klickiemu. Nakoniec upoważniła deputacya Radę najwyższą do dalszego piastowania władzy z warunkiem, ażeby w niej zasiadali ministrowie z głosem stanowczym.

Wszystkie te kroki najrozmaitsze wywołały opinie. Wojsko przejęte zostało smutkiem, widząc się pozbawione wodza, w którym jedynie pokładało ufność. Pułki, które stały na linii bojowej nie chciały wierzyć, ażeby Chłopicki dobrowolnie zrzekał się dowództwa, wysłano więc oficerów do Warszawy dla przekonania się; wojsko bowiem postanowiło, w razie gdyby Chłopicki przez stronnictwo ruchu był zmuszony do zrzeczenia się władzy, przybyć mu w pomoc do Warszawy i zmusić stronnictwo ruchu do posłuszeństwa. Lecz przybywszy przekonali się, iż Chłopicki bez żadnego przymusu, z własnej woli opuszczał władzę. Co do stronnictwa ruchu, to wzbijało się w nadzieję: zbierano się w „Honoratce“, jak zwykle, krzyczano. Stronnictwo to znalazło w Adamie Gurowskim silnego poplecznika. Był to zagorzalec nie bez talentu, lecz który śmieliej i otwarciiej od nich wszystkich występował, bo kiedy Leleweł wszystkie swoje działania w tajemnicy okrywał, Mochnacki i inni, jakiegokolwiek knuli plany, to także w cichości je układali, Gurowski przeciwnie—obrał drogę, aże-

<sup>1)</sup> Widocznie urwane tu zdanie. *Red.*

by spiskować głośno i dlatego całe dnie trawił na przebieganiu ulic, mając mowy w rozmaitych zaułkach, kończąc zawsze na „Honoratce.“ To jego szamotanie się skłoniło rząd, ażeby go użyć w kancelaryi Rady. Wziąłem go w moją pieczę i obarczałem go robotą, tak pilną, iż nie dawała mu czasu biegać po ulicy. Po kilku dniach życie to mu się sprzykrzyło i uciekł z biura. Zaciągnął się jako ochotnik do jednego z tworzących się pułków i dopiero później rząd, nie mogąc sobie z nim inaczej dać rady, wysłał go z depeszami jako kuryera do Paryża.

Kiedy Rada zaczęła się zajmować ułożeniem programatu pierwszej sesji sejmowej i zdaniem sprawy z czynności, Lelewel wniósł projekt o wolności druku a to z powodu rozmaitych artykułów, które w dziennikach zamieszczono. Po zniesieniu bowiem cenzury pisano i drukowano co tylko komu podobało się. Lelewel projekt swój ułożył na zasadzie szeregów: nie było tam wzmianki ani o sądach przysięgłych, ani o sądach zwykłych, ani o sposobie dochodzenia krzywdy — był to szereg prawideł o czém wolno pisać. Rada, nie chcąc nawet wysłuchać obszernego tego dzieła, zbyła Lelewela tym argumentem, iż niepodobna oceniać jego pracy obecnie, kiedy cały dzień i noc zaledwie wystarczą, ażeby we 24 godzin wygotować — nie mówię już program, ale zdanie sprawy, które było dziełem dość obszerném. Lelewel jednak, wzięwszy mnie na stronę, odczytał mi swój projekt, prosząc, ażebym szczerze mu zdanie otworzył. Oświadczyłem mu, iż projekt ten zamąci tylko wszystkie wyobrażenia, że nie przeznacza sądownictwa do upominania się o krzywdy, a otwiera pole do mnóstwa zawikłań, bo któż może sobie pochlebić, że obejmie w prawie wszystkie wypadki, o których wolno jest pisać? Zresztą, że jego projekt nie zawiera konkluzji, co się ma dzieć z tymi, którzy będą pisać o rzeczach nie wyszczególnionych w prawie. O ile mi się zdawało, Lelewel, jako autor, mojem zdaniem przykro dotknięty został.

Nastąpił tedy dzień 19-ty stycznia, w którym sejm otworzono. Stosownie do ogłoszonego programu, rozpoczął się od nabożeństwa, a potem każda izba w swoim lokalu zebrała się.

Program ten ułożony został przez Radę najwyższą i niewiele się różnił od zwykłych programatów sejmu. W izbie poselskiej nim przybyła deputacya od senatu, zapraszająca do połączenia się, marszałek w mowie zagajającej oświadczył, że wysłano zaufane osoby do mocarstw zagranicznych dla uzyskania z niemi związku, że polacy kajdan nie przyjmą, a mając dobrą sprawę, nie należy zważać na liczbę nieprzyjaciół. Po odczytaniu listy przytomnych Witkowski wniósł kwestyą czyli deputowany Lubowidzki, który był marszałkiem w r. 1830, może zasiadać w izbie? Stało się to powodem dyskusyi, w której kaliszanie Biernacki i Morawski utrzymywali, że może należeć do obrad stosownie do statutu organicznego; Kaczkowski pragnął

wiedzieć najprzód czy Lubowidzki popełnił zbrodnią? Barzykowski, opisawszy całe wydarzenie, objawił zdanie, że Lubowidzki wywiózł brata z lazaretu za otrzymanem pozwoleniem, a do ucieczki jego nie wpływał. Wielu innych zabierało w tej mierze głosy i przerwano dyskusyą za przybyciem deputacyi od senatu, zapraszającej do połączenia się izb. Tam ks. Czartoryski, powitawszy izbę, oświadczył, że pierwszą nagłą potrzebą jest ustanowienie rządu, obranie naczelnika wojska, przekonanie się o stanie kraju i wyrzeczenie o stosunkach zagranicznych. Następnie mówił marszałek przedstawiając, że dla ocalenia należy zgiąć lub zwyciężyć. Następnie deputowany Mochnacki imieniem delegacyi zdał sprawę z rokowań z dyktatorem, którą obszernie powyżej opisałem. Po tej reelacyi izby się rozłączyły, przystępując do wyboru komisyi. W izbie poselskiej podjęto dalszą dyskusyę względem Lubowidzkiego. Niemojowski, jako zastępca ministra sprawiedliwości, doniósł, iż po ucieczce brata Lubowidzki został aresztowany z rozkazu dyktatora; nastąpiła znowu obszerna dyskusya a nakoniec marszałek oddał pod głosowanie, czyli deputowany Lubowidzki ma być oddany pod sąd? Z notowania okazało się, że za oddaniem pod sąd było głosów 83, za uwolnieniem 30. Następnie dopiero przystąpiono do wyboru komisyi, co zabrało prawie resztę dnia tego i część nocy.

Decyzya izby względem Lubowidzkiego była najprzód niesprawiedliwą i do okoliczności niestosowną. Niesprawiedliwą, bo kiedy minister sprawiedliwości z urzędu poświadczył, iż Lubowidzki nie brał udziału w ucieczce brata, a że szpitala odebrał go za pozwoleniem Rządu, nie mógł żadną miarą być pociągany do odpowiedzialności za jego ucieczkę. Co więcej, Mateusz Lubowidzki, były wice-prezydent policyi, nie był uwięziony, ani nawet oskarżony; mógł być pociągany do odpowiedzialności za czyny swojego urzędowania, lecz nikomu nie przyszło na myśl ani go oskarżyć, ani go do odpowiedzialności pociągać. Jako ранego z Belwederu przyniesiono go do szpitala, gdzie zostawał jako chory, a nie w charakterze uwięzionego. Niestosowną do okoliczności, bo, kiedy kraj zostawał bez rządu, a wojsko bez dowódcy, czyż należało marnować czas nad kwestyami podrzędniemi, a do niczego nie prowadzącemi? bo ucieczka Mateusza Lubowidzkiego była faktem spełnionym i jakkolwiek wyrok na niego wydano, spełnić go było niepodobieństwem, gdyż osiadł zagranicą, a co więcej, że w istocie nikt go pod sąd nie oddawał, co zaś do Józefa Lubowidzkiego, ten w żadnym razie nie mógł być przez sądy za winnego uznany. Cała więc ta kwestya była tylko zawiścią, a może jedynie stawianą dla zaskarżenia sobie łaski u stronnictwa ruchu.

Przerywam dalszy ciąg opowiadania działań sejmu, ażeby się zwrócić do otworzenia bezstronnego, ile mi się zdaje, zdania o działaniach dyktatora.

Nie ma wątplenia, iż jego zapatrywanie się na powstanie, zu-

pełnie się różniło od zapatrywania się tych, którzy powstanie wznieśli, a starali się, lub osiągnąć władzę dla zrobienia kariery, lub przedłużyć opór, ażeby uniknąć kar za bunt wzniecony. Widzieliśmy, iż powstanie zdziałali młodzi niższego stopnia oficerowie i niektórzy z cywilnych, także żadnego poprzednio nie mający znaczenia. Mogli oni mieć najczystsze zamiary, lecz do wykonania swoich planów nie tyle byli popchnięci w przyspieszeniu rozpoczęcia działań przez rozważne stanu rzeczy pojęcie, jak znagleni do czynu ze względu osobistego bezpieczeństwa, spisek bowiem był odkryty, część konspiracyjnych uwieziona; ten sam los miał spotkać wkrótce i resztę. W tak więc rozpaczliwem położeniu, w chwili właśnie, kiedy Rosya przygotowywała się do wojny z Francją, rozpoczęto działać, t. j. właśnie w chwili, kiedy kraj do powstania nie był przygotowany, a Rosya na przytłumienie buntu nie potrzebowała nic innego, jak tylko skoncentrować swoje siły. Dyktator, objąwszy władzę, od samego początku aż do końca zawsze i w każdej chwili objawiał to zdanie, a tém było, że jest niepodobieństwem, ażeby nasz kraj, mający zaledwie 4,000,000 ludności, a 25,000 wojska, mógł podchlebiać sobie, że potrafi zwyciężyć Rosyą, mającą do 70,000,000 mieszkańców, a do 800,000 wojska. Wszystkie nadzieje, jakie Lelewel pokładał w powstaniu Litwy, Wołynia i Podola, dyktator uważał za ruchy bardzo niepewne. Mówił, iż nie wątpi, że szlachta weźmie udział z całym poświęceniem w powstaniu, lecz tak Litwa, jak Wołyń i Podole nie posiadały miast z ludnością, któraby sprawie powstania sprzyjała, bo miasta tam, prawie z samych żydów złożone lub z urzędników rosyjskich, żadnego elementu sprzyjającego powstaniu nie posiadały, tém mniej ludności wiejskie, które ciągle zostawały pod największą niewolą, które mogły być przez dziedziców jak jakie bydłota sprzedawane na dusze, które tedy żadnego nie miały materialnego interesu w popieraniu powstania, tém bardziej, że różniły się religią, językiem i obyczajami z naszą narodowością, a, kiedy okazało się, że w Królestwie włościanie, mimo, że od lat dwudziestu trzech już z poddaństwa byli uwolnieni, z ochoty do powstania się nie łączyli, trudno było mieć nadzieje, ażeby włościanie narodowości ruskiej, łotysze i żmudzini, popierali sprawę, która dla nich była obcą. Dlatego Chłopicki nie wierzył, ażeby powstanie w guberniach zabranych mogło poważną dywersją wyjednać, a skutek okazał, że zupełną miał racją, bo na czém się skończyły powstania na Podolu, Litwie i Żmudzi? Od początku więc dyktator innéj nie miał myśli, jak tylko wyzyskać zapomocą negocjacji bądź bezpośrednich, bądź popartych wstawieniem się obcych mocarstw rozmaitych koncesyi, któreby zapewniały przyłączenie gubernii zabranych do Królestwa i ściśle zachowywanie konstytucyi, mówiąc zawsze, iż trwa w przekonaniu, że siłą oręża nie dopniemy tego celu; jeżeli ma przyjść do wojny, to należy jaknajwiększą siłę zebrać, ażeby zginąć z honorem; lecz, że zginąć w tym razie wypadnie, nie wątpił, mimo, że liczył, iż mogą nastąpić wypadki w boju, dla broni polskiej

pomyślne. Przytaczał także, iż nieraz przytrafia się, iż wygrane bitwy nie pociągają za sobą wygranej kampanii, powołując się na historią Napoleona, który nigdzie nie pobity i w każdym spotkaniu zwycięzca, stracił całe wojsko w r. 1812, a ciągle zwyciężając w Hiszpanii, musiał ją wkońcu opuścić. Mimo tego przekonania, Chłopicki, może nie w chęci prowadzenia boju, lecz, idąc za maximum „si vis pacem, para bellum,” przygotowywał, o ile tylko można było, wzmocnienie sił wojennych. Nietylko w rozmowach, lecz w zarządzeniach, które wydawał do ministerjum wojny i skarbu i intendentury panowała ta myśl główna, ażeby w jaknajkrótszym czasie wystawić armią, składającą się ze 100,000 piechoty i 30,000 jazdy i byłby doprowadził do skutku ten zamiar, gdyby mógł jeszcze uzyskać sześć tygodni czasu.

Dyktator, zgadzał się zupełnie ze zdaniem Mochnackiego, od samego początku do końca był przeciwny doprowadzaniu rzeczy do ostateczności i rozstrzygania losu kraju zapomocą oręża. Wypadki stwierdziły, że miał zupełną rację. To także dowodzi, iż obok talentów wojskowych, odwagi osobistej, której dawał tyloliczne dowody, był także mężem stanu, który nie uwodzi się zapałem, sądzi o rzeczach z zimną krwią i przewiduje przyszłe wypadki. Lecz prawdziwy błąd, który popełnił dyktator, zasadał się na tém, że, mając władzę nieograniczoną od 5 — 8 grudnia, mając za sobą całe wojsko i część mieszkańców kraju, która nie należała do stronnictwa zapaleńców, nie użył swojej władzy, ażeby zniszczyć to stronnictwo. W takim razie swój system byłby przeprowadził, lecz, kiedy zaniedbał powierzony mu siły po zebraniu sejmku, władza jego utraciła wiele na potęgę, najprzód przez ustanowienie deputacyi dozorczej, a następnie przez ciągłe intrygi stronnictwa ruchu, przez napady w dziennikach, a wówczas już nie był w stanie zwalczyć to potężne stronnictwo. Być może, że gdyby dyktator użył swojej władzy w właściwym czasie na przytłumienie stronnictwa ruchu, nie otrzymałby mimo tego tych korzyści, których się kraj spodziewał, a na które i on i ks. Lubecki liczyli. Jedną tylko z pewnością otrzymałoby się korzyść, a tę, że nie przelano by tyle krwi i może ustawa konstytucyjna nie uległaby wielkim modyfikacyom. (d. c. n.).

# Hessy O'Grady.

P O W I E Ś Ć O R Y G I N A L N A,

OSNUTA NA TLE STOSUNKÓW OBECNYCH W IRLANDYI \*).

NAPISAŁ

*D z i a ł o s z a.*

## VII.

Przez nawpół przegnięte drzwi lepianki, zrywający się z coraz gwałtowniejszym zapędem wiatr jęczy wzdłuż pochylonych i czarnych ścian izdebki, świszcząc po zakopconym suficie, niedozwalając dymowi znaleźć ujścia w kominie. Oko, drażnione gryzącym śwędem, który tam panował swobodnie, nie łatwo przenikało szare jego zwoje, by dostrzedz długi płomyk stojącej na stole łożówki, osadzonej w kawatku drzewa. Stół złożony z dwóch nieoheblowanych desek, spoczywających na chwiejącym się straganie, stał pod szerokiemi, lecz niskiemi oknem, w którym miejsce większej liczby szyb zajęły słomiane wiechcie, lub stary materyał filcowy, przypominający upartą swą formą dawno gdzieś porzucone kapelusze. Wzdłuż przeciwległej ściany, na słabo do kruszącego się muru przymocowanej półce, stały samotne dwie gliniane miski: w jednej z nich zachowano kawał śniadego chleba; w drugiej, resztę kukurudzianej polewki. Opodal leżały w nieładzie cynowe łyżki i łuczywo, resztki łożówek i rozmaitych przedmiotów, których pierwotnego przeznaczenia tak trudno odgadnąć, jak niepodobna dopatrzeć się, czegoby były resztkami.

\*) Ciąg dalszy—patrz zeszyt styczniowy 1885 r.

W kącie, obok drzwi, widać zardzewiałą łopatę obok złamanych wideł i wyębionych grabi; w innym kącie, kupa starych worków, ułożona na posłaniu z liści, mchu i słomy. Na téj kupie czerwone jakaś ludzka postać, ludzka... bo od czasu do czasu ludzkie wydająca głosy. A zresztą, w izbie już nie ma niczego więcej, niczego, oprócz—na samym środku gliniastéj podłogi żelaznego garnka, napełnionego torfem i suchemi drzazgami w płomieniu, ponad którym wyciągnięte są dwie chude, pomarszczone ręce, ponad któremi, w chudéj i pomarszczonej twarzy, błysną czasami zażawione oczy skulonéj we dwoje staruszki.

Jeżeli z oczu sądzić o wieku téj kobiety, to jeszcze się nie dochołała do zgrzybiatéj starości; jeżeli wywiędła i głęboko poorana jéj twarz może świadczyć o latach przeżytych, to już chyba śmierć się uparła przy pozostawieniu jéj w téj lepiance, którą uparcie pomija zniszczenie.

— O! o! o!, jęczy przeciągle głos ludzki z ciemnego kąta.

— Twardą będzie miał noc znów mój biedak!, mówi przed siebie kobieta, nieodwracając oczu od garnka. Twardą noc i ciężką! Ha! długie godziny, długie cierpienia!... Jak téż ten wiatr huczy coraz głośniej! A to czerwiec, tak, czerwiec! Musi to być wiatr morski, z tamtéj strony wody, z Am... ha! z tamtéj strony.

— O! ooo! o!

— Nie jadł ani polewki, ani chleba; nic, od samego rana. Wykurzył fajkę, to i wszystko! Ha! może Michał przyjdzie! obiecał przyjść dziś nocą, przed północą; wieleż tam jeszcze do północy? może przyjdzie i przyniesie starowinie matce trochę mąki, biédakowi trochę tytoniu i herbaty, i mięsa kawalek. Ha! może nie przyjdzie! Zdaje mi się, że deszcz pada, ale nie słyszę; musi bardzo być źle na dworze, kiedy mnie tak kości łamią... Cyt! Michał?..

Wicher szaleje z rozkiełznaną wściekłością ponad lepianką i wokoło niéj. Słychać, jak się pastwi nad słomianym dachem, jak się boryka z temi kilku deskami, które miłosierni ludzie tam przymocowali, aby zachować wiązanie.

— Nie, to jeszcze nie Michał! ale przyjdzie, ha! przyjdzie... wody mam dosyć tam przy drzwiach; jest ogieniaszek; naparzę herbaty... już jedenaście dni, jak nie piłam herbaty, ha! żeby też przyniósł masła, masła! toby mój biédak zjadł ośródkę chleba; zapóźno dziś na mięso, ale jutro... ha! toby nabrał sił trochę i wesołości; możeby znów pagawędził trochę ze mną! Toć już dziewięć dni, jak nie powie słowa do swéj starowiny!..

Wichry przeleciały dalej na hulankę! Ustąpiły deszczowi. Słychać, jak ulewa biczuje rżęsiście słomianą strzechę lepianki, jak spada hałaśliwie na blizkie moczary. Krople pojedyncze zaczynają ściekać na stół pod oknem, niedługo ściekać będą na kupę worków pod ścianą...

— Wymodliłam, porodziłam, wychuchałam, wycackałam, wychowałam... wychowałam pocziwie, ale mi go tam zrujnowali!

Zrujnowali mi skarb mój, Michałka mojego! A było ich ośmioro! Wszystko pod ziemią, tylko ten jeden czasem tu przyjdzie... bo jeszcze nie umarł!

— Oooo! ooo! oh...

— Biédak mój, biédak!.. Piotr Myles z Ballyglaner; sto i pięćdziesiąt i dwa akry najlepszej roli w całym hrabstwie Kilkenny; Julia Gallagher mu przyniosła przy ślubie sto i pięćdziesiąt i dwie stare gwineje; takich już dziś nie biją; Julia kochała dzielnego Piotra, i Piotr kochał sprawną i rządzą żonkę... Ha, no!...

„Za morze chodź ze mną, za morze, kochanie!

Dziewczyno moja, za morze—ze mną

Przez wichry, przez burze...“

— Weseliście dzisiaj, weseli! śpiewacie, jak za dawnych... hm! aniście mnie nie usłyszeli! A jednak, ledwie mogł otworzyć drzwi tym przekl...

— Cyt! Michale; więc to ja śpiewałam! ha! w zapomnieniu.

— No, to przecież nikomu nie szkodzi, a wam pomaga czas spędzić! Jakże tam ojcu dzisiaj?

— Biédak stęka i jęczy, jęczy i stęka; nie wziął dziś nic do ust!

Michał Myles stał naprzeciwko matki, oparty o stół; oczy jego błąkały się po ścianach izby, ale ani razu nie spoczyły na nędznym posłaniu. Matka odgarniała rękoma brudny dym torfu, usiłując rozpoznać słabym wzrokiem ukochane rysy jedynaka. Zadowolniona tak dalece, że spuściła nieco oczy, poczęła śledzić ruchy Michała i zawiątko, które dotąd trzymał w ręku.

— Przyniosłem wam dziś trochę więcej niż ostatnią razą, matko, rzekł wreszcie Michał, rozwijając chustę. Funta herbaty, dwa funty cukru, worek mąki, półtora funta masła, trochę baraniny i różne drobniaki. A tu w tym papierze jest dziesięć szylingów w drobnej monecie — na inne potrzeby, bo nie wiem którego dnia będę mógł tu zajrzeć.

Staruszka słuchała tych słów z wyraźną rozkoszą: za każdym wymienionym artykułem żywności, wychudłe jej ręce oddalały się dalej od żelaznego garnka, aż się jej udało pochwycić łaskę syna, porzuconą na podłodze. Wsparła się na nią i podniosła: mocno zgarbiona, słaba, niegdyś wysokiego wzrostu. Ale gdy jej Michał podał pieuniadze i dokończył zdania, chwilowy blask jej ocz przygasł odrazu. Przystąpiła do stołu, położyła rękę na ramieniu syna i drżącym głosem zapytała:

— Czemu tak mówisz, Michałku?

— Mówię prawdę—odparł szorstko, uchylając ramię z pod ręki matki — mam zajęcia dosyć w hrabstwie Waterford! Gdybym był w Cork, tobym mógł poświęcić częścię parę godzin i zająć tu piechotę, nie tłuc się koleją i wozem aż do...

— Michale, nie gniewaj się na starowinę matkę! Ale powiedz



szczerze i otwarcie, czemubys nam niemógł znaleźć jakiego kącika gdzieś bliżej miasta Waterford, albo Tramore?... Bądź cierpliwy!... Słuchaj: toż ta chata nie jest rajem... daj nam choćby i—gorszą!... ale bliżej ciebie! gdzieby matce nie było tak samotno!.. Słyszysz jak biedak mój jęczy; to nic, w porównaniu z temi żalonymi jękami, jakich matka słucha, kiedy upłynie dni dwa, trzy, cztery, pięć... a ty nie przychodzisz! Wtedy biedaczyna wie, że już... że już starowina jego w ciężkim smutku! Wtedy mi powie, że nas ten „dobry człowiek“ (biedak! czy też ciebie kiedy pozna!..) opuścił na zawsze! A potem już ust nie otworzy do rozmowy, choć wiesz, jaka to ta jego rozmowa! Gdzieś bliżej...

— Dostyc już, dostyc, matko, tego wyrzekania! Mówię wam i powtarzam: miejcie cierpliwość! miejcie cierpliwość! Myślałem kilka tygodni temu, że będę mógł wam dać dobre pomieszkowanie przy sobie i sam się ustalić na porządnej fermie; nie poszczęściło mi się! Ale cierpliwości!

— Ha! nam starym jój nie brak! Bóg widzi. Ale, Michałku.., choćby szafas gdzie jaki, choćby jaskinią jaką w skałach tramorskich, nad morzem! Byle tylko bliżej ciebie! Bo to, Michale, starowina matula twoja...

O! jak bolesny ten płacz złamanój krzyżami i nędzą kobiety! Wyszła pierś jój podnosi się z hektycznym pośpiechem; łkanie, któreby chciała powstrzymać, wybucha nienaturalnym iście głosem. Wyobraźmy sobie, że Piotrowa płacze... bo pomimo wszystkich oznak płaczu, żadna łza nie ukaże się w zbolałych jój oczach! Syn jój odstąpił od stołu, gdzie mdłe światło dogorywającój łojówki uwydatniało kamienne rysy jego twarzy i począł chodzić nieregularnym krokiem wzdłuż przeciwległej ściany.

— Starowina matka twoja... może umrzeć nagle... między Ojce-nasz i Zdrowaś Marya... a wtedy, wtedy, Michałku — chłopaczkę mój... któż cię błogosł...

— Milcz, matko! — zawołał syn nagle i tak gwałtownie, że obłąkany starzec na nędzném posłaniu zrobił kilka konwulsyjnych poruszeń.

— Milcz, matko! jeżeli nie chcesz, abym was tu zostawił w tej chwili i...

— Przebacź! Przebacź! Już nie powiem nic więcej, już nie wspomnę o... o innój chacie!... Ale ty kochasz matkę? Michałku, mów, odezwijs się: wszak kochasz matkę? Powiedz, że kochasz, to mnie Bóg wspomóże a Matka Boska obroni od... złych myśli, od czarnego zwątpienia! Powiedz, że kochasz matulę, a ja będę tak dalej siedziała tutaj i czuwać będę nad naszym biedakiem...

— Albo wy to nie wiecie, matko, że was szanuję i... że was... zem do was przywiązany! — odrzekł syn, nie bez pewnej czułości w głosie. A potem, niby dotknięty nagłą myślą, podszedł do staruszki, objął silnemi ramionami, przycisnął do szerokiej piersi i na ustach,

rozpalonych gorączką ostatnich wzruszeń, złożył krótki, głośny pocałunek.

— Michałku, chłopaczku, skarbie mój! — zmienionym, cienkim głosem zawołała, śmiejąc się Piotrowa — mój, mój, mój znowu stary Michałek, Michałek ten... o! ten malutki, ostatni z ośmiorga... pamiętasz fermę Ballyglan?

— Pamiętam, matko; ale poco te przypomnienia! — odpowiedział syn, rozpoczynając nanowo chód swój po izdebce.

— O! my oboje żyjemy w Ballyglan, Michałku! Tylko, że on, biedak nasz, szczęśliwszy czasami, bo taki pewny, że siedzi z przyjaciółmi i ze swoją Julią w wielkiej białej izbie naszego dworku! Ha! wszystko znów dobrze, kiedy Michałek kocha matulę! Teraz mi pomóż przygotować trochę wieszery; a wiesz, Michale, (szepcząc do niego poufnie), wiesz że mi się okrutnie chciało kapki herbaty; ano dalejże do pracy—ręce staruszka, dobywając z paczek herbaty i cukru; ty Michałku nastaw kociołek z wodą, rozdmuchaj ogień, a ja przyrządzę resztę.

W kwadrans później, ukazały się na stole trzy kubki, które Piotrowa wydobyła z pewnego rodzaju kryjówki nad posłaniem męża; półbochenek chleba i masło (upraguione masło!); w braku herbatnika, Michał zaparzył herbatę w kociołku. Wśród tych wszystkich przygotowań, gdy nikła postać staruszki, otulona i opasana łachmanami szalów, krząta się tu i owdzie po izdebce, schorzały biedak podniósł się na nędznie posłaniu, utopił ciemne swe oczy w twarzy Michała i rozpoczął z samym sobą żwawą, choć słabym i głuchym prowadzoną głosem rozmowę.

— Trzeba mi śpieszyć do domu. Julia i mój dobry przyjaciel czekają. A dobre przynoszą nowiny. Taniego dostałem robotnika, taniego. Pogoda czekała na nich. We dwa dni skosimy siano pod górą...

Matka usiadła w nogach posłania i podała starcowi kubek gorącej herbaty i kawałek chleba z masłem, zadawalniając się sama odrobiną suchej bułki. Michał oparł się o drzwi, obojętny na wszystko; wlał do swego kubka sporo wódki z podróźnej blaszanki i popijając, ścigał wyobraźnią inne zupełnie otoczenia. Staruszkowie prowadzą ożywioną rozmowę: wierna żona wdaje się całkowicie w każde, by i najwięcej fantastyczne marzenia o rzeczywistości, którą śni na jawie uspiiony umysł „biedaka.“

Potem nastąpi chwila bolesnego rozłączenia, prośby płaczące o rychły powrót, szorstkie słowa obietnic i pocieszeń... a w końcu noc czarna otula starców w rozpadającej się lepiance, dając im sen porzypiający, najpożądany skarb dla nich, ludzi czystego sumienia.

Ta sama noc czarna ostania dalszą wędrówkę Michała Mylesa. Spieszno mu, bo przed zmrokiem jeszcze ma wziąć udział w walnej naradzie wszystkich centrów „Falangi Niezwycięzonych w Południowej Irlandyi.“

## VIII.

Mijały tygodnie i miesiące a władze nie zdołały odnaleźć i przywieść do sprawiedliwości mordercy Grubba. Z rozkazu namiestnika kraju rozpisano wysokie nagrody: najprzód dla tego, któryby uwiadomił rząd o miejscu kryjówki zbrojcy; potem dla współników zbrodni, których ręce jednakże byłyby czyste od krwi przelanej; gdy i to nie pomogło, podwyższono obiecaną sumę, z deklaracją, że sam nawet morderca może ją otrzymać pod warunkiem, iżby naprowadził władze na tych, którzy byli głównymi instygatorami morderstwa i żeby przesiedlił się do tej miejscowości w cesarskich koloniach, jakie mu będą wskazane...

W krajach europejskich, posiadających rządy dbałe o rozwój moralności publicznej, odezwa taka musiałaby być przyjętą ze zgrozą! Odezwa taka nie mogłaby plamić swym nagim cynizmem żadnego okręgu wyborczego w samej W. Brytanii. Sprawiedliwość żąda, byśmy tu zaznaczyli, jak na wiadomość o dekrete wice-królewskim, powstał w izbie gmin głośny szmer oburzenia, któremu zaledwie położyły koniec soństyczne wywody słynnego z parlamentarnej dyalektyki sekretarza stanu dla spraw irlandzkich. Ministrowi bodaj najwięcej pomogła ta okoliczność, że gabinet lorda Beaconsfielda, wsparty entuzjastyczną większością, nie miał czasu do stracenia nad „rozbierniem teologicznych i socyalnych skrupułów...” w kwestyi irlandzkiej, gdy kwestye preponderancyi ogólniejszych, a żywotnych interesów korony i rządu zajmowały całą jego uwagę! Przecież w cztery lata później miało się powtórzyć to samo; przecież główny nawet kierunek szatańskiej zbrodni, która przeraziła świat cały, podobną otrzymał obietnicę; przecież nawet „najliberalniejszy gabinet“ p. Gladstone'a zamknął usta interpelacyi kwestyą bieżącą egipskiego imbroglio i cynicznym oświadczeniem, jakoby „innę rady nie było!...

Ale zabójca Grubb'a uszedł przed wszystkimi zabiegami władzy. Sierpień się kończył, a tu głucho zupełnie; chociaż policya była przekonana, iż nieledwie w każdej chacie drobnego fermera, jak w każdym dworku większego dzierzawcy, jak w każdej lepiance robotnika i w każdym sklepiku wiosek i miasteczek, był ktoś, kto wiedział więcej od niej, mimo to, policya zawiodła oczekiwania rządu i zdrowej części społeczności szczerze narodowej.

A jeżeli kto wiedział więcej o zbrodni z 16 kwietnia, aniżeli najwytrawniejsi szpiegowie policyjni, to Marcin O'Grady z Topoli! I jeżeli komu chodzić musiało o oddanie mordercy w ręce sprawiedliwości, to ojcu Tomasza O'Grady! Onę straszną noc, gdy skruszony pod ciężarem okropnego podejrzenia, wycieńczony trawiącą febrą zarówno rozpaczy i trwogi, jak fizycznego osłabienia, starzec (niby dziecko!) uległ potrzebie snu, onę noc, w starożytniej wieży św. Kolumbana, imię syna, wymówione głosem winowajcy, zbudziło go z ner-

wowego odrętwienia i przywróciło mu wszystką energią prawego człowieka.

Kiedy tak stali naprzeciw siebie, ojciec podejrzanego o zbrodnią morderstwa i przyznający się do niej morderca, naczelnik sekretnego koła i starzec znany z chrześcijańskiej uczciwości, który bezwiednie opanował jego tajemnicę; jeden z nich, rozkazujący towarzyszom ścigać na śmierć zbiegłego członka, a drugi... ojciec wskazanej ofiary! Kiedy tak stali naprzeciw siebie, jakie myśli powstały w ich głowach?

Marcin O'Grady dziękował Bogu za nieskalaną cześć swego imienia, naczelnik „chtópców“ przeklinał nieszczęsną chwilę! Tamten podniósł czoło i uczuł rozkosz świadomości, że nie będzie zmuszony ukrywać żadnej krwawej tajemnicy przed niewinnymi oczyma swojej dziewczynki, ten zaś zgrzytnął zębami pełen wściekłości, że zawiedzione, zawiedzione plany jego... tak niespodzianie, jak niespodziewanie dostrzegł dnia tego ich ziszczenia!

Milczeli obaj. Milczeli wszyscy członkowie nocnego zebrania. O'Grady opuścił wnętrze wieży nie wymówiwszy słowa. Dopiero, gdy już był daleko, padł na kolana, odkrył głowę i złożył Bogu gorący akt dziękczynienia.

Czy dziwi się czytelnik, że w piersiach braci „Niezwycięzonych“, że przedewszystkiem w piersi ich naczelnika nie powstała myśl przytłumienia na wieki w umyśle starca wrażeń odniesionych w głębokościach osamotnionej wieży? Czy podobna, by koło tajemnego sprzyśiężenia, wystawione na wszystkie niebezpieczeństwa odkrycia i zdrady, puściło z życiem tego, który usłyszał szczegóły jego ostatniego czynu i rozkaz zemsty na własnym swym synu?...

Ale właśnie w nieskażonej prawości ojca Tomasza leżała najsilniejsza dla naczelnika i towarzyszków jego rękojmia, iż przejęta tajemnica razem z nim zstąpi do grobu; czyby zginął gwałtowną śmiercią pod ich nożami, czy też czasby sam rozciął nić jego żywota. W duszy irlandzkiego celta jedno przekonanie panuje niemal nad wszystkiemi: niechby zbrodnia była najpotworniejszą, jeżeli popełnioną została na pomśczenie krzywdy istotnej lub nawet wymarzonej, doznanej od wroga, brzydzić się nią można... lecz zamilczeć o niej należy! Niechby zbrodniarz był istotą osławioną z swęj nędzy moralnej, jeżeliby go wypadało wydać tym, których rządy i sądy mordują ludność miejscową, to unikać go można jak zarazy, odpychać go trzeba od chrześcijańskiego progu... lecz między nim i wrogiem przeszłości i przyszłości biernie się zachować należy!

Przekonanie to i jemu podobne wysłały pokolenia rodowitych celtów irlandzkich z piersi matek. Jak okropnie musiał wróg zasłużyć na tle dzikiej nienawiści!...

W kilka dni po wypadkach, zaszłych dnia 16-go kwietnia, gdy O'Grady siedział w wielkiej izbie swęj kamienuj chaty w Topolach,

a Hessy zajęta była w warzywnym ogrodzie, dwóch wysokich ludzi weszło do sieni i zatrzymało się tam, ustępując trzeciemu, który dumnie i butno, bez poprzedniego oznajmienia się, wstąpił do izby.

— Dzień dobry, O'Grady,

— Sługa pański, kapitanie! — odpowiedział zagadnięty, odwracając się od stołu, na którym kredą wykreślał pola swój dzierżawy i zaznaczał grunta pod ziemniaki. Kapitan nie przyjął ofiarowanego sobie krzesła, podszedł do kominka i oparł plecy o gzyms.

— Nie dziwi was zapewne, Marcynie, że przybyłem tu w towarzystwie konstablerów? zapytał, rzucając na fermerą przenikające spojrzenia, w których nie brakło wyrazu gorzkiego szyderstwa. O'Grady zdrzął widocznie, tak widocznie, że plenipotent spuścił oczy, by nie zdradzić swego nieukontentowania, lecz, w tejże samej chwili, odpowiedział pewnym głosem:

— Nie, kapitanie; wcale mnie nie dziwi, że przyjąłeś eskortę, narzuconą ci przez władzę hrabstwa. Wiem, żeś pan odważny, żeś niechętnie przyjął tę opiekę nad sobą; ale w czasach tak niebezpiecznych...

— I kiedy mam do czynienia z mordercami na każdej fermie dóbr ...

— Nie na każdej, nie na każdej, kapitanie! — odparł starzec, kładąc przycisk na swém zaprzeczeniu i patrząc plenipotentowi prosto w oczy.

— Słuchajcie, O'Grady. Przyjechałem tu dla dwóch rzeczy. Najprzód, aby wam powiedzieć i upewnić was bezwarunkowo, że jeżeli w najbliższym terminie a więc w październiku, nie spłacicie reszty zaległości i nie uiszcicie się z całej tegorocznej kwoty czynszowej, to żadne was prośby, żadne wstawiania się księży ani pastorów, żadne sądy i żadne lamenty nie obronią od natychmiastowej eksmisji! Kto tak jak wy...

— Z przeproszeniem, kapitanie! — przerwał O'Grady namiętnie. Przecież nie mówisz pan do niedowarzonego i niedoświadzonego młokosa! A znów nie może być, żebyś pan zapomniał, iż Topole są w mojej rodzinie od lat przeszło dwustu; że Briam O'Grady, który był właścicielem téj osady, jak wielu innych w kluczu tramorskim, wywłaszczony został przez Cromwellovskich, „świętych“ komorników i otrzymał Topole, niby wynagrodzenie, w wieczystą dzierżawę, w wieczystą, kapitanie, pod warunkiem spłacania rocznych czynszów.

— Cóż mi gadacie o Briamie, o Cromwellu i o wieczystych dzierżawach — zawołał, śmiejąc się, plenipotent. A ileż tam jeszcze innych było kontraktów w waszej rodzinie, które dziś...

— Tyle tylko zrobiły, że z 200-stu przednich akrów dzierżawy zostawiły nam 26! Tak dalece prawda, panie; ale dalej nas obcinać nie możecie!

— Nic, bynajmniej! Daleko nam łatwiej... wypędzić was! —

zimno odparł Gandy! Nie unoście się, przyjacielu! Ot, tak pogadajmy sobie chłodno i rozsądnie.

To mówiąc, kapitan Gandy, który zresztą nie był wcale człowiekiem chłodnego usposobienia, usiadł w skórzanym fotelu fermera z mocnym postanowieniem, iż nie da się opanować rosnącej pasji swego przeciwnika.

— Przyznajcie sami, że istnieje warunek, warunek corocznej opłaty czynszowej. Skoro więc warunek nie zostanie wypełniony, lord Grosvenor ma wszelkie prawo wyrzucić was i...

— Lord Grosvenor nie ma żadnego takiego prawa! Lord Grosvenor może tylko wystawić na sprzedaż prawa moje do fermy! Gdybym miał Topole na lat tylko dziesięć jeszcze, to lord Grosvenor musiałby, chcąc mnie eksmitować, ogłosić, że kto po mnie chce objąć Topole, musi się wprzód ze mną ugodzić o cenę i wypłatę takiej sumy, jakąby sąd wyznaczył w zamian za moje ustąpienie. Lecz ponieważ to jest dzierżawa wieczysta—więc ani lord Grosvenor, ani sądy, ani nikt nie może ogłaszać sprzedaży.

— Dlaczego nie?

— Dlatego, że moja cena praw do wieczystej dzierżawy, musi przewyższyć o wiele wartość całej fermy!

— Przypuściwszy. Ale, kochany mój...

— Proszę mnie nie lżyć swoją obłudą, kapitanie Gandy!

— Cóż wam znów dzisiaj? Wpadacie w pasyą o nic. Ale mniej-sza o to! Powiedzcie mi też, gdzie to takie prawo, jakżeście je tu wyłożyli?

— Gdzie takie prawo? Gdzie to prawo? -- zawołał z oburzeniem O'Grady, wstając ze stolka, na którym dotąd siedział. I pan mnie się pytasz, gdzie to prawo? Pan, irlandczyk, kość z kości gaelów, pan, kapitanie Gandy!

— Cóż w tem dziwnego? Chociażem ja irlandczyk, jak mówicie, to przecie lord Grosvenor nie jest irlandczykiem, jeżeli narodowość wchodzi tu w kwestyą... A należy wskazać prawo, gdzie napisane, z jakiego parlamentu i roku.

— Prawo to, mój panie, prawo, nakazujące sprzedaż interesu fermera na fermie, z której wychodzi, nie jest napisane... i pan to wiesz! Ale to prawo ma za sobą sankcya przeszłości, wiekowy obyyczaj tego kraju. Jeżeliś pan zapomniał dziejów własnej ojczyzny, to, pozwól, że ci przypomnę, jak prawo to powstało za króla Jakóba II, kiedy angił i szkot zabrał na własność to, co należało do nas, a nie mogąc uprawiać sam ziemi, kiedy nie mógł sprowadzić między nas uprawiaczy ze stron, z których przyszedł, zostawił dawniejszych właścicieli na rozparcelowanych gruntach. Właściciele ci wrócili jako fermerzy, ale pod tym podwójnym warunkiem: wieczystej dzierżawy i praw do niej, któreby mogły być sprzedane, wedle...

— Gdzie to wszystko napisane?

— W pamięci każdego mieszkańca téj wyspy, kapitanie Gan-

dy! — zawołał głośniej jeszcze zapytany. W pamięci ka ż d e g o mieszkańca, czyby on był prawym gaelem, czy brytańczykiem! W pamięci waszój, jak w pamięci lorda Grosvenora! W obyczajach ludu! W księgach sądowych, gdzie napisano nieraz, tysiąc, ale tysiące tysięcy razy w tych 200-tu latach; jak taka a taka ugoda została zawartą na podstawie „Prawa Dzierżyciela,“ prawa tradycyjnego!

— Wszystko to dobrze, O'Grady, ale, widzicie... właściciele dzisiejsi żądają praw pisanych i opatrzonych podpisem monarchy. Mówią oni, że nie będzie dla nich żadnej gwarancyi, jeżeli wierzyć mają obyczajom, tradycjom i podobnym... artykułom miejscowej wiary. Dlatego téż, nie dziwcie się, jeżeli was upewnię, że lord Grosvenor wyrzuci was z Topoli, jeśli mi nie wypłacicie zaległości i czynszu w październiku.

— Lord Grosvenor tego nie uczynił!...

— Nie? Przekonacie się.

Plenipotent dobył z kieszeni pugilares, a z niego niebieską kopertę i takiegoż koloru zwitek papieru. Podając go farmerowi uśmiechnął się, splunął i rzekł:

— Otóż wyrok eksmisyi, otrzymany przeciw wam, temu dwa tygodnie.

Gdybyście nie byli spłacili połowy dawnych zaległości, jużbyście tu nie byli.

— Przez świętego Patryka! kapitanie, to kradzież i czysty rozbój. Ha! nie dziw, nie dziw—że... młodzież...

Otóż-to! otóż-to właśnie—zawołał kapitan, zapominając tą razą swój przybranej obojętności. Przystępujemy do drugiego punktu. Ale, możeby lepiej wpuścić tu moich „obrońców,“ którzy muszą być znużeni tak długiemi staniami w sieni.

O'Grady zanadto był zatopiony w swych myślach, by zwrócić uwagę na ostatnie słowa plenipotenta. Gandy otworzył drzwi i szepnął słów kilka; poczem obaj konstablerzy, ubrani po cywilnemu, lecz uzbrojeni w rewolwery, weszli do izby i usiedli opodal drzwi. Kapitan stanął przed kominkiem oglądając z pozorną uwagą swą szpicrutę, zapytał niby obojętnie:

— A gdzie téż jest wasz młodszy syn, O'Grady? Zdaje mi się, że...

Ale nie skończył zdania. Na pierwszą wzmiankę o synie, starzec odwrócił się od okna, przy którym stał, przystąpił do kapitana i, nie mówiąc ani słowa, utopił w jego twarzy swoje oczy tak groźne, że Gandy mimowoli zatrzymał się i ścisnął w rękę szpicrutę; równocześnie obaj konstablerzy powstali ze stołków, na których siedzieli. Usta farmera drgały pod silnym wstrząśnieniem nerwowym, gdy się nakońcie odezwał głosem dziwnie zmienionym:

— Każ im usiąść! Kapitanie Gandy, patrz mi prosto w oczy... Nie chcesz? Nie możesz! Słuchaj jednak, panie plenipotentcie! Czycha-

no na twoje życie... zamordowano tamtego... pan przychodzisz tu z oskarżeniem syna mego... o morderstwo! Wszak prawda?

— Prawda—odpowiedział Gandy, usiłując powstrzymać się od wybuchu wściekłości.

Było coś w mowie tego starca, co go przekonało, że O'Grady miał ku niemu jedno tylko uczucie — niewystowionej pogardy! Nie chcąc jednakże, by twarz jego zdradziła sprzeczne jego myśli, zmienił i stanął plecami obrócony ku oknu. O'Grady poszedł za nim i zatrzymał się przed nim. Tym sposobem, kiedy twarz plenipotenty zostawała w półcieniu, pełne światło dzienne uwydatniło surowe a namiętne oblicze starca. Stał ze spuszczonej rękoma, z głową podniesioną, choć nieco pochylony, z wzrokiem spoczywającym na twardych rysach przeciwnika. Mówił powoli, dobitnie, bez goryczy.

— Kapitanie, ja nie wiem gdzie jest syn mój, Tomasz, ale nie on zamordował Grubba, nie on pchnął nóż... z tyłu! On tobie życie ocalił! Nie dlatego, żeby spełnić obowiązek prawego człowieka, nie-stety!... ale żeby nie splugawić się zbrodnią! Odezwało się w nim sumienie... matka go wychowała troskliwie... uległ pokusie i przemocy złych towarzyszy, ale go ochroniła łaska boża!

— Co mi tam gadać o pokusach i łaskach! Schować to sobie dla księży. Ja sam widziałem Tomasza O'Grady, ścigałem go sam, potępił go głos umierającego i wyrok sędziów w śledztwie obdukcijnym nad trupem! To wystarcza!

— To nie wystarcza!—krzyknął starzec, ale pohamował się natychmiast. Kto strzelił? Kto przebił Grubba? Stało się to w jednej i tej samej chwili. Prawdziwy morderca widział podniesiony w górę rewolwer mego syna; gdy padł strzał i wy obaj obróciliście się, tamten spełnił swój czyn. Przecież pan pobiegłeś za moim synem...

— Tak, ale minutę zapóźno, kiedy Grubb padał na bruk! Widziałem waszego syna tuż przy Grubbie; gdyby mnie konający nie był przytrzymał chwilowo, wymawiając imię zabójcy — byłbym go miał w rękę! Człowiek, który strzelił, uczynił to dla natychmiastowego sprowadzenia policyi. Wiecie, kto on jest i że zeznanie jego przyjęli sędziowie.

— Wiem—szepnął starzec, a nagła bledność pokryła twarz jego. Spuścił oczy i załamując ręce, powtórzył cichym głosem: Wiem, wiem, wiem... Michał Myles... wiem! A po chwili milczenia dodał: Ha! W Bogu nadzieja!...

Plenipotent poikł oczy swe widokiem zgnębnego starca. Gandy nie wątpił na chwilę, że Tomasz O'Grady był winien morderstwa; chodziło mu o to tylko, by się przekonać, że i ojciec nie miał rąk czystych. Sprowadzenie winowajcy do sprawiedliwości pozostawił władzom; starał się, by uwięziono dzierżawcę Topoli. Kiedy jednak śledztwo tajemne wyświeciło fakt nieobecności Tomasza w Topolach przez cały tydzień, poprzedzający dzień zbrodni i pewność, że stary



O'Grady nie był w Waterford w chwili śmierci Grubb'a, władze nie posiadały żadnych danych, któreby mogły usprawiedliwić choćby tymczasowe uwięzienie fermera. Gdyby on był człowiekiem mniej znanej prawości charakteru i zapatrywań, możeby się zgodzono na krok taki; ale należało się liczyć ze stanem rosnącego wzburzenia między ludnością hrabstwa: wszelki krok nierozważny mógłby przyspieszyć wybuch anarchizmu, wybuch, którego sobie mocno życzyły sfery protestanckie, ale któryby zaszkodził rządowi i stronnictwu rządzącemu więcej, niż zbrojne powstanie w Bengalu.

Ostatnie słowa Marcina zdawały się potwierdzać podejrzenia plenipotenty. Gdyby tylko mógł wpaść na trop kryjówki jego syna! Po procesie kryminalnym i po wyroku, łatwoby otrzymać dekret eksmitowania per fas aut nefas! Któryżby sąd w kraju śmiał się wystawić na oburzenie całego landlordyzmu, odmawiając takiego dekretu przeciwko ojcu mordercy?

Po krótkiej chwili obustronnego milczenia, O'Grady, nagłą tknięty myślą, przystąpił żywo do kominka, zdjął wiszący na ścianie krucyfiks, objął go obu rękoma i, kłękając w pośrodku izby, zawołał:

— Na ten wizerunek Zbawiciela, na jego mękę, śmierć i zmartwychwstanie, na sąd duszy mojej i zbawienie moje, przysięgam ja, Marcin O'Grady, że syn mój, Tomasz, nie jest winien śmierci Grubb'a!..

Plenipotent odwrócił się niespokojnie ku oknu; mimowoli... ten bezsilny protest przejął go do głębi i dziwnym uszanowaniem uczuć kłęczącego starca. Konstablerzy powstali z miejsc: synowie tej samej ziemi i tego samego ludu zrozumieli uroczystą prawdę przysięgi, odkryli głowy. O'Grady mówił dalej głośno i śmiało:

— Przysięgam na duszę moją własną i na czystą, anielską duszę mojej Hessy, mojej córki, że prawdziwy morderca nigdy przezemnie nie będzie zdradzony, ani wydany! Tak mi Boże pomóż i wszyscy Święci!

Poczem się podniósł, zawiesił krucyfiks na ścianie i, nie zwracając uwagi na ostupiałych świadków tej dziwnej przysięgi, wyszedł z izby. Kapitan spojrzął za nim, wzrok jego był niepewny; spojrzął na konstablerów, a ci spuścili przed nim oczy. Opuścił chatę w pośpiechu, nie słysząc jak jeden z nich szepnął do towarzysza:

— Teraz i jabym przysięgł, że Tom nie zabił tamtego!

I kiedy Gandy opuszczał Topole, ojciec trzymał córkę w objęciu, powtarzając:

— Nadzieją i pracą, Het! Nadzieją i pracą, Bogiem, wiarą i czystym sumieniem!..

## IX.

Przygotowania, jakie O'Grady robił na swój osadzie, zmieniły dotychczasowy tryb życia i pracy pod Topolami. Około pięć akrów roli zostało pod warzywa, bo zysk z ich sprzedaży musiał nietylko

wystarczyć na utrzymanie domu, lecz pomódz farmerowi do zakupienia gospodarskich potrzeb. Dwanaście akrów pastwiska należało się bydłu własnemu Marcina i temu, które za opłatą wysyłał do fermy miejscy rzeźnicy, lub handlarze. Wierna Maryanna pozostała i nadal panią i nadzorczynią mleczarni, a nikt lepij od niej nie potrafił czuć nad inwentarzem żywym i nieruchomym. Z pozostałych gruntów, rozłożonych na pagórkach, zarosłych krzewiem, O'Grady wyznaczył pod kartofle ośm akrów i z pomocą trzech robotników zabrał się do ich uprawy. Słyszał tyle o szczęśliwych rezultatach tak zwanego „sposobu Trench'a,“ plenipotentą dóbr w przyległym hrabstwie Tipperary, że, pomimo wrodzonej wszystkim celtom irlandzkim niechęci do wznowień agronomicznych, postanowił go spróbować u siebie.

Grunta te nie były tak kamieniste, by stawały zapory pługowi. Nasamprzód więc wysypał O'Grady cały obszar wapnem, wydając około 30 baryłek na jeden akr; zorał potem wszystko w zagony pięciu stóp szerokości. Na tych zagonach sadił ziemniaki, zagłębiając je na dwa lub trzy tylko cale pod powierzchnią i posypywał rolę guanem w proporcji sześciu centnarów do akra, przestrzegając, aby ani wapno, ani nasienie nie były bezpośrednio zmieszane ze sztucznym nawozem. W ten sposób wapno rozkładało dziką roślinność w roli i razem z nią stanowiło doskonały nawóz.

Ukończywszy wszystką mozolną pracę, O'Grady śledził niespokojnie jej skutki. Wszakże od plonu tego siewu zależało tyle! Przekonany był, że twardy plenipotent użyje wszelkich środków, by go z osady wypędzić, jeżeli nie zdoła wyplącić się z należytości. Wiedział, iż okropne podejrzenie, rzucone na syna, podejrzenie, wsparte wszystkimi pozorami, lecz najwięcej ucieczką Tomasza, uczyniło położenie jego tém niebezpieczniejszem! Cóż się stanie z malenką Hessy!...

Starzec nieraz, wracając późno po zachodzie słońca z pagórków, zwracał się ku nim raz jeszcze, klękał, całował zroszoną ziemię i prosił Boga o błogostawieństwo swój pracy tém goręcej, im żywił mu serce biło nadzieją.

Nadzieja nie zawiodła Marcina. Pod koniec sierpnia zebrał plon pierwszy z nowo uprawionej roli; zbiór ziemniaków wynagrodził mu obficie za znoje i zachody kilkumiesięczne i pozwolił nawet złożyć należne pieniądze w kasie plenipotentą. Kapitana w biurze nie było, z czego O'Grady był serdecznie zadowolony; młody kasyer dał pokwitowanie, zaciągnął opłatę do książek i rzekł, uśmiechając się:

— Emigracya wam, widać, panie O'Grady, wyszła na dobre: polepszyło się pod Topolami od czasu, kiedy was opuścili synowie!

— Nie opuścili mnie oni — odparł sucho farmer — tak, jak nie porzuciło kraju tyle tysięcy ludu, których się rząd chce pozbyć raczej, aniżeli przyspieszyć potrzebne ulepszenia.

— Hm!... — mruknął urzędnik tylko i rozłożył gazetę na biurku; lecz po wyjściu Marcina dodał półgłosem: — Kapitanowi to wcale

nie na rękę, że mu się Topole tak wysłiznęły! A rzucając wzrok na zegar ścienny, szepnął po chwili:—Cóż robić!.. zapłacił, a więc muszę słuchać instrukcyi kapitana. Trzeba mi rozmówić się z Mylesem... chociaż, daję słowo, wołałbym, żeby sobie Gandy kogo innego był wybrał! No, a więc o godzinie 10-téj... teraz dopiero po 5-téj—w szynku „Pod herbem miasta.“

Tymczasem Hessa położyła na stole, obok przygotowań do wieszery, list, który tego samego dnia przyniosła była z poczty w Trawmore. Poznała pismo Patryka na kopercie; przekonała się z urzędowej pieczętki, że list oddany był w Nowym-Yorku. Hessa chciałaby go była otworzyć czémprędzej, ale wołała z ust ojca dowiedzieć się wieści o starszym bracie. Powróciwszy z Waterford, O'Grady ucieszył się niezmiernie, biorąc w rękę i otwierając pierwszy list od „biędnego chłopca!“ Pisał Patryk, że po szczęśliwém przybyciu do Nowego-Yorku, postanowił szukać pracy w miejscu. „Wierz, kochany ojcie, że do rolnictwa nigdy ochoty nie miałem. Cóż jednak mogłem robić? Po konieczném zaprzestaniu nauk, jakich niepodobna Ci było opłacać nadal, pracowałem, jak wielu innych, na roli i już się zgodziłem z losem, jaki mi, zdawało się, Bóg przeznaczył... Mogłem być, jak brat mój, Tomasz, uciec ze szpon kapitana i Grubb'a, ale cóżby nam z tego przyszło i cóżbym z sobą począł w Irlandyi?...“ W dalszym ciągu donosił Patryk, jak mu posłużyło szczęście w pierwszym zaraz tygodniu po wylądowaniu. Wyczytawszy w gazetach ogłoszenie, że pewna firma kupiecka potrzebuje ucznia do swego wydziału buchalteryi, napisał podanie i wręczył je osobiście naczelnikowi firmy. Ten pochwalił wprawdzie pismo, ale przyjąć młodzieńca nie chciał dla braku rekomendacyi poprzedniego pryncypała i dla tego także, iż Patryk, choć młody, zastarym mu się zdał, aby mógł zająć miejsce ucznia. Udało się jednakże aplikantowi zmiękczyć serce p. Williamsa, tak się nazywał przemysłowiec, i rozpoczął obowiązki swe „na próbę.“ Próba trwała dwa miesiące. List wysłany został w dzień, w którym szef wydziału oznajmił Patrykowi, że pp. Williams i Syn uważać go będą odtąd za „regularnego ucznia“ i że mu wyznaczili pensyjkę początkującego — dwa dolary na tydzień.

Przerwał tu O'Grady czytanie wesołych wieści, aby się przypatrzeć rozpromienionéj twarzyczce maleńkiej Het i wyrzec z głębi serca ojcowskie: „Niech mu Bóg błogosławi!“

„A teraz — czytał dalej z listu — spieszno mi dowiedzieć się, co tam słyhać u was, drodzy moi. Czyście zdrowi wszyscy i czy wam Gaudy przestał dokuczać? O Tomasza bałem się bardzo, ale mi towarzysze podróży wytłómaczyli, że mu plenipotent nic złego zrobić nie może, jeżeli tylko zdołacie się wypłacić. A więc, jakże tam się powiodły plany wasze i prace? We dwóch wam pewnie niepodobna było poradzić nowéj robocie około ziemniaków! Ucałujcie odemnie miss Hessa... czy ja kiedy mogłem pomyśleć, że maleńka Het nie jest...“

Zaciął się w tej samej chwili O'Grady, zakaszł i, rzucając szybkie spojrzenie na dziewczkę, która równocześnie szeroko otworzyła piękne swe oczy i pochyliła się naprzód, jakby dla lepszego dosłyszania niezrozumiałych wyrażeń, powiódł następnie okiem do końca stronicy i po niejakiem wahaniu się przeczytał zakończenie listu:

„Skoro mi tylko pp. Williams podwyższą pensją, postaram się, aby ci, ojcze, dopomódz do zapłacenia długu Myleasa; przekonany jestem, że, jak mi mówiesz przy pożegnaniu, on jeden mógł cię być wyratować pożyczką. Zkąd on jednak ma na zawołanie pieniądze... tego pewnie my obaj nie rozumiemy... Powiedziałem siostrzyczce naszój... nie wiedząc wtedy nawet... (tu znów przerwał na chwilę O'Grady) żeby się strzegła Michała...

— Mój Boże! mój Boże! — mimowoli zawołał starzec, opuszczając ręce.—Trzeba mi jeszcze czekać trzy miesiące, zanim będę mógł oddać, com winien, temu człowiekowi. Ale, czyż ja wiedziałem, czy wiedziałem!

Hessy nie rozumiała całej doniosłości tych słów boleści, jak nie rozumiała znaczenia kilku wyrażeń listu Patryka, jój się tyczących. Ale o nic w tej chwili pytać się nie śmiała. Zresztą myśli jój po ostatnich słowach ojca w inną się nagle zwróciły stronę. Wstała, pobiegła na górę do swój sypialni i niebawem wróciła, cała zarumieniona, trzymając w ręku sporo wypełniony woreczek płócienny. Zbliżyła się do starca, wciąż pogrążonego w przykrém zadumaniu, objęła go jednem ramieniem za szyję, a chyląc główkę na skroń ojca, złożyła przed nim na stole cały swój skarb.

— Cóż-to, Het — co-to? — zapytał O'Grady, nie zdając sobie sprawy z zachowania się dziewczki.

— Same miedziaki i kilka drobnych sztuk srebra, ojczulku. Ale... tam jest tylko...

Hessy wybuchła głośnym płaczem. Wszystka jój oszczędność, ciągłe ciużanie groszy i odmawianie sobie najkonieczniejszych potrzeb, jak i najmniejzych i najmniej kosztownych ozdób ubogiej odzieży złożyło się zaledwie na jeden funt kapitału.

O'Grady, znając szczupłe dochody córki, na których tyle ciążyło tygodniowych wydatków, ledwie mógł uwierzyć, jak głęboko sobie spaamiętała kilka mało zresztą znaczących słów najstarszego syna, gdy sobie tak wzięła do serca przestroję jego i dług, zaciągnięty u Myleasa. Przywiązanie jój rozczuliło go do łez. Kiedy tejsze samej chwili weszła Maryanna z zapaloną świecą, otarł szybko zwilżone oczy i powiedział tylko:

— Niech ci Bóg błogosławi maleńka, na każdym kroku, w całym twém życiu! Niech cię Bóg błogosławi i kocha, Het!

— A zmiłowanie wszystkich świętychl... zawołała Maryanna, widząc na stole dobrze sobie znany woreczek.

— To nic, nic, Maryanno — rzekł zakłopotany fermer i do-

dał: widzisz, nie wiedzieliśmy jak ta panienka nasza potrafi oszczędzać! Zgadnij, ile tu pieniędzy.

— Zgadnij! — odparła Maryanna nie bez dziwnego oburzenia. Zgadnij! A na co mi zgadywać. Z tém, co się zostało pannie Hessy po dzisiejszym targu, jest tu akurat dziewiętnaście szylingów, dziewięć pensów i jed'n „farthing“<sup>1)</sup>. Zgadnij! Chyba mam zgadnąć, po co to tu panienka przyniosła? Za siedm, albo ośm miesięcy, ach! toby tu więcej było. Tylko, żebym zmieniła wtedy ten ciężar na trzy złote pieniądze, coby nikt się nie domyślił, przez ile to sobót dwie biedne niewiasty radziły i radziły nad każdą okruszyną soli w kuchni i nad każdym funtem mąki w śpiżarni! A kiedy już o mące mowa, to wam, ojczu O'Grady, powiem, że drożeje a drożeje co tydzień; bo wszystkim lud chce żyć mąką tylko i sprzedawać ziemniaki: jak tak dalej pójdzie, to się nie dokupiny chleba; choć znowu nie trzeba zapominać, że u nas się tu chleba piecze mało; bo prócz was samych, my go prawie nie jemy, a stary Jan narzeka, że mu pieczywo w Topolach za ciężkie, czemu nie dziwić się, bo biédaczyna prócz wódki niczego przełknąć nie może. A tak! więc...

Pocziwa i rządzna Maryanna byłaby w ten sposób przegadała wszystkie szczegóły domowego gospodarstwa, gdyby w téj chwili nie był zaszczekał pies, wierny stróż domu. Równocześnie zerwał się z krzesła O'Grady, otworzył okno i wychylił poza nie głowę. Hessy słuchała uważnie każdego szmeru. Maryanna postawiła lichtarz z świecą zapaloną na kominku i zabierała się do wyjścia do sieni, kiedy ją zatrzymał głos fermera:

— Któż tam? Czego wam potrzeba, kobieto?

Słysząc było zwolna i ciężko zbliżające się kroki, stukanie laski pod zewnętrzną ścianą izby i głos niezrozumiały, narzekający.

— Otwórz drzwi, Maryanno! — zawołał Marcin. — Biédactwo, starowina jakaś... może się zbłąkała.

Wkrótce, na progu izby ukazała się postać staruszki, mocno zgarbionej i nisko pochylonój, wspartej grubą laską, na której obie złożyła dłonie. Twarz, poorana głębokimi zmarszczkami, osłonięta cieniem chustki, związanej na głowie, wyrażała niby nieśmiałość, zaczerwienione i krwią nabiegłe jej oczy patrzyły wprost na córkę fermera, a usta szeptały tym półtonem, który się zdaje wtłaczać raczej słowa napawrót do piersi, aniżeli je wymawiać.

— Święci Pańscy! — mówiła — hal to ona... tak...tak! Tyle już czasu!.. Agnieszka! Agnieszko, słyszysz? Zjawienie? Niel W Dunmore... biédactwo!

Oczy Marcina, otwarte szeroko, wpoily się w twarz żebraczki. Usta drżały mu konwulsyjnie, jak gdyby przemówić chciały, lecz nie mogły.

Hessy, zmieszana dziwném zachowaniem się staruszki, cofnęła się do kominka, patrząc z kolei to na ojca, to na Maryannę.

<sup>1)</sup> Farthing  $4\frac{1}{2}$  pensa.

— Idźcie wy na górę!—wymówił wreszcie prawie szorstko O'Grady. Hessy pierwsza wyszła. Maryanna przeżegnała się, sięgnęła po lichtarz lewą ręką, prawą zaś dobyła z poza zegaru kawałek kredy święconej; poczem przeszła ku drzwiom, zatrzymała się za plecami żebraczki, przycupnęła i narysowała trzy krzyżyki na progu.

Pozostawiony sam na sam ze staruszką Marcin zbliżył się do niej, ujął za rękę i poprowadził do krzesła przy kominku, w którym dogorywały węgle niewygaszonego po zgotowanej wieczery ognia. Staruszka opuściła się bezsilnie na krzesło; laska z rąk drżących wypadła. Marcin stanął naprzeciw, oczu nie spuszczając z oczu i ust siedzącej. Lecz ani oczy jej ani usta się nie otwały. Gdyby nie ciężki a pospieszny oddech, mógłby sądzić, że życie uszło z wyniszczzonego ciała. O'Grady dobył z szuflady stołu płaską fiaszeczkę, wół napełnioną koniakiem, wlał kilkanaście kropli w kieliszek, dodał wody z dzbanka i podał żebracze:

— Wypijcie to, p ani Myles, przekąście trochę chleba i mięsa, zaraz wam podam: bardzoście pani zmęczona!

— Wody!—wymówiła słabo.

— To już chyba mleka—odparł fermer, w mniemaniu, że „p ani Myles“ wyrzekła się palących trunków; znalazł garnczek mleka w szafce, zawierającej zapasy Maryanny, ukroił cienkich kilka kawałków chleba i mięsa i na jednym wszystko talerzu przyniósł do kominka. Ale staruszka mleko tylko wypiła, nie bez wyraźnego pośpiechu połykając z trudnością, chciwie.

— Bóg zapłać! Kto wy?... Boże, błogosław!... A!... jeszcze nie! Jeszcze żyć będę... tak mi się pić chciało, od południa, z Kilkenny. Gdzie ona? Gdzie Agnieszka?

Wszystko to pospiesznie, bez ładu, gorączkowo. Ani nie czekała odpowiedzi.

— Wy fermer? Ona sługa? A on gdzie?

Marcin nie wiedział, kogo miała na myśli; nie wiedział, co odpowiedzieć. Staruszka wstała nagle z krzesła, uchwyciła laskę, oczy jej zabłyśły na chwilę. Chwila ta trwała okamgnienie. Pani Myles znów się pochyliła cała i zwolna postąpiła, a raczej poczołgała się na środek przestronnej izby. Siadła tam na podłodze, położyła laskę obok siebie, wyciągnęła wychudłe ręce i ramiona przed siebie i ku wielkiemu zdumieniu Marcina taką z kimś nieobecnym zawiodła rozmowę:

— Osierocili, samą zostawili! Aniołek, jedyny mój, jedyny mój Michałek; Piotrowi czas! Nie patrz tak na mnie, Piotrze z Ballaglanu, o! o! Czy pamiętam! Ha! Julia Gallagher nigdy złej chwili swemu Piotrowi nie sprawiła. Piotr mój dzielny tulił do serca, słowa złego nie powiedział... ha! przeszła chmura: raz jeden! Młody, ubogi, pracowity, na panicza sam się kierował; Agnieszkę Julii i Piotrowi w opiekę dał.

— Kto? Kto? Kto?—zawołał O'Grady, podchodząc szybko do staruszki. Ona jednak nie przestała pół-bezwiednie patrzeć przed siebie i dalej mówić:

— Nie wedle ludzi, wedle Boga być musiało! Jan Leary sierota, a Agnieszka dom rzuci i do obcych się przygarnie. Jan Leary w mieście z książek się uczy, a Agnieszka w Ballyglanie czeka, cierpliwie wygląda. Ha! Piotrze; mój dzielny, czysta ona przed Bogiem, prawy on, Leary prawy. Raz jeden—przeszła chmura.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Staruszka nie przestała marzyć o przeszłości; O'Grady, wsparty o kominiek, oczu z niej nie spuszczał. Potém znowu:

— Litości! ludzie wy dobrzy! o! jeszcze nie narodzone—Piotrze! Nie obrażaj go więcej... Chryste! Aa! Boże w niebie miłosierny! Krwi tyle, Piotr z roztrzaskaną głową a Julia prosi błogosławioną Pannienkę, żeby nie żyła! O! o! umarło, nigdy nie widziało matuchy... Ha!

O'Grady gęste łzy ocierał z oczu. Staruszka nie płakała, lecz oczy jój rozszerzały się okropnie, krwią zasłałe.

— Mizerak! Piotr Myles—niewinny. Wypędzili, zabrali wszystko, zabili istotkę, co nigdy nie żyła, zabili matkę na drodze, pod murem. Aniołek mój u obcych, gdzie Agnieszka? Ha!

Wstając z podłogi, staruszka obejrzała się wkoło i drzeć poczęła na całym ciele. Potém się przywlokła do kominka, chwyciła Marcina za rękę, przyciągnęła bliżej ku sobie i tym dziwnym głosem swoim, tak płaczącym a spokojnym, zapytała:

— Wy... fermer? A ona... sługa? Gdzie, gdzie on, Jan Leary?

O'Grady znów nie wiedział, co odpowiedzieć. Sam tyleby rad się pytał! Tyle mu myśli krążyło w umyśle, tyle się krzyżowało sprzecznych wspomnień z przeszłości. A przed innými, jedna myśl trwogą go napełniała i czoło zimnym mu zlewała potem: Hessy przestanie mu być—córką! Hessy, którą od niemowlęcia kochał całą swą gorącą duszą, otaczał bezustanną pieczą; Hessy, która była jego pieściotką, ma się dowiedzieć, że jest sierotą, że rodziców nie znała nigdy, że... o! okropność! że ojciec przybrany stał się przyczyną śmierci jój matki, owój Agnieszki! A może ojciec zjawi się kiedy w Topolach, może dowiedzie praw swych do dziewczynki... może da świadectwo niewinności dawnój zmarłej, zabierze dziecko swoje... i nic już Marcinowi nie zostanie w Topolach!

Wszystkie te myśli jednym stanęły obrazem przed wyobraźnią fermera. Złamanym, skruszonym ich brzemieniem, ani na chwilę nie pomyślał, jakby mógł przeszkodzić wyjawieniom Julii Myles. Był środek jedyny: odmówić schronienia żebracze. Ale O'Grady, odpedził szybko ten środek okrutny: nigdyby go się nie chwycił!

Otworzył drzwi izby i zawołał przytłumionym głosem: Maryanno! A potém, nie czekając, wyszedł na wschody, prowadzące do izb sypialnych. Maryanna, która przestrzegała uparcie, by zawsze ostatnia w domu czuwała, opuściła pokoić Hessy (zwany „sypialnią braci“ a od przeszło roku zajmowany przez dziewczęcą panią domu) i spotkała w pół drogi ojca O'Grady.

— Cyt! ostrożnie, Maryanno—nie trzeba jój budzić! Uściel łóżko w alkierzu dla pani Myles.

— Dla... pani Myles? A gdzie... to, czy ta stara, to pani Myles?

— Cicho, cicho, Maryanno! Przecież nie zapomniałaś matki Michała! Tak, to ona. Zmieniła się, zbiedaczyła strasznie... nie wiele jój już godzin zostało! No, Bóg ją tu zesłał — dodał uroczyście. Jego wola niechaj się staniel... Idź do alkierza, Maryanno!

(d o. n.)



# KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Dzieła uwieńczone na konkursie akademii francuzkiej: „Dzieje rycerstwa,” przez Leona Gauthier.—„Życiorys Johanny, córki Ludwika XI,” p. Maulde.—„Kancelarz Maupean i Parlamenta,” p. Juliusza Flammermont.—„Jan de Witt, wielkorządca Holandyi,” p. Lefevre Pontalis.—„Kardynał Carafa,” p. Jerzego Duruy.—„Zarysy wschodnie” J. Darmestettera.—„Obraz literatury francuzkiej za pierwszego cesarstwa,” p. Merlet.—„Młodość pani d'Epinau i ostatnie jej lata,” p. Percy.—„Życie marszałka Bugeaud,” p. hr. Ideville.—„Rivarol i społeczeństwo francuzkie podczas rewolucyi i emigracyi,” p. Lescure.—Przekłady: „Komedye Plauta,” „Sen Polephila i t. d.,” „Śpiewnik historyczny XVIII wieku,” p. Emila Rannie.—„Korespondencya Chapelin'a,” p. Tamiug de Loroque.—„Wiek XVI we Francyi,” p. Arsena Darmatetter.—„Żargon XV wieku,” p. Augusta Vitu.—Uwieńczeni poeci: Lecomte de Lisle, Emil Hervilly, Charot, Fryderyk Mistral.—„Błąd Izabeli,” powieść pani Maryan.—„Podróż do Ziemi świętej,” p. Wiktoryna Guerin.—„Turysta na zapadłym Wschodzie,” p. Cotteau.—„Korespondencya Jouberta,” p. Pawła de Raynal.—„Listy Drogona,” p. Fawła Droz.—„Życiorys generała Chaury,” p. Chuquet.—„Śmiech, zarys psychologiczny,” p. Ludwika P'hibert.—Położenie klas roboczych w różnych krajach,” p. René Lavolec.—„Literatura angielska,” p. Augusta Filon.—„Wychowanie moralne i obywatelskie przed rewolucyą,” p. księdza Sicard.—„Dziennik samotnika,” Ksawerego Thiriot.—Przyjęcie Fr. Coppée do Akademii francuzkiej.—„Listy Guizota do rodziny,” wydane przez córkę p. de Witt.—Św. Franciszek z Asyżu,—„Boska komedyja,” z ilustracyą Sturlera.—„Wybrzeża Francyi,” p. Aubert.—Etnograficzne obrazy z gór Auwernii.—Rozmaitości.

W ostatnich dniach ubiegłego roku odbyło się w Akademii francuzkiej uroczyste ogłoszenie nagród konkursowych. Każdy rok powiększa liczbę fundacyi, a w miarę mnożących się medalów i wieńców, coraz liczniejsi kandydaci występują do zapasu. Tegoroczny

konkurs odznacza się szczególnie doniosłością prac historycznych; postęp widoczny na tém polu: poświadczyl to w imieniu Akademii stały jej sekretarz, p. Doucel. Oto są jego słowa:

„W pracach dzisiejszych historyków oprócz osobistej zasługi każdego autora, spostrzegamy wspólne zalety, zbliżające ich do siebie i odpowiednie samej naturze badań dziejowych. Temi są: ścisłość w krytycznym wykazaniu faktów; sprostowanie błędów rozpowszechnionych fantazją ludową; bezstronne ocenienie ludzi i zdarzeń; ożywienie prawdy historycznej wytworną formą swobodnej opowieści. Te wielkie zalety spostrzegamy we wszystkich pracach historycznych, nagrodzonych na tegorocznym konkursie.”

W tych słowach akademika widzimy coś więcej niż grzeczne pochwały. W roku zeszłym wystąpił on jako surowy sędzia, wyrzucając młodym historykom niedbalstwo w stylu i brak krytycznego rozbioru w nagromadzonych faktach. Ostre słowa jego przyniosły widoczny pożytek.

Pierwszą nagrodę Gobert (20,000 fr.) Akademia przysądziła znakomitemu badaczowi wieków średnich, Leonowi Gauthier, za wielką publikacją, pod tytułem: „Histoire de la Chevalerie“ (Dzieje rycerstwa).

„Dzieło to—rzekł sprawozdawca—nie jest tylko pracą erudyty; utwór to ciekawy i oryginalny, miły do czytania i nauczający, romantyczny i poetyczny zarazem. Widzimy tu określoną wiernie instytucją szczególnego rodzaju, która dotąd należała raczej do legendy, niżli do prawdziwej historii.

„Wyhodowana po barbarzyńsku w lasach Germanii, instytucja rycerska, przeistoczona wpływem Chrześcijaństwa, złagodzona w obyczajach, przyczyniła się potężnie do rozwoju cywilizacji. Doszedłszy w wieku XII najwyższego rozkwitu, poczęła upadać wobec władzy monarchicznej, dość już potężnej, aby wystąpić do zapasu z tyranią feudalną. Ustanowienie regularnych armii zadało jej wreszcie pocisk śmiertelny. Miała się stać tylko widmem przeszłości, pokarmem dla wyobraźni dzieci i poetów, czczą formą, bez rzeczywistego znaczenia, ale od chwili, kiedy Franciszek I, bohater zpod Marignan, skłonił przy rozpoczęciu bitwy królewską głowę przed ostatnim paladynem (Bajardem), świetnym przedstawicielem starodawnego rycerstwa.”

W pięknej rozprawie wstępnej, uczony historyk, ukazawszy Bajarda w całym blasku chwały, ofiaruje śmiało księgę swoją autorowi Don Quichota. „Nie ma już Pirenejów.“ Rycerz bez zarzutu podaje rękę rycerzowi smutnego oblicza, to ostatnie słowo instytucji rycerskiej! Smętna pod piórem Gauthier'a, ośmieszona satyrą Cervantesa, umiera bez powrotu.“

Druga nagroda Gobert przypadła p. Maulde za nadzwyczaj ciekawy i rzewny życiorys Johanny, nieszczęśliwej córki Ludwika XI, nieszczęśliwszej jeszcze małżonki dumnego księcia Orleanu, który

później został królem Francji pod imieniem Ludwika XII. Jakkolwiek król ten godnie piastował berło Francji, smutną jednak zostawił pamięć, jako okrutny prześladowca żony, której zawdzięczał koronę: biedna Joanna, najpiękniejszymi zaletami serca i umysłu nie mogła w oczach męża okupić wstrętnej mu i odrażającej powierzchowności.

Nagroda Therouanne (również za prace historyczne), przypadła Juliuszowi Flammermont, autorowi dzieła p. t.: „kanclerz Maupeou i Parlamentu.” Jest to historia zawziętej walki, prowadzonej przez tegoż kanclerza, w celu zreformowania starych parlamentów w przeddzień wielkiej rewolucji. Rzecz rozwija się żywo i dramatycznie. Widzimy tu już początek owych burzliwych przewrotów, które przez lat sto następowały po sobie nieprzerwanym szeregiem i do dziś dnia sprowadzają na Francją coraz to nowe klęski.

Czwarty laureat, Lefèvre Pontalis wystąpił do konkursu ze znakomitym życiorysem Jana de Witt, słynnego w dziejach Niderlandów. W końcu XVII wieku, Holandia na czele prowincji zjednoczonych, podjęła dzielnie walkę o niepodległość. Wyzwolona już z jarzma hiszpańskiego, ale wahająca się jeszcze z przyjęciem nowej władzy, próbowała samorządu i przez dwadzieścia lat geniusz wielkiego człowieka tchnął w tę parlamentarną Rzplątą siłę tak wielką, otoczył ją takim blaskiem, że niejedno państwo mogło jej słusznie pozazdrościć. Szczęśliwym zbiegiem ten wielki mąż stanu był zarówno człowiekiem nieskazitelnej uczciwości. Mianowany wielkorządcą Holandii Jan de Witt, nadał tak pomyślny kierunek i zewnętrznym i wewnętrznym sprawom państwa, że imię jego połączone nazawsze z historią polityczną i militarną XVII wieku, stanowi z nią jedną i nierozdzielną całość. Prawdziwy fundator prowincji zjednoczonych, umiał on w imię patriotyzmu złagodzić niechęć stronnictw, uchronić nadużycia zwyciężkiej demokracji, słowem zaprowadzić porządek w ustroju rządowym.

Ukazawszy go w całym blasku potęgi, autor przedstawia bohatera swego w zaciętej walce z losem, kiedy bezwładny wobec obcych najazdów, odarty z uroku, jaki otaczał go między swymi, padł jak Cezar ofiarą ludu, obsypanego przezeń dobrodziejstwami. W rozdziale ostatnim Lefèvre Pontalis skreślił świetny obraz późniejszego rozwoju Niderlandów. Piękny styl, równie jak ścisłe i jasne przedstawienie faktów, podnoszą jeszcze wartość tej znakomitej pracy.

Nagrodę Bordui rozdzieliła Akademia między dwóch laureatów: połowę jej otrzymał Jerzy Duruy, syn sławnego historyka, autor życiorysu kardynała Carafy. Dzieło to, pełne oryginalnego poglądu, z prawdziwym napisane talentem, obejmuje ciekawy obraz polityki i obyczajów włoskich, a szczególnie rzymskich w pierwszej połowie XVI wieku. W młodości Carlo Carafa był prostym awanturnikiem; nieraz ubroczył we krwi ręce, ale skoro ujrzał przed sobą szerokie pole działania, okazał się godnym wielkiej roli, jaką miał odegrać i obowiązków, jakie miał spełnić w świecie.

Bratanek papieża Pawła IV, sprawiając, rzec można, rządy w jego imieniu, reprezentował go podwakroć w Fontainebleau i w Brukselli, na dworze francuzkim i hiszpańskim, przy synach dwóch nieprześląganych wrogów Franciszka I i Karola V. Obaj przyjęli z najwyższem poszanowaniem i udaną życzliwością dawnego kondottiera, który zdradził ich obu.

W Rzymie, jak wiadomo, skała tarpejska leży w bliskości kapi-tolu. Scena przemieniła się nagle. Po tryumfach nastąpiły klęski: Paweł IV umiera, Carlo Carafa pada ofiarą reakcyi; w 41 roku życia kończy jako zbrodniarz, uduszony w więzieniu. Straszliwy ten dram-at, z nieporównaną przedstawioną siłą, znalazł w młodym pisarzu godnego historyka.

Jerzy Duruy ofiarował pracę swoją znakomitemu ojcu. „Jak brat mój, Albert — pisze on na pierwszej stronnicy — osłaniam dzieło moje tarczą imienia swego ojca. Ten hołd miłości synowskiej łączę z poszanowaniem, jakie mi nakazuje szlachetny przykład Twego życia.”

Drugą połowę nagrody przyznała Akademia p. Darmstetter, znanemu orientaliście, autorowi „Zarysów wschodnich.” Są to stu-dya nad starożytną perską literaturą, oddane w najwytworniejszej formie.

Nagroda fundacyi Marcelina Guerin za dzieła literackiej treści, przysądzoną została p. Merlet za „Obraz literatury francuzkiej w cza-sach pierwszego cesarstwa” od r. 1800 — 1815. Pierwszy tom tego dzieła uwieńczony był przed trzema laty. Autor dopełnił go dwoma nowemi tomami. Występuje tu cały szereg imion, przyćmionych nieco postacią bohatera wieku. Dzieło to wybornie dopełni dziejów téj rycerskiej epoki.

Połowa teje nagrody przypadła dwom młodym autorom, pp. Percy i Mangras. Obaj wykonali razem bardzo ciekawą pracę w dwóch tomach, p. t.: „Młodość pani d'Epina y i ostatnie jej lata.” Wokoło téj kobiety światowej XVIII wieku ugrupowali oni różne wy-bitne osobistości, słowem odmalowali życie społeczne tych czasów w dziwnie zajmujący sposób. W długim szeregu obrazów widzimy tu oddane wiernie tradycyjne zwyczaje, zatarte dziś wpływem wielkiej rewolucyi, dotyczące wychowania młodzieży, małżeństw i stosunku ro-dziców do dzieci, a nawet gospodarstwa domowego.

Trzyletnia nagroda fundacyi Guizota, rozdzieloną także została między dwóch laureatów. Pierwszym z nich, hr. Ideville, biograf marszałka Bugeaud, zmarłego w r. 1849.

Autor podejmuje bohatera swego w dzieciennych latach: pokazuje go, jak wychowany w zacyjnym ale ubogim domu, pracuje tam nad so-bą, uczy się z zapałem, jak siłą żelaznej woli i wytrwałością wyrabiał w sobie energiczny charakter, gorącą miłość kraju, gotowość do po-święceń. Obszerna korespondencya marszałka pięknie dopełnia tego biograficznego zarysu.

Drugą połową nagrody Akademia uwieńczyła p. Lescure, za inną pracę biograficzną p. t.: „Rivarol i społeczeństwo francuskie podczas rewolucyi i emigracyi, (od 1753 do 1801 r.).“ Autor opisuje pierwsze wystąpienie w literaturze słynnego pamflicyisty, następnie biegłego filologa. Idąc w ślad za nim podczas kilkoletniej emigracyi, ukazuje go kolejno w Belgii, w Anglii, w Hamburgu, i innych stronach Niemiec. W Hamburgu Rivarol zjednął sobie rozgłos rozprawą o uniwersalności francuskiego języka. Zachęcony tém napisał dykcyonarz tegoż języka, którego delikatne odcienia znane mu były doskonale. Później przebywał Rivarol w Berlinie jako poseł in partibus hrabiego prowancyi, który w piętnaście lat później miał panować pod imieniem Ludwika XVIII. Obraz społeczeństwa francuskiego w emigracyi, skreślony po mistrzowsku piórem p. Lescure, wzbogacił autor mnóstwem nieznanym dokumentów czerpanych z autentycznych źródeł.

Akademia ma do rozporządzenia dwie nagrody za najudatniejsze przekłady z obcych języków: jedną z nich ufundowała pani Janin, by uczcić pamięć męża, słynnego krytyka, który w końcu życia przekładał Horacyusza z niesłychanym zapałem. Ta nagroda dotyczy wyłącznie starożytniej greckiej lub rzymskiej literatury. Rozdzielono ją między trzech laureatów: jedną część otrzymał doktor Grelle z Angers za przekład wierszem komedyi Plauta; drugą ksiądz Gregoire za tłumaczenie Korneliusza Neposa, trzecią p. Hervieu, za bajki Phedra, przełożone z wielkim talentem i formą wytworną przypominające bajki Lafontaine'a.

Inna nagroda fundacyi filologa Langlois, szersze ramy zakresła tłumaczom: pozwala im wybierać arcydzieła z nowożytnych języków czy to wierszem czy prozą, wymaga tylko doskonałości przekładu. Tę nagrodę otrzymał Klaudyusz Popelin, tłumacz „Snu Poliphila,“ włoskiego poematu Francesca Colonna.

Nie jeden już tłumacz usiłował przełożyć ten sławny poemat z epoki odrodzenia; ale przekład niesłychanie przedstawiał trudności z powodu szczegółów technicznych w opisie pałaców i dekoracyi nacechowanych symbolistyką mitologiczną. Wszystkie dotąd przekłady były tylko treściwem skróceniem lub prostym naśladownictwem poematu. Pierwszy dopiero Popelin, głęboki erudyta odtworzył go w całości wierszem. Co więcej, w ostatniej rozprawie wstępnej i w pełnych erudycyi uwagach, wykazał początki odrodzenia we Włoszech i krytycznym poglądem na tę epokę, wzbogacił literaturę francuską.

Jeśli wielką jest liczba fundacyj, oddanych pod rozporządzenie Akademii francuskiej, przyznać też musimy, że większą jeszcze jest liczba pracowników, nadsyłających na konkurs dzieła rzeczywistej wartości. Pokazało się to szczególnie, gdy przyszło sądzić prace filologów, współzawodniczących o nagrodę „Desperouse,“ na ten cel przeznaczoną. Rozdzielono ją na cztery części, lubo jak się wyraził sprawozdawca, każdy z laureatów zasłużył na całkowite premium.

Jedną część otrzymał Emil Raunie za „Śpiewnik historyczny XVIII wieku,” objęty w dziesięciu tomach. Ta historia w pieśniach, kreślonych z dnia na dzień przez wiek cały, pełna ciekawych rysów, chwytnych żywcem na gorącym uczynku, stanowi dziś ważny materiał dziejowy. Do każdego tomu autor dodał bardzo ważny wstęp, obejmujący wypadki, które dały śpiewakom pobudkę do pieśni wesołych lub satyrycznych, odbijających wiernie fizyognomią wieku. Druga część nagrody przypadła p. Taming de Lorroque, za wydanie korespondencji Chapélin'a. Korespondencya ta rozjaśnia nie jedną ciemną stronę XVII wieku, zwłaszcza pomiędzy r. 1632 a 1665. Pełno tu ciekawych szczegółów, odnoszących się do powstania Akademii napisów i literatury a pokazujących rozwój francuzkiego języka w dziełach ówczesnych pisarzy. Zarzucano Chapélin'owi zbytnią pieśzcotliwość wyrażień, szczególnie w wierszu; Boileau chlostał go ostrym biczem. „Dlaczegoż on nie pisze prozą? — powtarzał nieraz: poezya nie dla niego.“ Otóż Chapélin w wydanych dziś listach, odezwał się prozą do potomnych i to nadzwyczaj świetnie, jako naoczny i sumienny świadek swych czasów.“ Widzimy w nim gorliwego opiekuna pisarzy i uczonych w epoce, kiedy sam geniusz potrzebował poparcia. W listach maluje się ta piękna osobistość, zbyt długo zapomniana.

Trzecią część nagrody otrzymał Arsen Darmstetter autor znakomitej pracy filologicznej p. t.: „Wiek XVI we Francyi, obraz literatury i języka. Dzieło to rozdzielone na trzy części: pierwsza ma na celu wyłącznie literaturę; druga zajmuje się językiem; w trzeciej zebrane ustępy tak prozą jak wierszem z dwustu conajmniej autorów, wraz z gruntowném ich ocenieniem.

Czwarty nakoniec laureat August Vitu, nagrodzony został jako autor lingwistycznej rozprawy p. t.: „Le jargon du XV siècle.“ Uczony ten filolog, pracując nad zupełnym wydaniem dzieł Willona, poety XV wieku, spostrzegł dziwne jakieś i nieużywane nigdzie wyrazy, tak w drukowanych już dawniej baladach, jak w pięciu nie wydanych dotąd, które odkrył w bibliotece stockholmskiej.

Odgadł Vitu, że te wyrazy wzięte są z żargonu hałastry, zwanój „Gueux;“ był to jak wiadomo rodzaj bałagunów ówczesnych. Pełen werwy poeta, Willon, stał na ich czele i w pieśniach, zaprawionych sownie solą galską, przekazał pamięć ich potomności. Wytrwały krytyk jął badać początek owój cyganii literackiej, jój organizacyą a w szczególności język. Dziwny to język, ale nie brak mu niejakiegoś wyrobienia: ma swój charakter a nawet swoje prawa. Straż nad nim powierzoną była naczelnój radzie, obowiązanej zachować go według przyjętój formy. Ztąd nie można równać go z grubiańskim argotem dzisiejszych złoczyńców, zmienianym dowolnie bez kontroli.

„Czekamy z ciekawością — rzekł sprawozdawca konkursowy — zupełnego wydania Willona, tego króla cyganeryi literackiej, którego dynastyja silniej ugruntowana od tylu innych, tryumfuje dziś i jak można sądzić, nie tak prędko wygaśnie.“

Obok tój cyganii ma dziś Francya poetów, którymi słusznie pochłubić się może. Dowodem na to, że na konkursie tegorocznym kilku z nich otrzymało zaszczytne wieńce.

Wielką nagrodę (10,000 fr.) fundacyi pani Reynaud, którą co rok rozporządza inny wydział instytutu, Akademia ofiarowała w tym roku poecie Lecomte de Lisle za całość utworów, zawartych w trzech wielkich tomach p. t.: „Poemata barbarzyńskie, poemata starożytne i tragiczne,“ jak niemniej za mistrzowski przekład Iliady i Odysei. „Lecomte de Lisle, jak trafnie mówi sprawozdawca, zajmuje osobne miejsce w królestwie poetów. Ze szczytów samotnej wieżycy, którą Alfred de Vigni przekazał mu puścizną, ogarnia on jeśli nie z pogardą, to z głębokim spokojem, wyższe i dalsze widnokregi niż te, w których szamoce się biędna ludzkość; porywa nas potęgą talentu na te fantystyczne wyżyny, z kąd nam ukazuje niezmierny obszar, budząc zarazem podziw i przerażenie. Lecomte de Lisle ma właściwy sobie pogląd, własny swój język, własną metodę, słowem, tak w oryginalnych utworach jak i w przekładach arcydzieł toruje sobie całkiem odrębną drogą.“

Nie wiemy przez jakie szczególne względy, sekretarz Akademii nie dodał, że Lecomte de Lisle zagorzałym jest propagatorem budystańskiej Nirwany. Nie chciał może skompromitować Akademii, która dla uczczenia formy, posuniętej przez tego poetę do najwyższego arcyzmu, uwieńczyła tak świetnie naczelnika szkoły nihilistycznej w poezyi.

Surowszą okazała się Akademia dla poety, kiedy przed laty siedmiu ubiegającemu się o krzesło, odmówiła miejsca w gronie swoim. Jedyny tylko głos otrzymał Lecomte de Lisle: wotował za nim Wiktor Hugo. Odrzucony poeta napisał list, powtórzony w swoim czasie w dziennikach: „Głosy nie liczą się, ale wagą. Otrzymałem jedyny, jaki ma wagę dla mnie. W przekonaniu mojem jestem akademikiem.“ Odtąd poeta obrażony w dumie swojej, nie stawał już nigdy w rzędzie kandydatów; duma ta jednak nie uniosła go tak daleko, aby miał odrzucić 10,000 fr. ofiarowanych mu przez Akademią.

Dwóch młodych poetów mniejszego znaczenia otrzymało dwie inne nagrody. Jeden z nich Ernest Hervilly, autor komedyi wierszem, przedstawianych z powodzeniem w teatrze, i Mederyk Charot, cichy śpiewak wiejski, autor rzewnych obrazków, ożywionych gorącym patryotyzmem.

Wśród tych uwiecznionych poetów przyświeca najczystszy blaskiem postać Fryderyka Mistrala, słynnego przewodcy prowansalskich Felibrów. Wieniec ofiarowany mu przez Akademią był zgorszeniem dla tych, którzyby chcieli w imię jedności podciąć skrzydła orłom szybującym ku słońcu właściwą sobie drogą, dla tych, którzy w rozwoju poezyi prowincjonalnej, widzą przeniewierzenie się wspólnej ojczyźnie. Przeciw zarzutom tych nieprześląganych centralistów,

zaprotestował silnie p. Doucet, sekretarz Akademii, wygłaszając imię prowansalskiego laureata.

Przypomniał on jak dwadzieścia lat temu, młody podówczas Mistral odwiedził Paryż poraz pierwszy i przyniósł mu w darze pierwszy swój utwór. Akademia uwieńczyła „Mirellę;“ Villemain, ówczesny sekretarz, wykazał wielkie zalety ludowej epopei, zachęcał poetę do wytrwania, wróżył mu świetną przyszłość.

Mistral nie zawiódł tych nadziei: w tym roku wiosną, przybył znów do Paryża, złożył Akademii ostatni poemat swój „Nerto.“ Przybyli z nim wszyscy śpiewacy południowi, aby w mieście stołeczném, wraz z paryżanami obchodzić czterechsetletnią pamiątkę zjednoczenia Prowancyi z Francją. W świetnej mowie, tchnącej szczerym patryotyzmem, wypowiedział poeta, jak wolna prowancia, wiedzona współczuciem nie zaś rachubą, oddała się dobrowolnie Francji, jak po czterech wiekach wspólnego pożycia, czuje się dziś szczęśliwą z tych związków; protestuje więc głośno przeciw myśli separatyzmu, zarzucając mylnie Prowancyi, szczególnie jej poetom. Jako dobrzy prowansale a zarazem dobrzy franeuzi, kochają oni zarówno i wielką i małą ojczyznę i obie jednoczą w sercu swoim.

Sekretarz Akademii przytacza w ustępach piękną mowę Mistrala; przypomina potem, jak Anglia wymawiała także bardowi szkockiemu, Burusowi, że tworzył poezye w języku Lowlands'ów. Poeta śpiewający ludowym gwarem, mówiono, może być tylko poetą w swym zakęcie, chwałą rodzinnéj wioski. „Akademia francuzka sprawiedliwsza dla Mistrala, dodaje sekretarz, nie odeśle go do Prowancyi po należny mu wieniec, kładąc go poraz drugi na czoło piewcy, uznaje w nim dobrego francuza, którym cały kraj ma prawo się poszczycić.“

Z pomiędzy utalentowanych prozaików, akademia wybrała Gustawa Droz i nagrodziła go za długi szereg prac literackich, nacechowanych wzniosłą filozoficzną myślą. Droz stworzył nowy rodzaj literatury i licznych znalazł naśladowców. Głęboki znawca serc ludzkich, kreśli obrazki z życia rodzinnego, maluje z prawdziwym talentem najdelikatniejsze odcienia charakterów, a co więcej, obrazki te drgają życiem i miłością dla ludzi. W tém leży tajemnica wielkiej wziętości, jakiej używa od lat wielu ten znakomity malarz rodzajowy.

Przystąpił wreszcie sprawozdawca do dzieł nadesłanych na konkurs Monthiona'a. Akademia rozporządza dwunastu nagrodami, tymczasem stu czterdziestu ośmiu autorów oddało pod sąd prace swoje. Wiele z nich nagrodzono tylko chlubną wzmianką i zaleceniem.

Przytaczamy kolejno szereg tych uwieńczonych książek, należących według programu do rozmaitych działów literatury.

Z pomiędzy powieści sąd wybrał jedną, odpowiadającą najściślej wymaganym warunkom, pod tytułem „Błąd Izabeli.“ Autorką jej pani Maryan. Zarzucić można tylko niewłaściwość tytułu, nie ma tu bowiem błędu, ale raczej przesąd. Izabela d'Emeremy dla dumy



rodzinnę poświęciła wszystko; upada pod ciężarem fałszywej logiki, ale po długim szeregu scen dramatycznych, siła uczucia bierze górę nad przesądem; ocala ją od zguby. Powieść to pełna zdrowych myśli i zasad; sceny żywo następują po sobie, charaktery silnie oddane, interes utrzymany do końca.

W dziele podróży nagroda przypadła Wiktorowi Guerin za drugi tom poważnej i zajmującej pracy o „Ziemi Świętej.“ Przed laty dwoma pierwszy tom tego znakomitego dzieła zjednał autorowi taką samą nagrodę (2000 fr.).

Inny jeszcze podróżnik, Edmund Cotteau, otrzymał konkursowe premium za dzieło w dwóch osobnych częściach. Pierwsza część nosi tytuł: „Z Paryża do Japonii przez Syberję,“ druga „Turysta na zapadnym Wschodzie,“ (Japonia, Chiny, Indochiny i Tonkin).

Autor namiętnie rozmyślony w podróżach przyjmuje chętnie udział w misjach literackich, za powrotem opowiada co widział na własne oczy. Nie będąc ani uczonym, ani poetą, ani powieściopisarzem, kreśli po prostu, bez pretensyi, ale uwagi jego nadzwyczaj trafne i oryginalne, sąd zdrowy o rzeczach i ludziach, pogląd wzniosły i uczciwy, czuć prawdę w każdym słowie. Kilka miesięcy temu Cotteau puścił się na nową wyprawę do Indyi Wschodnich. Niedawno przebywał w Kalkucie. Znajdzie tam pobudkę do nowej pracy i wzbogaci dział literatury bardzo w tych czasach ubogi, jeśli nie co do liczby, to przynajmniej pod względem wartości utworów.

Czwartym laureatem Paweł de Rainal, wydawca bardzo ciekawej korespondencji Jouberta. Nigdy zapewne szczegóły z prywatnego życia ludzi, którzy wybitnie w świecie zajęli stanowisko, nie zaciekawiały tyle jak w czasach dzisiejszych. Listy zajmują dziś miejsce pamiętników, za którymi tak przepadano w pierwszej połowie tego wieku. Mają one tę przewagę, że kreślone doraźnie pod wpływem pierwszego wrażenia, gdy tymczasem pamiętniki, pisane z namysłem, częstokroć po upływie kilku lub kilkunastu lat nie mogą tak żywo odzwiercać myśli i uczuć. Wszystko tu zależy od wydawcy, aby umiał wybierać je umiejętnie i utworzyć z nich nie mozaikę; lecz organiczną całość. Wywiązał się z tego wybornie Paweł Raynal, siostrzeniec Jouberta, i z listów znakomitego męża stanu ułożył zajmujący obraz świetnego społeczeństwa, w którym błyszczały takie gwiazdy jak pani de Staël, pani Recamier i Chateaubriand.

Inna znów korespondencya już nie wydobyta z rodzinnych archiwów, ale kreślona świeżo z młodzieńczym zapałem, zjednała niłodemu autorowi „Listów Drozina.“ Jest nim Paweł Droz, syn uwięzionego powieściopisarza. Młody ten ochotnik, tylko co zaciągnięty pod chorągwie, przybywszy do pułku, jął pisać do rodziny humorystyczne listy, w których żartuje wesoło tak z drugich jak i z siebie. Wkrótce jednak szlachetny zapal ogarnia serce sarkastycznego paryżanina. Miłość obowiązku rozbudza się w nim, myśli szlachetnieją, dusza podnosi się coraz to wyżej. Odgłos pobudki bojowej, wprawdzie

nie na polu rzeczywistych zapasów, lecz tylko na polu wojskowych ćwiczeń, porusza tętno w dzielnej piersi. „Nie ma tu niebezpieczeństwa, wiemy o tém, pisze młody szermierz, ale siła jakaś popycha mnie, zapala serce moje, czuję się innym, odrodzonym; pragnę, aby to wszystko było prawdą.“

Z miłością podnosi te słowa zacny sekretarz akademii: „Bądź spokojny młodzieńcze, odpowiada mu, nastąpi to prędzej czy później. Co jest już prawdą, oto dobrodziejstwo wspólnego życia w twardej pracy, tak zdrowego dla umysłu i ciała, gdzie najkrnąbrniejszy umysł musi poddać się karności wojskowej, gdzie pod cieniem sztandaru dzieci wyrastają prędko na ludzi, na obywateli, na patryotów, a da Bóg kiedyś i na bohaterów, gdy uderzy godzina!“

Scisty związek z listami młodego Droziona ma inne uwieńczone dzieło pana Chuquet: „Życiorys generała Chanzy (od 1823 do 1883 roku). Paweł Droz pokazał, w jaki sposób rozpoczyna się zawód wojskowy, generał Chanzy naucza jak kończyć się powinien. Otoczony powszechnym szacunkiem, opłakiwany rzewnie, dzielny ten żołnierz patriota przedwczesnym skonek okrył żałobą kraj francuzki.

Przez lat pięćdziesiąt z górą autor idzie trop w trop za bohaterem swoim. Pokazuje w jaki sposób rozwijał się ten piękny żywot, który w każdej chwili stanowczej był nauką i zbawiennym przykładem. Wypadki to wczorajsze, rzekłby kto, że niepodobna dotknąć ich dziś bez rozdrażnienia umysłów. P. Chuquet z nieporównanym taktem umiał prowadzić rzecz, nie mieszając się w stronnice spory. Francya zajmuje go wyłącznie, jak wyłącznie zajmowała zmarłego generała. Całe dzieło tchnie duchem zgody i prawdziwym patriotyzyzmem.

Z pomiędzy prac filozoficznej treści, podanych do konkursu, zwróciło uwagę akademii dzieło Ludwika Philibert pod tytułem „Śmiech, zarys literacki, moralny i psychologiczny.“ Z całą powagą wytrawnego filozofa autor podejmuje przedmiot tak błahy, sądząc go z pozoru. W uczonej rozprawie rozbiera całą fizyologią śmiechu, to jest przyczyną moralnych, jakie wywołują go i skutków fizycznych, jakie zeń wynikają.

Wykazawszy nasamprzód, że dowcip i komika są dwoma źródłami śmiechu, odróżnia je potem od siebie, dowodzi analizą i przykładami, że niewłaściwie łączą je z sobą, kiedy rzeczywistość nie mają nic wspólnego ani w zasadzie, ani w zastosowaniu

Uwagi nad dowcipem bardzo oryginalne i głębokie zasługują na szczególne zastanowienie. Analiza komiki trafnie też rozwinięta. Autor określa różnicę między niewinną pobudką do śmiechu a rzeczywistą śmiesznością, odróżnia komikę w życiu od komiki na scenie, pokazuje objawy, jakie ta ostatnia budzi w umyśle słuchaczy, skutki, jakie z nich wynikają. Wszystko to zbadane poważnie, sumiennie, z najściślejszą logiką.

W książce o śmiechu wcale się ze śmiechem nie spotykamy. Celem

autora nie zabawiać czytelnika próżnym dowcipkowaniem, ale rozwijać w pojęciach jego myśli filozoficzne.

Z wydziału ekonomii politycznej otrzymał nagrodę p. René Lavolée, za głębokie badania nad położeniem klas roboczych w różnych krajach ucywilizowanych, a mianowicie w Niemczech. Dzieło to jest owocem kilkoletniej pracy, zaleca się jasnością i systematycznym rozbiorem pytań, najwyższą dziś wagi w świecie.

Pierwszy rozdział obejmuje statystyczne cyfry ludności przemysłowej całego niemieckiego państwa w r. 1875. Autor z dowodami w rękę wykazuje tam przewagę ludności rolniczej, potem przechodzi do straszliwego rozwoju socjalizmu w Niemczech, daje poznać rozmaite sekty i ogromną potęgę stowarzyszenia.

Z tą samą metodą analizy, ale na mniejszą skalę, przebiega w pracy swojej państwa skandynawskie, Niderlandy, Szwajcaryą, Włochy, Belgią, Austro-Węgry, Hiszpanią, Portugalią i Rosyą; pominął tylko w badaniach robotników amerykańskich, angielskich i francuzkich, zapewne zostawił to na później.

Książka ta, szlachetną ożywiona myślą, ma na celu uspokojenie umysłów i zagodzenie spotecznych nienawiści. Autor zarówno daleki od ślepego optymizmu jak i od rozpaczliwego pesymizmu ostrzega, lecz nikogo nie rani.

Taką samą nagrodę otrzymał Augustyn Filon za literaturę angielską, dzieło niepospolitej wartości. W kilku śmiałych rzutach szkicuje on postać każdego pisarza, potem rozpatruje krytycznie jego prace, dopełniając niemi życiorys. Te obrazy tworzą razem wspaniałą galeryą. W taki-to sposób autor odżywił wielkie postacie tych umarłych, które blaskiem swoim zapełniają panteon Westminsterski.

Przed oczyma naszemi występują kolejno Szekspir i Bakon, Milton i Dryden, Adison i Bolingbrocke, Walter-Scott i Daniel O'Connell, otoczeni orszakami poetów, filozofów, historyków, mówców i przyrodników. Żadnego tu nie brak, każdy ma właściwe sobie miejsce w tym prawdziwie królewskim panteonie, uwieńczony koroną geniuszu. Autor umiał przedstawić rzecz naukowo, a przecież uniknął pedantyzmu. Każda osobistość wybornie scharakteryzowana, sąd oparty na wysokim poczuciu estetycznym.

Zwróciła szczególną uwagę Akademii praca pedagogiczna księdza Sicard, p. t. „Wychowanie moralne i obywatelskie przed rewolucyą i podczas rewolucyi.” „Dzieło to pierwszorzędne — mówi o niem sprawozdawca — tak dla przedmiotu samego jak z powodu nagromadzonych dokumentów, ściślej metody w obmyśleniu i wielkiego umiarkowania, z jakim napisane.” Autor wziął sobie za cel pokazać wychowanie młodzieży w pierwszej połowie XVIII wieku, dać poznać czem się stało pod wpływem utopii filozoficznych i praw rewolucyjnych, wreszcie o ile wpłynął na nie nagły zwrot opinii publicznej za czasów dyrektorjatu.

Przedmiot taki, traktowany szczególnie przez duchownego, na-

stręczał co chwila powód do potrącenia o dzisiejszy stan rzeczy. Autor uniknął tego z wielkim taktem. Ci nawet, którzy nie podzielają jego doktryn, muszą uznać historyczną wartość tej znakomitej pracy.

Do najsympatyczniejszych laureatów należy Ksawery Thiriot, autor książki p. t.: „Journal d'un Solitaire” (Dziennik samotnika). Obrazem jego życia i działalności zakończył sekretarz sprawozdanie z konkursu i najmiłsze sprawił na słuchaczach wrażenie. Oto są jego słowa:

„Ksawery Thiriot jest kaleką. Nie był nim jeszcze w grudniu 1845 r., kiedy dziesięcioletni zaledwie chłopczyzna, podczas śnieżnej zamieci rzucił się do kanału i ocalał tonącą dziewczynką.

„Odtąd sparaliżowany, włócząc się z trudnością na nogach, ten syn ubogiego wieśniaka, zabrał się pilnie do nauki i takie otrzymał z niej owoce, że dziś, ubogi, ale rad z doli swojej, żyje otoczony powszechną miłością i szacunkiem.

„Mieszka on w Gerarmer, wielkiej osadzie tkackiej, na krańcach Lotaryngii francuzkiej: założył tu małą księgarnią wiejską. Wesół zawsze mimo dotkliwych cierpień, przyjmuje każdego z serdecznym uśmiechem na ustach. Życie słodko mu płynie wśród ulubionych książek, przystępnych dla ludu; powiększa też co rok ich liczbę utworami pełnymi wdzięku i prostoty.

„Ostatnie dziełko jego szczególną ma wartość, przelał w nie bowiem serce własne. Opowiada wiernie dzień po dniu tak wierszem jak i prozą samotny i pracowity swój żywot. Dzienniczek ten, pełen wzniosłych uczuć, zaleca się jeszcze formą dziwnie piękną w prostocie swojej. Akademia pod urokiem tej ślicznej opowieści składa oburącz wieniec człowiekowi podwójnie zasłużonemu, który rozpoczął życie od pięknego czynu, a kończy je, oddany pięknej i pożytecznej pracy.”

Sprawozdanie to z licznych konkursów tegorocznych wymownym jest świadectwem wytrwałej pracy francuzów i wszechstronnego rozwoju ich literatury. Ta literatura, rzecz można, toczy się podwójnym prądem: podczas, gdy jeden płynie poważnie, przynosząc bogate zdobycze na polu historycznych i filozoficznych badań, drugi z przeraźliwym hukiem pędzi w jakąś bezdenną przepaść, rozsiewając wichry i burze, oswajając ogół z widokiem zbrodni, szycząc z rzeczy najświętszych, słowem dążąc do rozprzeżenia społeczeństwa. Szalony ten prąd porwał powieściopisarzy, dramaturgów i większość dziennikarstwa, tych głównych reprezentantów literatury francuzkiej. Ztąd to słyszemy zewsząd utyskiwania na zupełny upadek. Zdaniem naszym jednak rzeczy nie tak źle stoją, jakby z pozoru sądzić można. Jest tu potężne oddziaływanie przeciw złemu; nad wszelkie dowodzenia wymowniej poświadczą same cyfry: 40-tu laureatów otrzymało z rąk Akademii francuzkiej 90,000 fr. na tegorocznym konkursie, nie wchodzą tu przecież bogate plony, zebrane na polu nauk ścisłych jak również nauk społecznych i archeologii, które uależą do innych wydziałów instytutu i osobne mają konkursa.

Uroczystość przyjęcia Franciszka Coppego przez Akademią, była prawdziwą uczą duchową dla Paryża, rozmiłowanego w swym pocie. Aby uczcić ten dzień, teatr Odeonu rozpoczął nanowo szereg przedstawień dramatu „Severo Torelli,” który utorował młodemu jeszcze autorowi wstęp do Akademii francuzkiej,

Coppée przesłiczną mową, pełną prostoty i szczerego uczucia, odpowiedział zupełnie oczekiwaniom słuchaczy. W słowach jego nie dopatrzyć owój pustej frazeologii, tak niestety częstej w akademickich oracyach; idzie śmiało do rzeczy; przytaczamy początek:

„W chwili, gdy mam zaszczyt przemawiać do Was, panowie, czuję się głęboko poruszonym, ale serce moje pełne wdzięczności, nie doświadcza bynajmniej strachu. Wokoło mnie krąży jakiś prąd sympatyczny, co mnie ogrzewa i ośmiela. Akademia, jedna z najchlubniejszych instytucji, które przetrwały na zwaliskach staréj Francji naszej, trzyma się wiernie dawnych swych przywilejów; daje wspaniałomyślnie przytułek pocie, wygnanemu niemal z dzisiejszego społeczeństwa. W domu jéj, otoczony dobroczynną jéj atmosferą, czuje on się zupełnie bezpiecznym, jakoby ów zbieg z epoki Merowingów, w mieście Tours za cichą klauzurą św. Marcina.

„Przychodzę więc do was, pełen ufności, z głębokiém przekonaniem, że będę wam służył najwierniej!”

Coppée zajmował miejsce po zmarłym Wiktorze Laprade. Z miłością i serdeczném wzruszeniem wyraża się o poprzedniku, z którym łączyło go blizkie powinowactwo duchowe. „Raz tylko — rzekł — widziałem Laprada, gdy z Lyonu odwiedził Paryż; byłem z nim zaledwie godzinę, ale słodkie i szlachetne rysy jego utkwily nazawsze w pamięci mojej. Zresztą jako poetę znałem go jeszcze za szkolnych czasów. Kiedy wydrukowano pierwsze moje zwrotki, posłałem je Lapradowi jako nieśmiały uczeń; on je odczytał z pobłażaniem, a kiedy spotkaliśmy się, przyjął mnie po ojcowsku. Niejeden dał mi od-tąd dowód dobroci swojej. Zachowuję jak drogi skarb list, w którym dziękuje mi za życziwe wspomnienie jego prac poetycznych i wyraża nadzieję, że kiedyś pochwalonym będzie przezemnie na szerszej widowni w uroczystszy sposób. To życzenie głosił nieraz wobec członków Akademii, a nawet powtórzył je na łożu śmiertelném, otoczony rodziną. Słodko mi téż pomyśleć, że głos jego zpoza grobu złączył się z głosem waszym; słodko mi, że przemawiając o nim czerpię natchnienie w dwóch uczuciach: uwielbienia i serdecznej wdzięczności.”

Z miłością Coppée przebiega młode lata Laprada, pokazując potężny wpływ domowego wychowania a następnie wpływ słonecznej Prowancyi, na wydobyte z duszy poety źródło przeczystych natchnień. Mówiliśmy o tém przed rokiem, gdy wieść o skonie poety rozbiegła się po świecie. Powtórzmy jednak z Coppem rys jeden szczególnie nas obchodzący. „Podgórze Alp—mówi on—rysujące się na błękitném niebie, odbite w błękitném morzu, budziły ta-

jemnie iskrę poezji w zagorzałym czytelniku Homera i Andrzeja Chenier, ale pokorny sercem, czuł się już dość szczęśliwy, że mógł rozumieć i wielbić poetów, a nie śmiał przypuszczać nawet, że należy sam do ich grona. Przyjaciele otworzyli mu oczy. Liczył ich wielu między lyończykami i wielu zarówno w gromadce uczniów, należących do narodowości polskiej. Jeden z nich prosił Laprada o nakreślenie kilku zwrotek w jego albumie. Stało się, wytrysnął żywy strumień. Odtąd uczeń prawa pisał wiersze, lecz pisał je tylko dla siebie i przyjaciół, nie pragnąc rozgłosu, nie marząc o pozyskaniu chwały. Później dopiero, gdy po skończeniu nauk zwiedził Sabaudyą i Szwajcaryą, kiedy przebiegał Alpy, wiecznym pokryte śniegiem i widział z ich wierzchołków orły wlatujące ku słońcu, uczył, że i on uderzyć może w skrzydła! wtedy wyśpiewał cudną „Psyche,” a po niej niezliczone ody i symfonie.

„Poeta, uwieczniony sławą—ciągnie Coppée—odbył pielgrzymkę do Paryża jakby Arab de Mekki. Nie długo tu pozostał. Wrócił niebawem do Lyonu, gdzie lżejszą oddychał piersią niśli w zgiełku paryzkim. Lubił on ten Lyon wielki, smętny, niekiedy przymgłony jak myśl jego, ów Lyon, nad którego murami piętrzy się wśród obłoków przybytek N. Panny z Fourviere, tak samo, jak myśl boża panuje nad dziełami poety!

„Duch Laprada, wiecznie zwrócony ku najwyższemu ideałom, dodaje mówca, imię Boga podzwania wiecznie w jego pieśni. jak w cichy wieczór odrzmiwia w polu dzwonek wiejskiego kościołka, zwołujący wiernych na modlitwę. Nie był to jednak mistyk, oderwany całkiem od życia, ani Muezzim, wołający wiecznie A l l a h z wierzchołka minaretu. Poeta cudnie opiewa uczucia rodzinne, rzewne zwrotki poświęca ojcu, drogiej matce i własnym dziatkom. I któżby śmiał, dodaje wkońcu Coppée, zarzucić poecie, że tajemnicę uczuć osobistych zachował sam dla siebie, lub je pokrywał zasłoną alegoryi? Zapewne, że wielu poetów dzisiejszych nie miało tój wstrzeźmiewczości; ja sam nie czuję się wolnym od zarzutu i dla tego—to właśnie uwielbiam milczenie Laprada, wywołane delikatnym uczuciem nieskażonej czystości.”

Coppée idzie wślad za Lapradem; z poetycznej niwy jego zbiera najpiękniejsze kwiaty, wije z nich różnobarwny wieniec, powtarza patryotyczne zwrotki, wyśpiewane w dniach klęsk i upokorzenia Francji, przytacza z „Księgi ojca“ słowa do synów, wskazujące im nowe tory:

Czas wam naprzód iść przebojem,  
Dziś już lira sero nie wzrusza,  
Precz z kłamliwych marzeń rojom,  
Wiary żywój łaknie dusza!  
Ona wyrwie kraj z topieli,  
Gdy pioruny biją z nieba,  
Dość już było marzycieli,  
Bądźcie ludźmi!.. ludzi trzeba!..

Coppée nie mówi kto z ziomek naszych był pierwszym inicytorem francuzkiego poety. Mamy na myśli dwóch: Konstantego Gaszyńskiego i Zygmunta Krasińskiego. — Gaszyński około tych czasów przebywał w Lyonie: ścisła przyjaźń łączyła go z Lapradem — wspomina go w niejednej pieśni. W tychże samych czasach przyszły autor „Irydyona” kształcił się w Genewie pod opieką uczonego Bonnestettera. Nie wielka przestrzeń dzieli Genewę od Lyonu. Tam on mógł poznać się z Lapradem, z którym łączyło go tyle węzłów: jedność wieku, wspólność uczuć religijnych, wreszcie jednaki pęd do mistycyzmu i psychicznych zaciekań. Wiemy zresztą, jak w wiele lat później Laprade oceniał poezye Zygmunta, które znane mu tylko były z dorywczych przekładów prozą. Jeden z tych utworów „Resurrecturis,” przetłómaczył dziwnie harmonijnym wierszem francuzkim.

Radziibyśmy przytoczyć całą mowę Coppego, tyle w niej prawdziwych piękności, tyle myśli podniosłych, wyrażonych z prostotą. W końcu wymienia imiona trzech genialnych poetów, którzy wycisnęli pieczęć na literaturze francuskiej XIX wieku: imiona Wiktora Hugo, Lamartina i Alfreda Musseta i składa dzięki Akademii, że wobec tych olbrzymów, nie przepomina innych, którzy sprostać im nie zdołali.

„Olśnieni, rzecze, blaskiem zachodzącego słońca, zwracacie oczy w przyszłość ku wschodowi, ogarniając smętnym wzrokiem drobne gwiazdki drgające jeszcze na poetyckim widnokręgu. Pobłażliwi w wyborach, ale wierni przeszłości, pełni poszanowania dla dawniej chwały waszej, powołujecie tylko do siebie poetów dobrej wiary i dobrej woli, którzy w poezyi szukają najszlachetniejszego wyrazu myśli i usiłują oddać w niej rzewną, wspaniałą i bohaterską stronę uczuć ludzkich.“

Po gorących słowach Coppego, mowa dyrektora Akademii, pana Cherbuliez, wytworna stylem, ale nastrożona paradoksami, najeżona mnóstwem śpileczek, dziwnie jakoś oziębiła słuchaczy. Cherbuliez sypie wieńce Lapradowi i Coppemu, ale w każdym kwiatku ukryta osa razi dotkliwie żądłem. Po każdej pochwalie przytacza dla antytezy zdania cudze zaprawne sarkazmem; nie zbija tych zarzutów, przeciwnie daje uczuć, że je podziela, że posypane przezeń kadzidło było prosto ustępstwem dla zwyczajów akademickich. Zobaczmy oto co mówi o Lapradzie.

„Zarzucano jego muzie zbyt wysokie poloty; mówiono że grzeszy zbytkiem spirytualizmu. Krytyk jeden przygania mu, że strona zmysłowa wygnana z jego pieśni, że w nich niedopatrzyć śladu kobiety, słowem, że zamało w nim tego, czego w Mussecie znajdujemy zbyt wiele. Inny krytyk radzi mu, aby przyjął ludzi, jakimi są i naśladował tych morskich podróżników, którzy dla ocalenia ładunku swego rzucają dzikim tubylcom błyszczące paciorki i świecidła. Sam Laprade określił człowieka, zowiąc go półbogiem i półbydłciem, i śpiewał wyłącznie dla półbogów. Nie często bywamy półbogami, ale też

nie bywamy zawsze półbydłem. Zazwyczaj jesteśmy wielkimi dziećmi, lubimy ważne sprawy przeplatać wesołą zabawą, aby nam poezya smakowała, musi stosować się do naszych słabostek i być głęboko ludzką.“

To samo zdanie wypowiedział i nasz Jan z Czarnolasu:

Ja wam powiem, że się tém świat słodzi,  
Gdy koleją statek i żart chodzi.

Ale Kochanowski zastosował to do rodzaju krotochwilnej poezyi, zwanéj przez siebie fraszką. W „Odprawie posłów greckich,“ w „Proporcju,“ w „Trenach,“ rozstaczał on skrzydła do wysokich polotów i porywał za sobą naród. Mickiewicz, wołając na młodych druhów: „Mierz siły na zamiary!“ nie rzuca im w oczy bawidełek niby dorosłym dzieciom; ale piorunem słowa wydobywa z nich męzką siłę i przemawia do nich jakoby do półbogów!

Coppée w pięknej mowie swojej pokazał wyłącznie działalność Laprada na niwie poezyi. Rozumiemy to: orłom przystało ścigać orłów w polotach. Zresztą ramy akademickiej mowy, zmuszały go do zamknięcia się w jaknajściślejszym obrębie. Obowiązkiem p. Cherbuliez było ocenić w Lapradzie krytyka i filozofa, autora tak ważnych dzieł jak: „Zagadnienia sztuki i moralności,“ lub studia nad poczućciem przyrody u starożytnych ludów; pominął jednak te znakomite prace, których doniosłości nie był w stanie zrozumieć.

Względem Coppe'go, dyrektor Akademii zarówno okazał się niesprawiedliwym. Z utworów jego podnosi z umysłu najszabsze, takie, którychby może sam poeta, wyniesiony do godności akademickiej, chętnie się dzisiaj wyrzekł. Szczególne pochwały sypie owym obrazkom z życia gawiedzi paryskiej, zaprawne nieraz solą wcale nie attyczką. Stawia go sarkastycznie w obec poprzednika: Laprade, rzecz, śpiewał cudne kantyki; pan nie masz do nich skłonności, nie czynisz sobie gwałtu. On kreślił obrazki satyryczne, technące zapałem, pogardą i nienawiścią. Pan nie czujesz dla nikogo nienawiści, dla tego to nie masz nieprzyjaciela! Niektórzy twierdzą, że ci tego brakuje, gdyż nieprzyjaciel, jakkolwiek wstrętny dla nas, bywa często dobrym doradcą. Ale pocóż mam życzyć tego, czego sam bynajmniej nie pragniesz? Zato utworzyłeś pan rzeczy, których Laprade nie byłby dokonał. Pisałeś powiastki prozą pełne kolorytu, efektów, pieprzyku i różnych przyprawek. On nie pracował nigdy dla teatru; pan zdyalogował marzenia swoje w tym przechodniu, który zjednał ci pierwszy poklask a wielkim dramatem „Severo Torelli,“ poruszyłeś niedawno Paryż. Lecz przemilczę o tych utworach, nie wątpię bowiem, że wyżej stawiasz nad nie owe rodzajowe poemaciki z życia paryskiego i tym przypisujesz wstęp twój do Akademii.

„Laprade, ciągnie mówca, urodził się w górach Forezu, myśl jego błądziła wечно po lasach; pan jesteś paryżaninem, synem i wnukiem paryżan. W dziecińczych latach nie wybiegłeś nigdy za obręb



fortyfikacy; nie czerpałeś natchnienia w potokach, tryskających z głębi skał granitowych. Nie marzyłeś nigdy o dalekich wyprawach: wszak miałeś pod ręką Muzeum marynarki! Zresztą Paryż wystarczał ci zupełnie; opiewałeś go jak kochanek a co cię tu głównie pociągało? Nie wspaniałe bulwary, nie pałace błyszczące złotem! raczej jakaś karczemka za okopami, gdzie lud gromadzi się w dzień świąteczny, gdzie świszczą huśtawki, zgrzytają karuzele, tam muza twoja zbierała żywe wzory.

Cała mowa p. Cherbuliez dostrojona do tego sarkastycznego tonu. „Biada z temi literatami, dodaje wreszcie, nic ich zadowolić nie może. Oto przed chwilą wyrzuciłeś pan z serca skargę najniesprawiedliwszą. Powiedziałeś, iż poeta wygnańcem jest w dzisiejszém społeczeństwie i porównałeś się do banity z epoki Merowingów. Słowa te nie szczere, mój panie, sam nie wierzysz temu, coś wyrzekł. Wiesz dobrze ilu w społeczeństwie dzisiejszém liczysz wielbicieli, a nade wszystko wielbicielek. I ja też wiem coś o tém z własnego doświadczenia. Niedawno oto, spotkałem w świecie jedną z tych pań, dla których jesteś wyrocznią. Rozdrażniony jęj przesadzonym entuzjazmem, dochodzącym do bałwochwalstwa, popchnięty duchem przeciwieństwa a może i zazdrością, ulegając pokusie szatańskiej, dowodziłem jęj, że w pracach pańskich nie wszystko równą ma wartość, że jak każdy z nas, masz także swoje ujemne strony, że wpadasz częstokroć w manieryzm, że zbyt często gonisz za efektem, słowem, że nie stoisz zawsze na jednej wysokości. Spojrzała na mnie piorunującym wzrokiem! dziwię się doprawdy, że nie skonał pod gromem jęj spojrzenia!“

Przytoczyliśmy cały ten ustęp na dowód, jak niektórzy akademicy ubliżają powadze wielkiej instytucji, której są przedstawicielami. Szczęściem, że inni lepiej umieją uszanować godność akademicką niż autor, w „Władysławie Bolskim“ sponiewierał najpiękniejsze ideały nasze, odzierając matkę polkę z aureoli, jaka ją niegdyś otaczała!

Córka Guizota, pani de Witt, w głębokiej miłości ku ojcu, czerpie niezmordowaną siłę do bezustannęj pracy. W ciągu lat dziesięciu, od chwili osierocenia swego, z notat pozostałych po zmarłym, wydała mnóstwo dzieł wysokiej wartości historycznej. Nasamprzód ogłosiła drukiem ostatni tom dziejów Francji, opowiadanej wnukom, którego Guizot nie miał czasu wykończyć. W rok potém, w wielkim ilustrowanym tomie wydała „Historję Anglii;“ późnięj zajęła się przekładem i spopularyzowaniem starych kronikarzy francuskich, zacząwszy od Grzegorza z Tours, Sugera i Froissarta. Pojawiła się teraz właśnie ozdobnie wydana trzecia serya tęg ważnęg publikacyi, dociągnięta do wieku XVI.

Obok tęg wielkięj pracy, pani de Witt wykonała w tym roku inną, droższą jeszcze jęj sercu. Zebrała obszerną korespondencyą ojca i ogłosiła ją w dwóch tomach pod tytułem: „Zbiór listów Guizota do rodziny i przyjaciół.“ W tęg korespondencyi, dorywczó kreślonej, po-

stać męża stanu, zimnego doktrynera, w nowém zupełnie ukazuje się światło. Widzimy ile pod tym zewnętrznym lodem ukrywało się głębokich uczuć. To też wydane listy rozbroiły najzaciętszych przeciwników Guizota. Można nie podzielać jego widoków politycznych, potępiać jego doktrynę, ale bądź co bądź musimy uznać w nim człowieka z sercem, szanującego związki rodzinne, rozmiłowanego w domowém swém ognisku.

Trudnaż to do rozwiązania zagadka: kiedy z dzieł Guizota powiewa mroźny chłód, odbierający im jeśli nie wartość naukową, to przynajmniej żywotną i pociągającą stronę, listy jego przeciwnie, tchną ciepłem i poruszają nas do głębi. Potwierdza on w nich to, co utrzymywał wielokrotnie, że wszelkie uczucia ludzkie, tak słodkie jak gwałtowne, tak dobre jak złe, znajdują w życiu wyraz doskonalszy, formę zupełniejszą, niżli w utworach wyobraźni. „Im żyję dłużej, pisze w jednym z listów, tém silnieć utwierdzam się w przekonaniu, że w obrazach tak scen zewnętrznego świata jak i wewnętrznego stanu duszy, wyobrażenia ludzka nie sprostą nigdy rzeczywistości. Stokroć silnieć gra namiętność w sercu żywo poruszoném, niż w najgenialniejszej powieści; stokroć jest więcej wypadków i scen w zdarzeniu rzeczywistém niż Dumas i Hugo wycisną ich w swoim melodramacie. Literatura słabém jest odbiciem życia, a szczęście lub nieszczęście, jakie Bóg tworzy, przechodzi nieskończenie to wszystko, co człowiek zdoła odmalować!“

Pani de Witt daje listy chronologicznym porządkiem, dopełniając je własnymi uwagami. W pierwszych listach, pisanych do matki, młody Guizot kreśli plan przyszłego życia swego. „Bóg i religia Chrystusa, mówi on, oto przewodniki moralności mojej, oto centrum, do którego myśl każdą odnosić pragnę. Uważać będę za niebezpieczeństwo, wszystko coby mogło oderwać mnie od niej, za błądostkę, coby mnie do niej nie prowadziło. Mam silną podporę do utrzymania zasad moich: tą podporą jest upór. Mogę się omylić, ale ilekroć będę miał prawdę za sobą, świat cały nie złamię méj woli.“

Przy takich zasadach Guizot nie wpadł w zwyczajne młodości obłądki. W młodych latach ukochał on i poślubił kobietę wyższą, słynną autorkę, Paulinę de Meaulau. Listy pisane do niej pełne gorącego uczucia. Z zachwytem mówi o świeżo wydaném jéj dziele, cieszy się promieniami jéj sławy. Przedwczesny skon światłéj towarzyski okrył go na długo żałobą: wypowiada boleść swą w listach do przyjaciół. Czas uleczył jednak zranione jego serce: pojął drugą małżonkę, tém goręcej ukochaną, że liczna dziatwa uświęciła ów związek. Jakaż to była jego boleść, kiedy po kilkunastu latach najszcześliwszego pożycia zapłakał nad grobem téj żony, téj matki osieroconych dzieci. W liście do Bersota wylewa żal, niemniej spokojny jak głęboki.

„Nie lękaj się o mnie, pisze on, nie tracę odwagi do życia, ale czuję się całkiem inny niż byłem. Jestem dziś jak człowiek bez domu, zmuszony żyć na ulicy. Jam oderwany od siebie samego, bez

własnej osobistości, należą wyłącznie do prac moich. Nie mam w nich dotąd upodobania, ale to przyjdzie z czasem, sprawy zewnętrzne nie straciły dla mnie swęj wagi. Wypadki, idee, czynny udział w ruchu powszechnym, wszystko to zajmuje mnie jak dawniej, ale wewnętrzna nić życia zerwana bezpowrotnie. Ty wiesz, co to jest dla uczciwego robotnika, kiedy po skończonym dniu powraca do żony, do dzieci, do izdebki swojej, do ogniska, kiedy w tęj ciepłej atmosferze odetchnąć może pełną piersią, nie myśląc już o niczém tylko o własném szczęściu. Nie zakończę już dnia mego w taki sposób; nie powrócę do siebie, nie znajduję oddźwięku w duszy złączonej ściśle z moją. Żyć będę zawsze na zewnątrz, zawsze w pracy!“

W innym późniejszym liście, ten zimny napozór człowiek, pokazuje się w charakterze głębokiego idealisty. Przytaczamy ten list, jako ciekawe studjum psychologiczne.

„Przez dzień cały zajmują mnie sprawy bieżące, dla siebie mam tylko wieczory. Wchodzę do pokoju mego około dziewiątej, zamykam się szczelnie i wówczas dopiero lżej oddycham. Potrzebuję zupełnej samotności, aby uczuć się przy niej. Kiedy jestem sam, kiedy siądę w krzesło naprzeciw jęj portretu i listy jęj położę na stole, wtedy, jakkolwiek jęj tu nie ma, ja przynajmniej całkiem do nięj należę i posiadam wszystko, co mi po nięj zostało i otwieram jęj całą myśl moję, całą duszę, jak to czyniłem co wieczór, kiedy po dziennych trudach schodziliśmy się oboje. Bolesna to, rozdzierająca serce pociecha, odzwiercać w ten sposób przez parę godzin minione szczęście moje i myśleć samemu, cobym jęj był powiedział i mówić do siebie, co byłbym wyrzekł do nięj! a przecież to jedyna chwila, która mi nie ciąży, jedyna, która nie jest kłamstwem i przymusem.

„Otwieram niekiedy książkę czytwaną niegdys pospołu, między innemi ulubionego jęj Petrarke; podkreślam, przepisuję ustępy niegdys jęj najmilsze, zwłaszcza te, w których znajduję wyraz mych własných uczuć. Pojutrze będę miał jęj popiersie; Fogatier pracował nad niem w przeszłym tygodniu parę godzin pod mojem okiem. Lepsze to niż się spodziewałem; pragnę niekiedy obudzić w sobie jakieś upodobanie, jakąś fantazyą. Zbieram ryciny; Thiers ofiarował mi jeden z najpiękniejszych obrazów z tegorocznej wystawy „Ostatnie spotkanie Karola I z dziećmi,“ pędzla pani Rude. Zamówiłem inne jeszcze płótna, zapełnię niemi ściany mego domu: nasz salon, nasz gabinet. Zabiegi o to powiększają żalność moję na myśl, ileby ona czuła radości, widząc tak ozdobione gniazdko nasze!...

Lubiłbym niekiedy wychodzić sam oderwany od wszystkiego, wyjąwszy od drogich myśli moich. W pierwszej chwili miłym był dla mnie ten spoczynek, ale spostrzegłem wkrótce, że mógł pociągnąć bardzo złe następstwa, gdybym w nim zasmakował. Zagrzebałem się zatem w pracy. Surowy dla siebie strzegę się próżnowania. Rzeczywiście nic nie zyskuje na tém. Kiedy przez dzień cały ciągnę pług jak wół, wieczorem czuję zarówno w sercu nieuleczoną chorobę, ale

przynajmniej dzień mój przydał się na coś drugiem i to mnie ukrzepia. Słowem czynię wszystko, jakby ona radziła mi czynić... co chwila widzę ją, mówię do niej, ona mi odpowiada, patrzy w głąb duszy mojej. I ta jedność wzmacnia się z każdym dniem, codzień lepiej odczuwam jój wrażenia, jój myśli, codzień harmonia między nami zupełniejsza.“

Tę głęboką miłość do żony, tę niewygasłą pamięć o niej zachował Guizot do ostatniej chwili życia. Równą miłością otoczył dzieci własne. Listy pisane do nich lub o nich pełne ojcowskiej troskliwości i serdecznego uczucia. Sprawy publiczne nigdy nie oderwały go od rodziny. Przywiązany całym sercem do dzieci dopóki były małe, stawał się dzieckiem przy nich, przemawiał ich językiem, uczył je i oświecał. Nieraz zszedłszy za ledwie z trybuny; gdzie podejmował najważniejsze zagadnienia, biegł do dziatwy, bawił je wesołą opowieścią.

Listy wydane świeżo przypominają nam z wielu względów słynne listy pani de Sevigné, ale Guizot szczęśliwszy od wielkiej pisarki XVII-go wieku, zamiast chłodu i niewdzięczności w samolubnej pani de Grignan, znalazł w córce swojej pani de Witt głęboką cześć i gorącą miłość równą tej, jaka ożywiła ojcowskie jego serce.

---

Do najpiękniejszych publikacji noworocznych należy wydany u Plon'a „Żywot św. Franciszka z Asyżu.“ Jeden z wielkich pisarzy tego wieku, Fryderyk Ozanam, z katedry kolegium francuzkiego nazywał św. Franciszka prawdziwym ojcem sztuki, pokazując niezliczone cuda pędzla i dłuta, jakimi artyści różnych czasów ozdobili poświęcone mu przybytki we Włoszech, a szczególnie w Asyżu i Florencji. Głos Ozanama nie przebrzmiał napróżno. Pierwsi rysownicy francuzcy uczcili w tym roku ojca sztuki najwspanialszym pomnikiem. Wykonali do publikacji Plon'a dwieście pięćdziesiąt rycin. Tak ozdobiona księga stała się bogatą galerią artystyczną. Ryciny te odtwarzają wiernie i żywo najznakomitsze utwory mistrzów z XV-go i XVI-go wieku. Widzimy tu cudne freski Giotta i Fra Angelico, których geniusz pchany wiarą i miłością podniósł się do pojęcia najwyższych ideałów i oddania ich w całym blasku świętości i prostoty. Znajdujemy tu również piękne utwory della Robia, Murylla i innych wielkich artystów różnych epok i różnych narodowości. Dzieła te umieszczone chronologicznym porządkiem, pokazują nam rozwój sztuki religijnej, począwszy od pierwszego jój przedświtu aż do chwili obecnej.

Artyści wykonali dziś na polu sztuki to samo, co Ozanam przed ćwierć wiekiem wykonał w dziedzinie poezyi. W życiu i słowach św. Franciszka, w pasmie legend, które niby kwitnące powoje przyrosły do murów Asyżu. pokazuje on pierwsze ziarno rzucone na żywą rolę,

rozradzające się coraz bujniej aż pod genialnym tchnieniem Dantego, wydało plon nieśmiertelny: „Boską Komedją“<sup>1)</sup>.

Wiemy już jak chrześcijańscy historycy zrozumieli wielką postać św. Franciszka, zobaczymy teraz jak patrzy na nią najsceptyczniejszy z pisarzy, zajmujących się sprawami kościoła. „W czasach drobiazgowych cnót, jakimi są nasze. mówi Ernest Renan, w czasach sceptycyzmu, kiedy ludzie bez wielkości moralnej kuszą się o wykonanie wielkich rzeczy, życie i czyny św. Franciszka muszą uderzyć w oczy nawet ślepych. Czemu? bo od czasów Jezusa Chrystusa Franciszek sam jeden był prawdziwym chrześcianinem (?), bo po chrześcijaństwie ruch franciszkański był dziełem najpopularniejszym, jakie zapisała historia.“

Wspomnieliśmy mimochodem Boską Komedją. Dodajmy tu, że w tym roku właśnie ukazały się trzy przepyszne tomy z ilustracjami Sturlera. Zmarły ten artysta był przez całe życie zapalonym miłośnikiem Dantego. Idąc za radą mistrza swego Ingesa w młodych latach pospieszył do Rzymu w celu studyowania Rafaela. Zatrzymał się we Florencyi i tam pozostał lat dwadzieścia pięć. Tam postanowił odtworzyć w rysunkach arcydzieło florenckiego poety. W tym celu badał pilnie dawnych malarzy włoskich, szczególnie Giotta i jego szkołę. Przejął się niemi tak głęboko, że począł patrzeć na Dantego oczyma artystów XV-go wieku i dostroił obrazy swoje do archaicznego tonu panującego w poemacie.

Sturler powrócił do Paryża w roku 1857. Tu odgrodził się całkiem od świata, pod troskliwą opieką żony, w szczupłym kółku przyjaciół, ożywiony jedyną myślą prowadził dalej swoje dzieło. Włos pobielał mu, barki pochyliły się ku ziemi, a starzec ciągnął z miłością pracę rozpoczętą w pierwszej młodości. Nim zamknął oczy doprowadził ją szczęśliwie do końca. Łatwo pojąć, że rysunki jego przechodzą wiernością wszystko, co inni kiedykolwiek wykonali. Ilustracya Gustawa Dorego piękna zapewne, pełna werwy, ale wykonana pod wpływem dzisiejszych czasów. Niemniej też piękna ilustracya niemieckiego rytownika Flasmanna, lecz ta nosi cechę klasycznej sztuki greckiej; w pracy Sturlera tymczasem odżyła dusza florenckiego poety.

Pyszne to dzieło, praca życia całego, prawdziwym jest klejnotem wśród tegorocznych ilustrowanych publikacyi.

Pod tytułem „Le littoral de la France“ wyszedł z druku wielki tom ozdobnie ilustrowany, przedstawiający północno-zachodnie wybrzeża Francyi, to jest Bretanią północną. Z dawnych prowincyi francuzkich żadna nie zachowała tak odrębnego charakteru, nigdzie

<sup>1)</sup> Całoroczny kurs Ozanama p. t. „Les poètes Franciscains,“ streszczony przez nas, drukowany był w Bibliotece Warszawskiej w r. 1856.

nie spotykamy tyle archeologicznych zabytków z epoki Celtyckiej, jak na tych wybrzeżach najeżonych skałami. Wszystko tu nosi piętno starożytności, zaczawszy od owych menhirów, sterczących szeregiem, w których jedni widzą grobowce, inni zaś ołtarze poświęcone niegdyś galiskim bogom.

Ważnym niemniej zabytkiem przeszłości jest tu język ludu, odmienny całkiem od francuzkiego, szczątek języka starych galów, używanego niegdyś na całej przestrzeni od Pirenejów po Alpy i łożysko Renu, przed najazdem rzymian na Galię. Bretania sama dzięki niedostępnym lasom uszła przed zwyciężkim mieczem Cezara. Tu Druidowie znaleźli ostatnią ostoję, tu pod strzechą wieśniaczą przechowały się tradycyjne obyczaje, a z nimi odwieczne pieśni i podania ludu. Lud to głęboko religijny, gorąco przywiązany do swych ognisk. Jak niegdyś z zaciętością trzymał się wiary pogańskich ojców, tak dziś stoi niezłomny przy krzyżu, gotów krew wytoczyć za wiarę. Nic też dziwnego, że lud tak przywiązany do tradycji domowych, w postaci nawet zachował jakąś odrębną cechę. Etnografowie upatrują w bretonach wielkie podobieństwo do litwinów, objawiające się zarówno w charakterze wytrwałym aż do uporu, jak w zewnętrznej postawie i w odzieży. Autor dzieła p. Aubert obszerny ustęp poświęca temu ludowi; opisuje szczegółowo jego zwyczaje, obrzędy i życie rodzinne. Tom wydany świeżo obejmuje tylko wschodnią część wybrzeży bretońskich od strony Normandyi do miasta Quimperle, zachodnią część aż do Nantes obejmie tom następny.

W zachowaniu tradycji starogalskich nie ustępują bretonom górale auwerniaccy. Ktokolwiek był w Paryżu, spotkał nieraz na ulicy tych barczystych robotników, w ciemno-błękitnej bluzie, w ogromnym kapeluszu z szerokim brzegiem. To potomkowie owych zaciętych auwernów, z których łona wyszedł dzielny zapaśnik Cezara, Wercyngetoryx.

W tych dniach właśnie, rozmówany w gnieździe swoim, zażożny auwerniak, p. Fabre, ofiarował do muzeum etnograficznego w pałacu Trocadero liczne okazy rozmaitych narzędzi i sprzętów do codziennego użycia. Te przedmioty, wykonane ręką dzisiejszego ludu, ale nacechowane oryginalną pieczęcią, przypominają zupełnie wyroby z czasów staro-galskich, odkryte po grobowcach.

Wystawione okazy po większej części wyrobione są z twardego drzewa, w które obfitują leśne góry Auwernii. Widzimy tu okute skrzynki, wrzeciona, motowidła, ramki do tkania koronek, nadzwyczaj ozdobnie rzeźbione. Pamiętajmy, że Auwernia wydała prawdziwych mistrzów dłuta, jak ów Piotr Vanneau, który po odsieczy wiedeńskiej wykonał z drzewa pyszną apoteozę Jana Sobieskiego. Wspomniała ta grupa, złożona z kilkunastu części, rozrzuconych dziś po muzeach, jest przedmiotem podziwu dla miłośników sztuki.

Wśród kolekcji, opracowanej przez p. Fabre, ściągają uwagę

małe krosienka do wyrabiania tasiemek. Takich samych używają z jednej strony afrykańscy arabowie, z drugiej znów bliżczy biegunu mieszkańcy Laponii: rzeźby tylko na nich odmienny przedstawiają charakter. Archeologowie podziwiają szczególnie stęple rzeźbione do cechowania masła. Wzory na nich te same, jakie znaleziono na skórzanych pasach starych gallów. Podobne cechy używane też i w Bretanii: ich rzeźby odpowiadają zupełnie wzorom, wyżłobionym dwa tysiące lat temu na celtyckich mehirach.

Wśród okazów auwerniackich znaleźliśmy jeszcze opaski metalowe, któremi kobiety obciskają czepiec, aby im nie spadł z głowy podczas roboty w polu. Takie same opaski służyły niegdyś niewiastom Auwernii w czasach, gdy rzymianie podbili Galię; świadczą o tém rozkopane grobowce.

Kiedy z jednej strony międzynarodowe kongresy literackie potwarzają się co rok po stolicach europejskich od Lizbony do Brukselli w celu zabezpieczenia praw własności literackiej, z drugiej znów strony nigdy może nie popełniano tylu krzyczących gwałtów, jak dziś przy wielkim rozwoju piśmiennictwa, a ztąd przy konieczności zapełniania codziennych kilku tysięcy kolumn dziennikarskich. Niemcy dają w tém przykład. W tych właśnie czasach dr. Ludwig Meyer przetłumaczył dzieło Gastoua Boissier, profesora literatury rzymskiej w kolegium fruncuzkiem, p. t.: „Villa Hadryana.“ Nie żądał na to żadnego upoważnienia, co więcej, puścił w świat przełożone dzieło jakby pracą własną, nadał tylko oryginalny tytuł: „Tibur, eine römische Studie.“ Na domiar cynizmu napisał na pierwszej stronie: „Prawo tłumaczenia zastrzeżone.“ Profesor Boissier nie zaśpi naturalnie tej sprawy, ale proces nie rozpoczął jeszcze.

„Przegląd geograficzny“ ogłosił seryą listów uczonego hiszpana, Petrusa Martyra, przyjaciela Krysztofa Kolumba. Ów Martyr utrzymywał stosunki z pierwszymi znakomitościami swego czasu. Najciekawsze jego listy są te, w których oznajmia korespondentom swoim odkrycie Ameryki. Pierwszy z nich, pisany pod datą 14 maja r. 1493:

„Kilka dni temu — pisze hiszpan — przybył tu z Antypodów niejaki Krysztof Kolumb, genueńczyk, który z wielką trudnością otrzymał od króla swego i królowej trzy okręta, potrzebne mu do przedsięwzięcia tej wyprawy. Uważano w rzeczy samej ów zamiar za jakąś chimeryczną mrzonkę. Teraz jednak powrócił, statki jego naładowane mnóstwem kosztownych towarów, a szczególnież złotem, którego moc wielką wydobył z ziemi w owych dalekich stronach świata. Oczywiście to dowód odbytej podróży, ale przejdźmy do innego przedmiotu...“

Słowa te „przejdźmy do innego przedmiotu,“ po krótkiej wzmiance, dotyczącej odkrycia Ameryki, wyraźnym są dowodem, że

wielki ten wypadek małe zrazu sprawił na umysłach wrażenie. W listach jednak następnych Martyr zaczyna patrzeć na rzecz z innego stanowiska. Odkrycie Kolumba zowie nadzwyczajnym (extraordinaire), potem zadziwiającym, następnie cudownym, aż nakoniec 1 listopada r. 1493, nazywa drogim przyjacielem Krysztofa, słynnego wynalazcę Nowej półkuli ziemskiej.

---

Wkrótce wyjść ma z druku nowe dzieło doktora Schliemana, obejmujące sprawozdanie z wykopalisk dokonanych w Tirynsie. Dzieło to równocześnie ogłoszone będzie w Niemczech, w Anglii, w Ameryce i we Francji. Po ukończeniu téj pracy dr. Schlieman uda się na wyspę Kretę, gdzie wróży sobie wielkie zdobycze w dziedzinie archeologii.

---

Jerzy Ebbers, znany egiptolog niemiecki, powraca znów do powieści archeologicznych, które znalazły tak wielkie powodzenie, a które porzucił chwilowo dla malowania bliższych czasów. Nowa jego powieść p. t.: „Serapis,“ odbywa się w Aleksandryi podczas ostatecznej walki pogaństwa z Chrześcijaństwem.

---

Rząd otomański zakłada akademię, obowiązana czuwać nad językiem tureckim. To ciało naukowe ma przedewszystkiem zreformować ortografię dla użytku zakładów naukowych. Akademyści już w wielkiej części zamianowani.

---

Panna Dosne, siostra i spadkobierczyni po milionowej żonie Thiersa, ma zamiar ufundować w Auteuil wielki dom dla literatów, artystów i uczonych. Do tego zakładu przyjmowani będą wyłącznie ludzie młodzi, aby w początkach zawodu swego nie potrzebowali używać sił w walce o chleb powszedni.

---



## KRONIKA LONDYŃSKA.

Z życia społecznego, z literatury, sztuki i nauki.

PRZEZ

*Edmunda S. Naganowskiego.*

Zima. — Taniać artykułów spożywczych. — Zgoda stronnictw parlamentarnych. — Projekt ustawy nowego rozkładu mandatów poselskich. — Hrabia Roseberry, reformator Izby lordów. — Widnokrąg polityki zagranicznej. — Bil tunelu podkaletańskiego. — Zaręczyny królowy Beatryczy. — Osady przemysłowe lorda Shaftesbury! — „Delenda Bohemia.“ — Miss Maude Ashurst Biggs i jej przekłady arcydzieł polskich: Pan Tadeusz i Grażyna. — Ostatni dramat lorda Tennysona: „Becket.“ — „Apollo i Marasyas“ p. Hamilton Lee. — Dante w przekładzie greckim Muzurusa baszy. — Wydawnictwa gwiazdkowe. — „Lorna Doone“ p. Blackmore. — „Fast and Loose“ p. Griffiths. — „Cyclamen“ pani Randolph. — Artykuły prof. Morfilla w nowej Encyklopedyi Brytańskiej. — Artykuł d-ra Belcikowskiego w londyńskim Atheneum. — „Człowiek a Państwo“ Herberta Spencera. — Proponowany uniwersytet londyński. — Z teatrów.

Zimę mamy wyjątkowo surową tego roku. Rozpoczęła się rychło, w początku listopada, ściegła jeziora parków grubym lodem, zmroziła grudniowe uragany, które są prawdziwą kłeską kompanii okrętowych, a ciężką grozą marynarzy. Śniegu nam przecież zima dotąd nie sprowadziła: w stolicy ani płatka; na prowincyi tyle tylko, byśmy nie zapomnieli jak wygląda i pokazywali dzieciom. Zieleń świąteczna, którą tu ozdabiamy domy i kościoły, potwierdza przepowiednie o dłuższej i ciężkiej zimie. Zapasy jemioły, sprowadzanej na święta całemi statkami z Bretanii i pełnemi pociągami z hrabstw południowo-zachodnich, były ogromne: nie każdego roku może sobie

uboga rodzina zawiesić symboliczny krąg w pośrodku pokoju; tego roku, jak gdyby z przepowiednią spokoju i zgody, bodaj gdzie nie było przyjacielskich uścisków i różnoznaczącej wymiany całusów... under the mistletoe! Z jemiółą wiążą anglicy głóg, a i w nim zapowiedziała się zima wyraźnie i nikt się skarżyć nie mógł, że jagód czerwonych nie stało na urozmaicenie jednostajnej zieleni bluszczu, jemióły i głogu gałązek. A mimo surowości zimy, winszują sobie wszyscy taniości najniezbędniejszych artykułów spożywczych! Chleb staniał o pół pensa na funcie, mięso o półtora. Ameryka bruździ rolnikom i hodowcom bydła brytańskim; błogosławia ją miasta fabryczne.

Izby parlamentarne, rozjechawszy się w zgodzie przed świętami, w zgodzie się niebawem zabiorą do prac tegorocznych. Łaskawy czytelnik zechce sobie przypomnieć zeszłoroczną kwestyą sporną między Izłą gmin i Izłą parów, projektowaną ustawę nadania praw wyborczych świeżym dwóm milionom ludności królestwa—i groźby, jakich nie szczędziła większość ministeryalna w Izbie niższej większości zachowawczej w Izbie wyższej. Jak niegdyś prezesowi republiki francuzkiej—Gambetta, tak tą razą Izbie historycznej powtarzał Gladstone: Albo się poddajcie—lub gińcie! Tymczasem stałość lordów z jednej strony, wsparta bezwątpienia konstytucyjnym zmysłem konserwatywnym narodu w ogóle; z drugiej strony obawa pogrążania kraju w wir i zamieszkę stronnicych nieporozumień w chwili, gdy powaga całego narodu i tak już szwankowała na międzynarodowym targowisku Europy... sprawiły, że naczelnicy obu obozów podali sobie ręce, ustąpili każdy po trochu i zażegnali burzę. Bil reformy przeszedł, lecz pod warunkiem, że ustawa stanie się obowiązującą dopiero po przeprowadzeniu koniecznie jój potrzebnej ustawy o nowym rozkładzie poselskich mandatów t. j. od r. 1886. Odpowiedni bil tejże ustawy został już złożony na stole Izby niższej i otrzymał w zasadzie sankcyą opozycyi. Charakteryzują go przedewszystkiem sprawiedliwość i prostota: przedstawiony przez ministra ultra-liberalnego nie uwłacza bynajmniej reprezentacyjnym interesom partyi konserwatywnej; obydwie partye są w nim traktowane neutralnie; okręgi na wskroś liberalne równą mają wysłać liczbę posłów, jak okręgi na wskroś konserwatywne. Z konserwatywną nawet prostotą i ufnością... bil proponowanej ustawy podziela całe królestwo na bezwzględnie nowe okręgi i daje im po jednym, a najwyżej po dwóch reprezentantów. W dotychczasowym rozkładzie ten przedewszystkiem błąd szkodzi stronnictwom i krzywdzi wyborców, że gdy niezbyt ludne i niemające znacznych potrzeb okręgi posiadają kilku posłów; inne, przeludnione, w prawodawstwie zaniedbane, ujawniające nowe potrzeby, albo nie mają żadnego w Westminsterze rzecznika, lub mają ich liczbę zbyt małą stosunkowo do swego znaczenia socyalnego, handlowego i parlamentarnego. W rozkładzie proponowanym, całe królestwo ma przedstawiać parlamentarną szachownicę: każde pole będzie miało

swego reprezentanta, lecz więcej zaludnione będą ich miały po dwóch lub trzech najwyżej. Ztąd jedne z dotychczasowych okręgów stracą swych posłów, inne powstaną. Liczebnie Szkocya i Irlandya nie pozyskają więcej głosów przy następnych wyborach generalnych, pozyskają oczywiście pewność stosunkowości mandatów do ludności; Anglia zaś z Walią utracą pięciu lub sześciu deputowanych.

Po zeszłorocznój burzy zyskał kraj tyle przecież, że kwestya reformy Izby lordów przestała być kwestyą tylko, a stała się sprawą. Powiedzieliśmy na inném miejscu, że parowie sami są żądni reformy; twierdzenie to sprawdza się i pierwsze oznaki dobrej woli ukazują się rychło. Hr. Roseberry, którego projekt reformy podaliśmy w streszczeniu <sup>1)</sup>, wysłał pismo do każdego para z osobna, prosząc o uwagi i wskazówki indywidualne. Co z tych się zabiegów wyłoni przyszłość okaże. Kronikarz poprzestaje na faktach; te zaś są obiecujące.

Nie wiele miru za to obiecuje tutejszy horoskop polityki zagranicznej!

Nawet optymistom źle wróży urzędowy komunikat gabinetu, ogłoszony w pismach, wręczony sir Edwardowi Watkin, prezesowi kolejowej spółki, która na stole Izby złożyła bil przekopania tunelu pod cieśniną Kaletańską. Gabinet liberalny oświadcza wręcz, że projektowi sprzeciwiać się będzie energicznie! A więc Anglia nie chce zostać mocarstwem kontynentalném; Anglia wierzy jeszcze w cnotę swego pasa srebrnego; lecz coraz powszechniej odzywa się tu przekonanie o bezużyteczności praktycznej tego pasa! Choć bowiem oddzielona od reszty Europy, przestała W. Brytania być wyspą na stołach międzynarodowych gabinetów, ostatnie lata jój kolosalnego rozrostu, jój zdobyczy, kolonizacyjnego rozwoju i nowych ambicyi zaznaczały i coraz wyraźniej zaznaczają również kolosalny rozrost poza europejski wielkich mocarstw, ich zdobyczy, ich kolonizacyjnego postępu i nowych ambicyi. Przedzielona od Francyi, Niemiec i Rosyi na mapie Europy, z Francją, z Niemcami i z Rosją styka się Anglia na każdym niemal punkcie granic swojego cesarstwa. Granice Indyi wkrótce nie będą problematycznymi: po ukończeniu prac komisji demarkacyjnej, która została wysłaną z ramienia Anglii i Rosyi, wzdłuż linii granicznej, patrzeć na siebie będą dwa najpotężniejsze mocarstwa wieków współczesnych, oba zazdrosne o potęgę, oba z natury swych zaborów podejrzliwe, szukające bezpieczeństwa w nowych aneksjach.

Chwilowa polityka ks. Bismarka upakarza Anglią w Paryżu; to rzecz głoszona w pismach codziennie. Niemiecki Drang nach Ueberall... zapuszczył swe harpuny aż w sąsiedztwo bezpośrednie wielkich

<sup>1)</sup> Zob. Bibl. Warsz. 1884 zeszyt za m. listopad.

stanów kolonialnych Anglii na wyspach australskich. Prezesowie gabinetów tamtejszych zanoszą protesty do matki-ojczyzny, politycy nawołują do coraz ściślejszej, a bezwarunkowo solidarnej federacji imperialnej.

Sprawy Egiptu, których gabinet p. Gladstone'a obawia się podjąć energicznie, które, jedném słowem, niby są rzeczą Anglii, za nie odpowiedzialnej a faktycznie rzeczą są wszystkich mocarstw, interesowanych pośrednio; sprawy Egiptu przykuły zagraniczną politykę Anglii nie skruszonymi pętami do efemerycznego tronu i rządu kedywa, nie pozwalając jej wydobyć się na stanowisko, na jakim przed pięciu stała laty, z jakiego ją nowy stracił arbiter europejski—wszechwładny kanclerz niemiecki. Upokorzenie Anglii tém większe w Europie, że wyższego nierównie od niej używa znaczenia republikańska Francya i że ta Francya sztandary swe wbija wszędzie tuż obok brytańskich sztandarów! Tak wzdłuż biegu rzeki Kongo; tak naokół Egiptu, w Abisynii, nad morzem Czerwoném, wzdłuż wschodniego brzegu kanału Suezkiego, tak nawet naokół stacyi brytańskich na morzu Śródziemném.

Pominąwszy nie małe trudności z niemiecko-holenderskimi stanami na przyłądku Dobrej Nadziei, czyż te już same nie przekonują, że Anglia musi dziś koniecznie wstąpić w szranki międzynarodowe, jako mocarstwo tak samo odpowiedzialne za równowagę balansu politycznego, jak są niemi wszystkie pierwszorzędne potęgi europejskie? Aby zaś mózł bezpiecznie zająć tam swe miejsce, czego Anglii potrzeba? Tego samego, co stanowi paszport innych potęg: siły — armii. Stołeczne pisma coraz otwarciéj już głoszą, że W. Brytania musi wprowadzić u siebie nakoniec małym necesarium państw europejskich, musi się „zmilitaryzować!“

Anglia zmilitaryzowana!... jak ogromny przewrót w jej własnej i w europejskiej tradycji! Nie patrz daléj, kronikarzu! Oddaj horoskop maligniel

Mimo to wszystko, dzwony kościołów wybiły rok stary bez żalu i bez zółci, przybiły rok nowy i przywołały wesoło! Na dworze królewskim, w Osborne, pierwsze dźwięki wznowiły boleść dostojnej wdowy: przypomniały pogrzebowe fanfary, które tylekroć przebrzmiały nad cichym i zamkniętym jej żywotem, nad katafalkiem ubóstwianego małżonka i ostatnio nad trumną faworyta syna, księcia Leopolda. Ale te dźwięki wylały się w chwili urodzin roku nowego w akord radości i wesela! Zwiastowały zaręczyny ostatniego dziecka, najmłodszej córki. Królowa Beatrix znalazła przyszłego małżonka w Henryku Battenbergskim, trzecim bracie bułgarskiego Aleksandra. Księżę Henryk, liczący lat dwadzieścia sześć, o rok jest młodszym od swej narzeczonej. Porzuci zapewne czynną służbę w korpusie przybocznej gwardyi cesarza niemieckiego, bo królowa Wiktorya postawiła za warunek swój sankcyi, że nowożeńcy zamieszkają w Anglii, nawet na sa-

mym dworze. Sędziwa monarchini zbyt nawykła do długoletniego towarzysztwa córki, by miała się pożegnać z ostatnią swoją pociechą wdową

Zapisuję jedne po drugich sprawy, wydarzenia i kwestye, wśród których kroczy i myśli John Bull, więc jeszcze o dwie rzeczy zahaczę, zanim z życia społecznego przejdę do literatury.

Czytaliście już i czytacie ad nauseam o zaułkach stołecznych, o przeludnieniu ich. o okropnej a wielorakiiej ich nędzy, o przeróżnych projektach, obmyślanych ku położeniu końca złemu przez ludzi złych i dobrych, w ostatnich dwustu latach. Jak będzie Londyn wyglądał, gdy z niego wyprują zaułki a wszyją mu kilka mil banków, klubów i ujeżdżalni — o tém kronikarz wyobrażenia mieć nie może, jak sobie nie może wyobrazić... słońca nad Londynem, a londyńską mgłę wystawioną na sprzedaż w formie cegiełek, do opalania domostw <sup>1)</sup>. Nauczeni doświadczeniem, sądzimy, że po zburzeniu zaułków istniejących, powstaną nowe. Jak po odebraniu karty przywilejów zbójcekiej republice w pobliżu Newgate w wieku XVII, stołeczni bandyci i banici założyli potężną „Alzacją“ naokół opactwa; gdy i ztamtąd wyrugował ich Jerzy I, przenieśli swe lary na południowe wybrzeże Tamizy, z główną kwaterą w cieniu dawnego klasztoru Cystersów (Whitefriars). Rozproszeni w końcu i ścigani w ostatniej połowie przeszłego wieku, rozeszli się po całej stolicy. Gdzież dziś nie ma kryminalnych kolonii w Londynie? Wschodnie dzielnice, przepętnione mrowiem najniższego pospólstwa żydowskiego i kosmopolitycznych szumowin, stanowią istny zwierzyniec wielkich Nemrodów policyjnych. O pięć zaś kroków tylko w bok z ulicy Regenta, w najbliższym sąsiedztwie centralnych biur policyi i biur ministeryalnych, kwitnie brytańska „Bohemia,“ w labiryncie najnędrniejszych i zaraźliwie cuchnących zaułków, wolne pokolenia występku. Delenda Bohemia! z tym okrzykiem wybrała się do ministra spraw wewnętrznych deputacya budowniczych i w głębokiem poczuciu mieszczańskiej cnoty, błaga o pozwolenie zburzenia Bohemii w matni St. Giles i Seven Dials, wzniesienia granitowych gmachów i intratnych magazynów, przebicia nowego traktu zbytkowski i spekulacyi, gdzie panowała febra i zbydlęcenie. Minister zniósł się z lordem mayorem, pod którego berłem leżą niektóre pomniejsze dependencye Bohemii. Obydwaj dygnitarze dali sankcyą budowniczym: Bohemia deletura! Cóż się stanie z jój obywatelami?

Jedni się wcielą do federacyi wschodnich, inni na podobę synów marnotrawnych i córek powrócą do Newgate i do kolonii. Ciekawa rzecz, ilu przyjmie ofiarę nowej spółki filantropijnej, założonej przez niezmordowanego filantropa, hr. Shaftesbury? Spółka się uformowała, rozporządza znacznym kapitałem, złożonym ze składek ludzi do-

<sup>1)</sup> Pia desideria istniejącej spółki.

brój woli i ogłosiła w zarysie swe plany. Chodzi jój poprostu o przeprowadzenie do skutku osad przemysłowych. Uznając za główny powód przeludnienia najuboższych dzielnic nietylko Londynu, lecz i innych miast wielkich, tę smutną okoliczność, że najczęściej złudzone własnymi nadziejami zorbokku, lub obietnicami szumnie powstających a rychło upadających przedsiębiorstw, uczciwe rodziny opuszczają wsie i miasta i nigdy już do nich nie wracają, zlewając się w swój własnej ruinie z ludnością kryminalną, lord Shaftesbury zamierza zwabić co najwięcej takich rodzin z stolicy najprzód, a później i z innych miast, do osad, w którychby nietylko znalazły zdrowe mieszkanie i ciągłą pracę, lecz nadto wszelką możność przyjsia do własności. Jednym słowem, wspólna praca w osadach przemysłowych ma dać w pewnym czasie wspólne prawo własności do niej. Ziemia tych osad, domy, zabudowania gospodarcze, fabryczne, szkolne i kościelne, narzędzia i wszelkie inwentarze staną się własnością pojedynczych gmin przemysłowych, skoro tylko pracą swą wypłacą włożony przez spółkę kapitał. Jak powiedziałem, plany spółki istnieją dotąd w zarysie; nie wynika ztąd jednak, by na planach miało się skończyć. Owszem, popierany przez prasę i kraj cały, lord Shaftesbury oczekuje tylko sprawozdań rzeczoznawców o podobnych osadach w innych krajach, by dzieło swe postawić na silnych i trwałych podwalinach.

Wszyscy nam dobrze życzący, pragną usilnie i niecierpliwie dwóch rzeczy: zaznajomić mieszkańców téj ziemi, mówiących po angielsku (a imię ich legiony, milionowe legiony), z arcydziełami naszej polskiej Muzy, a powtóre: poznać też arcydzieła i przypatrzeć się im w nowój formie, w języku Szekspira, Milтона, Tennysona. Chodzi o to, jakby je urzeczywistnić? Chcącemu nic trudnego. Ztąd prośba moja do Redakcyi „Biblioteki,” bym mógł zamanifestować gotowość Jój do przyjmowania sum, przeznaczonych na przedpłatę dwóch pierwszych arcydzieł: „Master Thadeus” i „Grajina“ <sup>1)</sup>.

Ta sama zacna miłośniczka rzeczy naszych, która własnym kosztem wydała swój przekład „Konrada Wallenroda,” ma ukończony przekład „Pana Tadeusza“ i „Grażyny.“ Imię jój odbiło się już echem w kraju. Miss Maude Ashurst Biggs nauczyła się po polsku w tym jedynie celu, by tém lepiej poznać i pokochać literaturę naszą. Poznawszy i pokochawszy, chciałyby ziomkom swym odkryć skarbnice im dotąd zupełnie nieznaną, ducha poezyi odmiennój, czystój prostoty, uczuć wznioślejszych, aniżeli te, które spłodziły ich własne utwory nieśmiertelne. Czyż cudzoziemka lepiej od nas zrozumiała korzyści i potrzebę obznajomienia anglików z arcydziełami, będącemi niespożytą chlubą i chwałą narodowego naszego geniuszu? Zapewne.

<sup>1)</sup> Przychylamy się chętnie do życzenia sz. autora.

Ale czy zostawimy jój samėj wszystką troskę o dzieło, a sami owoców samolubnie oczekiwać będziemy? Czy kto zna język angielski, czy go nie zna, przecieżby może chciał mieć u siebie dowód, że mu nieobojętném jest jaknajdalsze rozpowszechnienie rzeczy swojskich, ulubionych. A więc — składajcie państwo prenumeratę na tom pierwszy, zawierający w przekładzie angielskim całego „Pana Tadeusza“ z „Grażyną.“ Przedpłata niewielka: trzy ruble sr. Niechże choć kraj dopomoże, my tu także stukać będziemy. Oto próbka z rękopisu pani Biggs: „Wśród takich pól, przed laty...“

Amid such fields, years since, upon the brink  
Of a small streamlet, on a hill not high,  
Among a birchen thicket, framed of wood  
There stood a noble's mansion, underbuilt  
With masonry; the whitened walls gleamed far;  
And whiter from the contrast they appeared  
Against the dark green poplar trees that shielded  
The house from blasts of autumn. 'Twas not large,  
The dwelling-house, but all sides neat and clean,  
And had a great barn, and beside three stacks  
Of garnered corn, that underneath the thatch  
Could not be placed . . . . .  
. . . . . The gate half open stood,  
Proclaiming unto all who travelled by,  
Its hospitality, inviting all <sup>1)</sup>).

Angielskie wydanie pani Biggs, którego ogłoszenie zależy od zajęcia się niém ziomków w kraju i poza krajem, poprzedzone będzie treściwym Wstępem i notami, wyjaśniającemi trudniejsze dla angiłków ustępy. Do takich należy zaraz pierwszy, ale jak ślicznie brzmi, proszę osądzić:

O holy Virgin!

Thou who defendest Czenstochowa bright,  
And sbinest in the Ostra Gate, who shieldest  
The castled town of Nowogrodek with  
Its faithful people; as by miracle  
Thou didst restore me, when a child, to health,  
When by a weeping mother, I, confided  
To thy protection, raised my half dead eye  
And to the threshold of thy sanctuary

<sup>1)</sup> Łatwo poznać, że przekład pani Biggs odznacza się przedewszystkiem skrupulatną wiernością. Forma jego angielska, choć doskonała, nie odejmuje życia i ducha oryginałowi.

Could go at once on foot to offer thanks  
 To God for life restored; do thou likewise  
 Restore us thus by miracle unto  
 The bosom of our native land!

---

Baroński koronet nie pozwala laurowemu wieńcowi Tennysona wędnąć i tracić listki, owszem z postępem czasu i wieku poety dodaje mu piękniejszej krasy. Pod koniec ubiegłego roku ogłosił laureat nowy poemat dramatyczny, p. t.: „Becket.“ Dedykując go w przedmowie dzisiejszemu lordowi kanclerzowi państwa (hr. Selborne), jako następcy kantuaryjskiego męczennika. Tennyson oświadcza, że dramatyczny ten memoriał „nie ma w swój formie niniejszej odpowiadać wymaganiom współczesnej sceny teatralnej. Samaby długość jego temu się sprzeciwiała. Lecz przedmiot jego, tragedia pięknej Rozamundy raczej, aniżeli św. Tomasza á Becket, jest głęboko zajmującym, a dramatyczna jego forma zawiera wiele scen nietylko dramatycznych formą, lecz również i przedewszystkiem duchem. Dobrze przedstawiony dramat byłby w wysokim stopniu efektownym. Bardzo mało jest poetów i pisarzy w ogóle, z wyjątkiem oczywiście dramaturgów z powołania, którzy pisali dla teatrów z rzeczywistym sukcesem. Wiktor Hugo stanowi wielki wyjątek; a przecież w gruncie rzeczy dramata jego grywano bardzo rzadko, rzadziej bezwzględnie, aniżeli utwory tylu innych dramatycznych pisarzy we Francji. Jego „Kromwell“ dotąd się wcale na deskach teatralnych nie ukazał. „Król się bawi“ spotkał, jak wiadomo, surową w początku cenzurę; przed kilkunastu miesiącami przedstawiono tę sztukę w Paryżu wśród łatwo zrozumianych oklasków, lecz znów ją zawieszono. Ta sama sztuka znajduje po całej Europie ciągle powodzenie, w formie jednak opery („Rigoletto“ Verdiego). Verdi i Donizetti rozpowszechnili podobnie „Lukrecyą Borgia“ i „Hernaniego.“

Nie ma nic dziwnego w tej pozorniej niezdolności poetów do złożenia sztuki teatralnej. Również niezdolnymi okazali się powieściopisarze.“ Komedyi Thackeraya („Lovel“ Wdowiec“) nikt nie widział, choć wielu ją czytuje. Z różnych a licznych dramatów i komedyi napisanych dla teatru przez Balzaca, ukazuje się jeden tylko (pośmiertny) „Mercadet,“ a i ten musiał być obcięty z pięciu do trzech aktów przez wytrawnych specjalistów bulwarowych!...

„Becket“ Tennysona zawiera dużo materiału do sztuki teatralnej, jako takiéj. Głównym błędem jest to niechybnie, że przedstawia dwa momenta żywo zajmującego interesu, między którymi brak naturalnej łączności: jedném jest wielka scena historyczna (lub historycznie-bajeczna) Rozamundy wobec królowej Leonory, kiedy prawa małżonka daje kochance królewskiej do wyboru: sztylet—lub truciznę; drugim momentem sztuki jest historyczna scena zamordowania Becketa w katedrze kantuaryjskiej. Oto, jak je złączył poeta. Otrzymawszy



rozkaz wybrania rodzaju śmierci, nieszczęśliwa Rozamunda odrzuca obie alternatywy i przedłuża rozmowę namiętną z królową i z współnikiem jej, Fitzurse, aż do chwili, gdy wszystkich troje nachodzi niespodzianie kanclerz-arcybiskup. Becket wstrzymuje rękę Leonory, wystawia jej zgrozę zamierzonej zbrodni i napomina do szukania przebaczenia w murach klasztornych. Za życie, w ten sposób ocalone, usiłuje wdzięczna Rozamunda ochronić wybawcę przed ludźmi, którzy byli zaprzysięgli jego zgubę. Z kolei więc, piękna Rozamunda znajduje się w chwili niebezpieczeństwa pod łukiem katedralnej nawy. Arcybiskup bronił życia Rozamundy, mając na oku nie afekt swój do niej, lecz poświęcenie swe dla Henryka. Poeta, w celu wzniesienia charakteru Rozamundy, wlał w jej serce przekonanie, iż ona jedna jest prawą małżonką króla. Niewdzięczność zaś monarchy względem potężnego doradcy tem się okazuje czarniejszą, że sam podlega zamordowanie męża, który mu ocalił od gwałtownej śmierci ukochaną kobietę.

Arcybiskup jest w dramacie figurą pierwszą; Rozamunda, figurą najwięcej wzbudzającą zajęcie. Obok tych dwóch, inne wszystkie postacie są zaznaczone genialnie, każda z nich w odrębnej swej i uzupełnionej potęgze. Po dwóch głównych, najwybitniej przedstawiają się królowa Leonora (Eleanor), król Henryk II i potworny sir Reginald Fitzurse. Nie brak wesołego satyrysty w osobie Waltera Map, nie brak dwóch żebraków, głoszących rzeczy głębokie wierszem cudackim, nadając utworowi szekspirowski charakter. Tyle tylko rzucam uwag własnych nad dramatem Tennysona — i tyle tylko można oczekiwać od kronikarza. Krytyk-artysta mógłby zapełnić księgę!

Eugeniusz Lee-Hamilton należy do szkoły poetów salonowych, ultra-estetycznych, sennych romantyków, rozpaczliwie uczuciowych, lecz skończonych artystów scenicznych. Czytając go po Tennysonie i Swinburnie (a cóż dopiero, gdy go czytamy po Byronie i Shelleyu!), żałujemy, że... taki z niego i mazgaj i nudziarz! Jednakże, Lee-Hamilton jest tu, w Anglii, iście poetą (nie wieszczem) swego czasu:

— Czytałaś, kochanku, ostatni tomik Hamiltona?

— Czytałam, dearest!... Ah!... oh!... Divine! Czy dobrze czą na otomanie?

— Exquisitely, darling! Jak czarodziejka! Słuchaj:

Cicho i próżno w sierpniowym upale  
Spoczywa stare, wyludnione miasto.  
Szumiące słodko morakie mu ślą fale  
Pieśń nieustanną...

— How charming! Ahi quanta languidezza, cara mia!

A jakże! Szkoda, że mi nie podobna dalszych przetłómaczyć wierszy z „Apollina i Marsyasza!“ Pejzaże przepyszne — ani słowa. Lecz „ciche i próżne“ niestety — nic więcej. Zresztą tytuł powyższy należy do jednego z najstarszych poemacików w świeżo ogłoszonym zbiorze. Daleko piękniejszym, głębiej obmyślanem i więcej zawierającym męzkości jest „Porwanie“ (The Raft). Tło jego takie: Dwaj młodzi turyści, namiętnie rozmiłowani w sztuce odnaleźli w kryptach pod ruinami jakiejś świątyni posąg ze złota i słoniowej kości—Fidyaszowej Pallady, o którym twierdzono, jakoby go byli zburzyli krzyżowcy, podczas burzenia Konstantynopolu. Jeden z przyjaciół pozostał na straży nieocenionego zabytku sztuki, drugi pospieszył do baszy prowincyi o zbrojną eskortę. Strzegący skarbu wynurza się nam z uczuciami swemi: Palladę ceni ponad wszystkie kamienie Golkondy. W obawie możliwego nadejścia rabusiów, zakrywa wejście do krypt starannie i wychodzi, oczekując powrotu przyjaciela pod narożnikiem przyległej katakumby. Na nieszczęście zapomniał, że pół-obłąkany wyrostek jakiś, który się znajdował w kryptach przypadkowo był świadkiem odkrycia! Wyrostek uwiadomił rabusiów, a ci pochwycili turystę, związali, zakneblowali! W końcu ma do wyboru: albo wskazać ukryte wejście, lub umierać. Młodzieniec przeświadczony, iż rabusiom chodzi o złoto i kość słoniową, dla którychby skruszyli nieśmiertelne dzieło; pasuje się z miłością sztuki i miłością życia. Walka ta stanowi temat poematu: Jak ognistej i jak umiejętnie powściągliwej wyobraźni, by podobnemu sprostać zadaniu, łatwo pojąć. Hamilton spełnił je dość szczęśliwie, su o modo—choć cały pomysł jest arcy-niesmaczny! Koniec końcem fatalny młodzieniec obrał życie i oddał posąg rabusiom. Cóż z tego? przysłała mu fantazya rozpaczać nad aktem dokonany! Więc sobie życie odebrał... Gdyby mu pozwolił poeta i potem rozpaczać, może by gotów był... narodzić się—na pożytek antykwaryszów!...

*Λαντοῦ τὸ Καθατήριον, Μετάφρασις Κωνσταντίνου Μουσουρου.* Czyli po chrześcijańsku: „Danteo Czyściciel, Przekład Konstantego Musurusa“—otomańskiego ambasadora w Londynie, rodem greczyzna, baszy. Tak samo, jak w przekładzie „Piekiła,“ język tu jest pośredni między starożytnym i współczesnym. Wiersz wszędzie biały, z ostatnią słabą i jedną trzyzgłoskową stopą w każdym wierszu, co niekoniecznie szczęśliwie oddaje melodyjny rytm Dantęjskiej terzarima. Uczeni heleniści kiwają głowami nad tą amfibiiczną produkcją—kronikarz daje za wygraną!

Powinienbym potracić o wydawnictwa gwiazdkowe i noworoczne—to i potracę! Wszystko tu było, czego pożądać może czytające stworzenie: są wszyscy poeci od Chaucera aż do Hamiltona, z ilustracyami i bez, w skórze, w płótnie, w kartonie, w pozłocie, w posrebrzu, w fo-

liałach, ósemkach, szesnastkach; są wszyscy historycy od Geralda kambrezyjskiego aż do Antoniego Froude i Justyna Mac-Carthy, z ilustracyami i bez, w skórce, w płótnie, w kartonie, w pozłocie... Są wszyscy filozofowie i mężowie wiedzy i nauki, od Johna Dee (co miał Marsa w alembiku) aż do Huxleya i Legrande'a, z ilustracyami i bez, w skórce, w płótnie, w kartonie, w pozłocie... Są wszyscy bajkopisarze od pierwszego tłómacza „Arabskich Nocy,“ aż do Ouidy, pań Braddon i Oliphant, z ilustracyami i bez, w skórce, w płótnie i t. d. Czegóż tu niema? Lecz, co największego podziwu godne, to metoda, z jaką przeróżne te wydawnictwa są zastosowane do wszelkiego rodzaju czytelników. Nie mówiąc bowiem o dziełach Szekspira i dawniejszych poetów klasycznych, skoncentrowanych—że tak się wyrażę—i opowiedzianych raczej, aniżeli przedrukowanych dla osób zamało wykształconych, by je używać i czytać nawet, dla prostaczków, ba! i dla dzieci... znajdujemy najpierwsze powagi naukowe, chwytające pióro w miesiącach jesiennych i obdarzające wulgus profanum jak najprzystępniejszymi (treścią i ceną) dziełkami, traktującymi o wielkich kwestiach naukowych. Popularyzacya wiedzy i literatury fikcyjnej jest bezwątpienia wielką zaletą Anglików! Bajki o czarnoksiężnikach dla drobnych dzieci, przygody chłopięcych awanturników dla malców, podróże i opowiadania dla starszych wyrostków, wydawane są jaknajstaranniej z tą myślą przewodnią, by zajmując wyobraźnię, bogacić umysł i przysposabiać go do późniejszej nauki stopniowo. Z jednej strony mamy dla młodzieży dział moralny, z drugiej umysłowy, począwszy od „Baby's Album,“ aż do wspaniałych dzieł Kingsley'a, lub przekładów Juliusza Verne. Dom handlowy pp. Cassell i S-ki ma do pewnego stopnia monopol tych wydawnictw. Ich serya historyczna dla dzieci, ogłoszona tego roku, uzupełnia serye z lat poprzednich: naukową, poetów, wynalazców mechanicznych, podróżników i opowiadań biblijnych.

Zajęci publikacją druków upominkowych, wydawcy nie wiele w tym czasie ogłaszają nowych utworów literatury lżejszej. W ogóle mówiąc, rok ubiegły, nie mniej od innych bogaty w masę nowych powieści, nie przyniósł nam tu ani jednej powieści głośniejszej i zasłużonej wielkiej. Pani Maxwell (miss Braddon) olśniła nas wprawdzie swym „Izmaelem“ i niewątpliwie stała się rozgłośniejszą w Europie niżli była przedtym, ale znana autorka w najlepszym razie umie tylko genialnie opowiadać, zręcznie i plastycznie przedstawiać. Oryginalną nie jest. Zepsuty arcydziełami Dickensa, Tackeraya, Eliota, Reade'a, Ainswortha, Trollope'a i innych, Anglik żąda od swych pisarzy, by mu tworzyli typy wieczyste, któreby sobie ustawiał dalej w galerii, zawierającej takie posągi, jak Pecksniff, Mrs. Gamp, Dombey, major Peudennis, Dinora, Dodd i... któż ich wyliczy!

Bodaj najlepszą ostatnich miesięcy powieścią jest „Lorna Done“ pana Blackmore. Krytycy zawyrokowali, iż gdyby nie rozwlekłość, możnaby ją zaliczyć do cyklu opowiadań historycznych Waltera

Scota. Na to zdanie zgadzam się zupełnie, lecz, przeczytawszy „Lornę Doone“ wolę, że jest rozwlekłą i że tym sposobem niema szansy w cyklu nieśmiertelnego baroneta. Bohater, zakochany w Lornie, sam opowiada dzieje swego żywota. Nie jest głęboko uczonym, a więc w trzech tomach nie znajdziemy całej setki wyrazów więcej nad trzyzgłoskowe. Jest rolnikiem, więc mu wybaczymy przepyszne dygresye o powietrzu, o sobie, o nawozie nawet i o tuczeniu szynkodajnych stworzeń. Jest w chwili, gdy rozpoczyna opowiadanie, blisko stuletnim staruszkiem, nic więc dziwnego, że mu zarzucają gadulstwo. Nie jest wszakże ani prostakiem, ani trywialnym ani nudziarzem. *Farf from it!* Uczy, bawi i zajmuje. Scena: pogranicze hrabstw Devon i Somerset. Z jednej strony, bogata, rozległa i doskonale gospodarowana ferma rodziny Ridd, kwitnącej tam od czasów króla Alfreda. Z drugiej strony, wielka, głęboka kotlina, przecięta bystrym strumieniem, zamieszkała przez sędziwego rycerza (sir Ensor Doone) jego synów, wnuków i prawnuków, beżennych i żonatyh, ślubnych i nieślubnych, całą rodzinę arystokratycznych bandytów. Po obu stronach fermerzy i magnaci dwóch hrabstw, szanujący rodzinę Riddów, drżący przed pokoleniem olbrzymich Dooneów, płacący im haracz po każdym zniwach, pozwalający rabować się każdego przednowku, spokrewnieni z bandytami przeciwko swój woli. Czas: ostatnie lata panującego Karola II, rewolucya „króla“ Monmouth'a i „krwawe sądy“ sędziego Jeffreysa.

Exit John Ridd, herkules, ojciec—zamordowany przez bandytów. Carver Doone, podejrzrywany zabójca, zostaje czarnym geniuszem opowieści. Na scenę wchodzi John Ridd, herkules, syn—otarł się o gramatykę grecką w szkołach, odziedziczył po przodkach fermę, umysł ciężki, prostacki, otwarty, prawy, rzetelny; serce przestronne, odważne, duszę chrześcijańską, siłę Riddów, wygląd przystojny, bujną fantazyą, żołądek trawiący kamienie i blisko siedm stóp statury. Towarzystwą mu w opowiadaniu: matka poczciwota, siostra starsza w każdym calu Riddówna, siostra młodsza—uczona, dla tego mniej sympatyczna; wreszcie rodzaj ekonoma, John Fry, łgarz i tchórz, obok wielu i wielu innych z czeladzi, krewniaków, sąsiadów i przyjaciół, John Ridd łowi ryby, zapuszcza się aż w kotlinę bandytów, poznaje tam Lornę Doone. On ma lat dwanaście, ona ośm. W końcu opowiadania John Ridd zaślubia Lornę lady Dugal, która nigdy nie była Lorną Doone, ani dzieckiem morderców Johna Ridda ojca. Dla swego niezgrabnego herkulesa porzuciła bogactwa, tytuł, dwór królewski. Niezgrabny herkules zjednał sobie rzetelném prostactwem samego krwiożerczego Jeffreysa, zasłużył na tytuł „rycerza,“ rozbił dziedziczne gniazdo bandytów, pomścił ojca na Carwerze Doone, i nigdy niczém więcej być nie chciał, jak Johnem Ridd, fermerem, syndykem parafialnego kościoła.

Wczytawszy się w jego gadulstwo, zapominamy o wieku XIX; żyjemy, obracamy się i karmimy w wieku XVII-ym, poznajemy życie

panów. króla, dignitarzy, duchownych i włościan, bandytów i banitów rycerskich, wyrobników i żołnierzy, obcujemy z wszystkimi na jawie. Jednym słowem, powieść p. Blackmora tak jest pod każdym względem i piękną i doskonałą, że trzeba ją czytać w oryginale.

Pełną gorączkowego interesu jest trzynomowa nowela majora Griffiths p. t. „Fast and Loose,” którą w polskim przekładzie nazwalibyśmy: „Na Manowcach.” Są to dzieje poprostu skończonego łotra-artysty, głośnego w Londynie i w Paryżu. Autor dowodzi jednak wszelkiej wyższości nad francuzkim chwałą Coq'a—Emilem Gaboriau.

Wymieńmy jeszcze „Cyclamen,” nowelę pani Randolf, „Kassandrę” pani Corbett, „Miss Bretherton” (ukrywającą zrecznie biografją pięknej a... marmurowej aktorki, panny Anderson)—to i wymieniliśmy najgłośniejsze z najświeższych utworów powieściowych. Obiecują nam księgarze „Najpiękniejszą kobietę w Warszawie”—skoro się ukaze, przyślę czytelnikom Waszym jęj fotografią, może ją tam poznacie, a może i nie.

Profesor Morfil podjął się napisania artykułu o dziejach Polski i o literaturze naszej dla nowęj „Encyklopedyi Brytańskiej.” Obydwa artykuły mają być ile możności wyczerpującymi i obejmować—pierwszy do 100, drugi do 50-ciu stron wielkiego foliału. Temu samemu znawcy rzeczy słowiańskich powierzyli wydawcy artykuły o cesarzach Piotrze W. i Pawle.

Tutejsze „Athenaeum” z końca zeszłego roku zawiera, jak zwykle, sprawozdania o postępie literatury wszystkich gałęzi w krajach europejskich. Dr. Bełcikowski przysłał relacją krótką i treściwą. Niewiem, czemu przypisać, że imiona autorów naszych znajdują się tam po niemiecku: Heinrich Sienkiewicz i Johann Kochanowski—co to za jedni? Wypadało albo je napisać po angielsku, lub polskimi pozostawić. Radziłbym zostawić Jana i Henryka—zgodnie to będzie z ekskluzywizmem angielskości, chcąc, by język każdy zatrzymał swe imiona i nazwy <sup>1)</sup>.

W dziedzinie wiadomości ścisłych nie wiele mam do zaznaczenia. Rok ubiegły pozwolił specjalistom nagromadzić wiele materiałów w każdym wydziale biologii. Ale ostrożność zapewne kazała im poczekać z syntezami i spostrzeżeniami, dopóki następane ich rezultaty nie upoważniły do zabrania głosu ex cathedra. Tak np. „Stowarzyszenie brytańskie,” które tego roku odbyło swe sesye w Kanadzie, otrzymało od pana Caldwell (znakomitego embryologa) ciekawą wiadomość, jakoby ptak-świńka (ornithorhynchus, mający dziób kaczek), składał jaja, potwierdzając tym sposobem, niemniej jak swą budową, mniemanie, iż stanowi ogniwo między ptakiem i zwierzęciem

<sup>1)</sup> Być wszakże może, że p. Bełcikowski wysłał swą relacją po niemiecku. To jeszcze, by uniknąć możliwej asymilacji, lepiejby przyzwać polskich świętych!...

ssacém. Nie nowe to przecież odkrycie, bo już w r. 1825 wspomniał o niém Geoffroy St. Hilaire. Ale wnioski, wyprowadzone przez Caldwell, obalają z gruntu teorię tych naturalistów, którzy za Huxley'em twierdzą, że zwierzęta ssące „pochodzą“ wprost od amfibiów. Spostrzeżenia Caldwell wskazują przeciwnie, że tak nie jest, bo amfibium australskie, owa (czy ów) ptak-świnka, żyjąca w rzekach, miała przedków w pewnych reptyliach, po których ślady tylko pozostały w skałowych odciskach z wieku permskiego. Żyjątko Caldwell stało się powodem mnóstwa spekulacyjnych rozpraw, jak ów ślimak, żyjący dotąd w stawie londyńskiego Ogrodu Botanicznego, o którego pośredniej propagacyi przez polipa uwiadomił nas Bourne.

Polemika, wywołana cholerą w południowej i południowo-zachodniej Europie, nie znalazła tu ochotników. W teoryi d-ra Kocha nie uwierzono snadnie, boć już o nasienniku (bacillus) pisał przed 30-tu laty Filip Pacini. Doświadczenia Kocha, usiłującego zaszczepieniem bacillus cholery przyprawić zwierzęta o śmierć, okazały się bezskutecznemi; tyle przecież sprawiły, że wiwisekcya na mniej trafia tu oporu. Zastosowanie jój zdaje się być nieodzowném po odkryciu innego nasiennika, bacillus anthrax, przez Pasteur'a, sprowadzającego niebezpieczne choroby gardłowe u robotników, zajętych sortowaniem wełny.

W celu dalszego prowadzenia obserwacyi mikroskopijnych nad składem i strukturą skał, biologowie angielscy postanowili kosztem prywatnym wystawić laboratorium w pobliżu Plymouth, na wzór włoskiej stacyi zoologicznej w Neapolu.

W poszczególnych gałęziach ogłosiły specjalne stowarzyszenia tosy rozpraw i artykułów.

Herbert Spencer przypomniał się nowém wydaniem swych rozpraw socyologicznych, p. t.: „Człowiek a Państwo“, gdzie znanych swych zapatrywań bynajmniej nie zmienił. Trwa również i w swoich Mallock (autor dzieła „Czy życie warte życia?“), jak się przekonywamy z „Ateizmu i wartości życia.“

O proponowanym uniwersytecie londyńskim napomknąć tylko mogę. Mamy w stolicy wszechnicę wolną, egzaminującą i udzielającą niektóre stopnie; potrzeba wielka wszechnicy uczącój, naksztalt Oxfordzkiej, lecz przystępnój dla niezamożnych.

Galerye mistrzów palety i dłuta jeszcze nie otwarte. W teatrach zaś, po wypędzeniu świątecznych arlekinów i czarodziei, również tapicerzy tylko pokutują, każąc nam domyślać się, że w zapowiedziach przedsezonowych może coś być prawdy. Tymczasem niektóre dyrekcye rujnują się, po mniejszych teatrach, ze szczerem, przedstawiając po razy tysiączne odgrzewane rzeczy minionego sezonu, inne zaś: w Alhambrze, w Frivolities i t. p. zarabiają neapolitańskie sumy baletem i klasycznym strojem swoich... posągów.

# PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

„Pamiętnik Fizyograficzny,” tom IV z r. 1884. Wydawcy E. Dziewulski i Br. Znatowicz. Warszawa, druk J. Bergera, 440 stron, 16 tablic litograficznych i 21 drzeworytów w tekście.

Czwarty tom „Pamiętnika fizyograficznego“ wyszedł z druku w miesiącu październiku roku przeszłego 1884, przed samym obchodem jubileuszowym działalności naukowej d-ra Wiktora Szokalskiego; uczestnictwo swoje w tej uroczystości wydawnictwo Pamiętnika upamiętniło poświęceniem niniejszego tomu dostojnemu Jubilatowi.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej witała uprzejmie każdy wychodzący tom tego poważnego pisma, podając do wiadomości ukształconej części społeczeństwa naszego, wykaz treści i ocenę naukową zgromadzonych tam artykułów. Prace te w większej części są dopięro materiałem do nastąpić mającego opracowania fizyografii kraju. Z tego też głównie punktu powinna być ważona materiałów tych ocena. Podane tu przeto sprawozdanie zwraca naprzód uwagę zosobna na każdy dział Pamiętnika, rozbiór zaś artykułów, do każdego działu wchodzących, ma głównie na względzie ich przydatność w przyszłym zastosowaniu.

Dział I. Meteorologia i Hydrografia.

Trzy artykuły, w tym dziale pomieszczone, treścią swoją wiążą się z objętymi w tomach poprzednich Pamiętnika i właśnie ciągłość ta podnosi naukowe ich znaczenie; w Meteorologii bowiem zarówno liczba stacyi obserwacyjnych, jakoteż długość peryodu spostrzeżeń i nieprzerwana ich ciągłość, jedynie tylko mogą nadawać względną pewność wyprowadzanym konkluzjom. Przy spodziewaném pomnożeniu w kraju (przy cukrowniach) punktów, na których mają się utworzyć stacje meteorologiczne, artykuły te Pamiętnika posłużą za wzór do prowadzenia obserwacji, a zarazem do teoretycznego wykształcenia obserwatorów. Dział meteorologii w Pamiętniku położył jeszcze za-

sługę, wiążąc nas z wszechświatowym ruchem naukowym. „Signal office“<sup>1)</sup> Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, zajmujące się wydaniem Bibliografii meteorologicznej międzynarodowej, zgłasza się z prośbą do Akademii umiejętności w Krakowie o uzupełnienie wiadomości z tego działu literatury naszej, ku czemu poważnego materiału dostarczyło także wydawnictwo Pamiętnika fizyograficznego.

Kowalczyk Jan. Wykaz spostrzeżeń meteorologicznych Obserwatorium warszawskiego z r. 1881—1882.

Okres prowadzonych regularnie od r. 1825 w Obserwatorium warszawskiem spostrzeżeń, doprowadzonym był w poprzednich tomach Pamiętnika do r. 1880 włącznie, tu podano ciąg z dwóch lat następnych. Obserwacje obejmują teraz więcej szczegółów; na końcu każdego roku podana tabelka wypadków średnich ułatwia porównanie z latami poprzednimi.

Pietkiewicz Apol. Zmienność roczna ciśnienia powietrzni w Warszawie. Z tablicą litografowaną, przedstawiającą graficznie ruch barometru.

Autor nie ogranicza się samymi wykazami, lecz obserwacje podaje analizie naukowej i objaśnia je uwagami teoretycznymi w celu wykształcenia obserwatorów, obznajomionych z zasadami nauki. Artykuł obejmuje cały okres obserwacji w Warszawie od r. 1826 — 1880 włącznie.

Jędrzejewicz Jan dr. Spostrzeżenia stacyi meteorologicznej w Płońsku za r. 1883.

Jest to dalszy ciąg obserwacji od r. 1881 regularnie według jednej metody prowadzonych i zapisywanych przez d-ra Jędrzejewicza we własnym jego obserwatorium w miasteczku Płońsku na Mazowszu Płockiem.

## Dział II. Geologia.

Dział ten w Pamiętniku, od początku prowadzony umiejętnie i według pewnego planu, przyczynił się już niemało do poznania kraju pod względem geologicznym, a w przyszłości pozwala oczekiwać poważnych na tém polu nabytków, które w następstwie posłużą do wzbogacenia ogólnego zasobu nauki, przynosząc nowe fakta do układanej obecnie mapy geologicznej Europy. W tomie IV Pamiętnika pomieszczono artykułów geologicznych 5.

Kosiński W. O badaniach geologicznych, dokonanych w gub. Kieleckiej i Radomskiej w ciągu lata r. 1880 (z rękopisu pozostałego po autorze zebrał i podał dr. J. Trejdosiewicz).

Pod kierunkiem przedwcześnie zmarłego autora inżynierowie górniczy Kontkiewicz i Michalski dokonywali badania wskazanej części kraju, dla zgromadzenia faktów do ułożenia mapy geologicznej. Ubocznym zdaniem było zebranie wskazówek co do możliwości znale-

<sup>1)</sup> Zarząd i bióra służby meteorologicznej, zostające pod zawiadywaniem ministerjum wojny. Zadaniem instytucyi jest, oprócz wysyłania sygnałów ostrzegających, badanie naukowo zasad meteorologii.



zienia soli kamiennéj i nafty; z tego to względu zwrócono główną uwagę na utwory trzeciorzędowe. Sprawozdanie z tych prac złożone zostało departamentowi górnictwa w Petersburgu; pozostały zaś po autorze rękopism, obejmujący pierwotny zarys opracowania, z pewnemi zmianami, jakich wymagał co do formy, tu jest podany. Obejmuje on naprzód ogólny pogląd na tameczne utwory trzeciorzędowe, następnie przystępuje do kwestyi soli, tak żywo cały kraj obchodzącej. Podaje tu autor krótką historią poszukiwań jej u nas i pomimo dotychczasowych niepowodzeń, możliwości jej znalezienia wcale nie odrzuca. Nafta, odkryta we wsi Wójczy, znajduje się w odmiennych warunkach geologicznych, niż w Galicyi, tam bowiem sączy się z utworów eocenowych, tutaj z glin bitumicznych miocenowych.

Michalski A. inż. górń. Zarys geologiczny części południowozach. gub. Kieleckiej. Z mapą.

Niewielka przestrzeń od rzeki Nidy ku Zachodowi po miasto Miechów, badana tu jest szczegółowo; przy opisach licznych miejscowości, dodane rysunki przekrojów i obnażeń, tudzież wykazy znalezionych szczątków organicznych, stanowią ważne dopełnienia. Z trzech formacji geologicznych tu występujących: kredowej, trzeciorzędowej i dyluwialnej, pierwsza i trzecia są tylko ogółowo traktowane, formacja trzeciorzędowa, rozpatrywana jest w szczegółach. Wynikiem badań jest, że utwory trzeciorzędowe téj okolicy należą wszystkie do miocenu, zwłaszcza jego piętr wyższych. W kwestyi soli autor oświadcza, że lubo pewne analogie z Wieliczką pozwalają na zasadach naukowych dopuszczać możliwość jej znajdowania się, gdy jednak zupełnie podobne osady trzeciorzędowe na Szlązku gornym, zbadane tam należycie, soli kamiennéj nigdzie nie pokazały, bardzo słabe jest prawdopodobieństwo jej znalezienia w opisanéj okolicy. Z minerałów użytecznych téj formacji znajduje się tu gips w wielu miejscach, a siarka w Czarkowach, niedaleko od ujścia Nidy i w Posądy pod Proszowicami.

Zejszner L. Poszukiwania geologiczne, dokonane w r. 1864 w pd.-zach. okolicach Król. Polsk. (z rękopisu pozostałego po autorze podał Choroszewski W. inżynier górń.). Tak, jak po zasłużonym Puszu ocalona puścizna wzbogaciła staraniem Pamiętnika fiz. nasze zasoby nauki, tak téż i drugiego na tém polu pracownika odszukany rękopis, podano tu do wiadomości uczonego świata.

Zejszner w obecnej pracy bada specjalnie stosunek formacji jurkiej do czerwonych iłów, które prof. Roemer zalicza do formacji kajpru. Pole badań obejmuje dolina rzeki Warty, mianowicie część jej górna. Znalezione tu pokłady są przedstawione w szczegółowych wykazach wraz z klasyfikacją naukową.

Pusch J. B. (tłóm. Reichmana Br.). Nowe przyczynki do geognozyi Polski. V. Próba opisu bałtyckiego zagłębia oolitowego.

Jest to rzut oka na budowę geologiczną całej krainy nadbałtyckiej od Holsztynu do Zimudzi i Estonii. Teoretyczne poglądy autora dzisiaj wobec postępu nauki, nie wszystkie mogą się ostać, zachowają

wszakże wartość historyczną, jakiej nigdy nie traci praca, oparta na pewnej liczbie spostrzeżeń, zebranych przez doświadczonego obserwatora.

Michalski A. inż. gór. Badania geologiczne, dokonane w r. 1883 w północno-zach. części gub. Radomskiej i Kieleckiej.

Okolica badana dotyka rzeki Pilicy i leży ku północy względem opisaną przez tegoż autora w niniejszym tomie Pamiętnika, części kraju ograniczonej od wschodu rzeką Nidą, od południa Wisłą. Tutaj znaleziono większą niż na południu różnorodność utworów geologicznych, dostarczyły ich bowiem formacje dewońska, tryasowa, jurska, kredowa i czwartorzędowa. W opisach porównywa autor utwory te z odpowiadającymi im utworami w innych krajach i podaje wykazy znalezionych szczątków organicznych.

### Dział III. Botanika i Zoologia.

Do działu tego wchodzi wszelkie materiały, mogące posłużyć w następstwie do opracowania dokładnego Flory i Fauny krajowej, zatem więc sprawozdania z robionych po kraju wycieczek, monografie lub opracowania częściowe w odpowiednich gałęziach, wreszcie spisy roślin lub zwierząt, znajdujących się w zbiorach prywatnych. W tomie niniejszym Pamiętnika artykułów działu tego znajduje się 9.

Łapczyński K. Wycieczka na Litwę i nad Bałtyk. Dołączona mapka przedstawia graficznie obecną znajomość flory Królestwa Polskiego.

W wycieczce tej botanicznej robi autor trzy stacje, od siebie znacznie oddalone i w odmiennych warunkach topograficznych i klimatycznych leżące: Sołomorzecze na północ od Mińska, w okolicy leśnej i do 300 metrów nad poziom morza wzniesionej. Wysokidwór w powiecie trockim, na t. zw. Pojezierzu czyli w pasie jezior, ciągnącym się równolegle od brzegów Bałtyku; nareszcie Połoga, niegdyś port ożywiony, dzisiaj stacja lecznicza i kąpiele morskie. Każda z wymienionych okolic opisana jest pod względem topografii i pokrywającej roślinności z wymienieniem gatunków, najbardziej właściwość okolicy charakteryzujących i zwróceniem uwagi na wpływy miejscowe, wywołujące zmiany w wyglądzie samych roślin. Wykaz szczegółowy roślin zebranych, którymi za powrotem wzbogacił zielnik swój, obecnie może najkompletniejszy w kraju, pomieszcza autor w osobnych czterech dodatkach, na końcu artykułu dołączonych. W przejeździe z jednego stanowiska na drugie, podróżnik nie drzemie, lecz zapisując schwytane wrażenia, porusza niekiedy ważne kwestye geograficznego rozmieszczenia pewnych roślin, np. buku, jodły. Słowem i w tym artykule jak w poprzednich pracach tego autora w Pamiętniku, przedmiot traktowany jest ze ścisłością naukową, a przytém ożywiony poglądem obszernym i wielostronnym.

Eichler B. Spis mchów liściastych, widłaków, skrzypów i paproci, zebranych w okolicy Międzyrzecza. Spis ten obejmuje 206 gatunków roślin skrytokwiatowych komórkowych i 18 gatunków skryto-

kwiatowych naczyniowych. Przy każdym gatunku wymienia autor miejsca, a często i inne okoliczności znajdowania.

Łopott W. Materyały do flory algologicznej okolic Warszawy.

Jest to wykaz wodorostów zebranych w okolicach Warszawy, praca poniekąd równoległa do pomieszczonej pod takimże tytułem w tomie III Pamiętnika pracy K. Cybulskiego, z którym wspólnie obaj młodzi botanicy i koledzy badali tę gałąź flory. Obydwie prace te w obec nauki są bez zarzutu, z tém wszystkiém fizyografii krajowej przyniesić nie mogą ważniejszego nabytku; o ile bowiem badanie organizmów najniższych przyczyniło się do postępu nauk biologicznych, o tyle znowu organizmy te, przy kosmopolitycznym niemal rozmieszczeniu swoim, w badaniach miejscowych mniejsze posiadają znaczenie.

Kamieński Fr. dr. Nowy nabytek flory polskiej (z drzeworytami w tekście).

Do liczby roślin do flory naszej zabłąkanych ze Wschodu lub Zachodu, przybywa niedawno przez autora dostrzeżony w samej Warszawie i obficie już rozmnożony gatunek rumianku *Matricaria discoides* DC. Pochodzi on z Ameryki północno-zachodniej, a według świadectwa d-ra Dybrowskiego, rośnie na Kamczatce w wielkiej obfitości. W Europie środkowej rumianek ten był już w wielu miejscach dostrzegany, zapewne jako zbieg z ogrodów botanicznych. Tutaj podano dokładny opis rośliny, odróżnienie od naszego rumianku lekarskiego i rysunki gałązki kwitnącej, liścia i jednego kwiatka w powiększeniu.

Wałęcki A. Przyczynek do fauny teryologicznej kraju. Smithus. Z tablicą litografowaną przedstawiającą wizerunek zwierzątka w nat. wielk. i rysunek zębów w 23/1 powiększeniu.

Monografii niniejszej przedmiotem jest mało dotąd znane zwierzątko myszowate, przed stu laty odkryte przez Pallasą w Syberji zachodniej, znacznie później dostrzeżone w kilku miejscach Europy wschodniej, a dotąd wcale nieznanne w Europie zachodniej. Drobna ta myszka stanowi jeden z najpóźniejszych nabytków naszej fauny. Podany tu jest opis zwierzątka, odróżnienie od innych myszy, geograficzne rozsiedlenie i historia znalezienia go w kraju, wreszcie charakterystyka obyczajowa. Dla wyjścia z zamąconej w następstwie synonimii gatunku, przedstawia autor potrzebę przywrócenia pierwotnej nazwy Pallasowskiej „*subtilis*“ i pod tą nazwą gatunek opisuje.

Sznabl Jan dr. Opis nowych gatunków much krajowych. Badaniu tej gałęzi fauny entomologicznej niewiele u nas się oddaje, chociaż muchy wcale obojętne dla nas nie są istotami; jedne uprzykrzone, inne szkodne, zamięłowania ku sobie zapewne nie budzą, ale znać je trzeba. Dipterolog nasz w poprzednich tomach Pamiętnika umieszczał artykuły z zakresu swjej specjalności, w niniejszym tomie podaje opisy dokładne trzech nieznanych dotąd gatunków z wymienniem miejsc i okoliczności znalezienia. Każdą pracę wnoszącą

nowy przyczynek po powszechnego skarbcza nauki, powinniśmy witać przychylnie.

Dziedzicki H. dr. Przyczynek do fauny owadów dwuskrzydłych.

Gatunki rodzajów *Mycothera*, *Mycetophila*, *Staegeria*. Pięć tablic litogr., 140 figur przedstawiających w powiększeniu szczegóły anatomiczne i wykazujące różnice w budowie narządu płciowego.

Opracowanie to obejmuje 21 gatunków dotąd nieopisanych, z grupy komarów grzybnych. Opisy szczegółowe poprzedzone diagnozą łacińską i objaśnione po największej części kilkoma figurami. Autor przekonany o niedostateczności wskazówek rozeznawczych branych z ubarwienia ciała i skrzydeł, oparł cechy gatunkowe na różnicach w budowie zewnętrznych części narządu płciowego, odznaczającego się wielką u każdego gatunku stałością kształtu. Metoda mozolna lecz gruntowna. Materiał zebrany w większej części podczas wycieczki na Białoruś z d-rem Sznablem, inne okazy pochodzą z okolic Warszawy, z Ciechocinka i z Chodcza na Kujawach.

Osterloff F. O chrząszczach krajowych. Ciąg dalszy.

Artykuł ten rozpoczęty w tomie II Pamiętnika, idący przez tom III-ci a w niniejszym jeszcze nie ukończony, jest katalogiem rozumowanym bogatego zbioru chrząszców krajowych, przez autora od lat trzydziestu skrzętnie gromadzonego. Nie jest to więc spis suchy, wymieniający tylko nazwy i miejsca znalezienia; obejmuje on określenia rodzin i inne uwagi ogólne dotyczące budowy ciała, obyczajów, znaczenia ekonomicznego, co wszystko, pomimo pewnych usterek językowych, składa się na treść bardzo zajmującą dla znawcy owadów. W tomie niniejszym pomieszczona jest rodzina *Chrysomelidae*, Żłotki, bardzo liczna, w samej Europie obejmująca gatunków około 1000, z których przeszło 300 wchodzi do naszej fauny. Należące tu owady miewają nierzadko świetne ubarwienie, lecz w gospodarstwie w ogólności są szkodne, mianowicie tak zwane pchły ziemne i chełmiki niszczące rośliny uprawiane, rzepaki, buraki cukrowe i inne warzywa. Do tej rodziny należy także amerykański Colorado niszczytel kartofli.

Ślósarski A. Zwierzęta zaginione (dyluwialne).

Kilka słów o nosorożcach dyluwialnych: *Rhinoceros tichorhinus* Fisch. i *Rhin. Merckii* Jäg. Tablic litogr. pięć przedstawiających głowy obu gatunków z boku, z góry i z dołu w  $\frac{1}{4}$  i  $\frac{1}{3}$  wielk. nat. tudzież rysunki zębów trzonowych w wielkości naturalnej.

Oba te nosorożców kopalnych gatunki zostały u nas znalezione. Pierwszy nierównie częstszy, a zatem dawniej i powszechniej znany, kilka też zbiorów krajowych jego szczątki posiada. Gatunek drugi *Rh. Merckii* poznany później, o wiele jest rzadszy, choć również obszernie rozmieszczony, w Królestwie Polskiem niedawno (r. 1880 — 1882) został pod samą Warszawą znaleziony w Szczęśliwicach, w glinie dyluwialnej dobywaną w miejscowej cegielni. Szczątki tego nosorożca opisał autor już w r. 1882 w tomie II Pamiętnika Fizyogr.

pomienione należą do owego rzadszego gatunku Rh. Merckii; dla zwrócenia przeto uwagi badaczy krajowych na ten nowy fakt w naszej faunie paleontologicznej, podał tu opisy naukowo ściśle obudwu gatunków, przeprowadził porównanie ich z sobą we wszystkich możliwych szczegółach i opisy objaśnił licznymi figurami. Praca poważna.

#### Dział IV. Antropologia.

Dział ten przeznaczony na rzeczy dotyczące w ogólności etnografii krajowej. Dotychczas najczęściej opisywane tu bywają stare cmentarzyska, w rozkopanych mogiłach znalezione szkielety, czaszki, wyroby przemysłu współczesnego i inne akcesorya. Rzeczy obecne odnoszące się do bytu, obyczajów i moralności ludu rzadziej się pokazują. W niniejszym tomie artykułów tego działu jest trzy.

#### Łuniewski Tym. Cmentarz starożytny w Czekanowie.

Autor znany czytelnikom Pamiętnika Fiz. z opisu rzeki Liwca, już w poprzednich tomach Pam. podawał wiadomości o starych cmentarzyskach licznie w jego okolicy znajdowanych; w dalszym ciągu poszukiwań opisuje w tomie IV dwa groby z cmentarza w Czekanowie. W obu szkielety były już bardzo zniszczone, wszelako jedna z czaszek dała się wyjąć w całości, a wymiary jęj, zdjęte przez d-ra Dudrewicza, dołączono.

Dudrewicz L. dr. Mogiły kamienne w Tkaczowie, o milę od Łęczycy. Tablica litogr. figur 13.

Jest to cmentarzysko ciałopalne, groby należą do typu tak zwanych skrzynkowych t. j. wyłożonych wewnątrz kamieniami. Zawarte w nich naczynia gliniane są w ogóle naciskiem kamieni pogniecione, przytem znajdują się kości palone, węgle, żelastwo przez rdzę zgryzione i kawałki bronzu pokruszone. Kilka zaledwie naczyń i nieco przedmiotów dało się odrysować i te przedstawia dołączona tablica.

Karłowicz Jan. Chata polska. Studium lingwistyczno-archeologiczne.

Rzecz rozpoczyna się historią mieszkań ludzkich najpierwotniejszych t. j. budy lub szałas w lesie, następnie przytułków stałszych w jaskiniach naturalnych i ziemiankach kopanych; powołuje się tu autor na świadectwa autorów starożytnych łacińskich i greckich (Pliniusz, Tacyt, Strabo, Ksenofont, Herodot). Dalej następują badania lingwistyczne nad pochodzeniem wyrazów odnoszących się do budownictwa, jak np. strzecha, od pnia str, wspólnego wszystkim językom aryjskim, — słoma (sterno, stramen) -- dach (grec. stégō, pokrywam łac. tectum) -- chata (staroperskie kata) — chałupa (gr. kalýbē, od kalýptō kryję) i wiele innych. O mieszkaniach nawodnych powiedziano, że zawsze bywały okrągłe, plecione z chrustu i oblepione gliną (lepianki), stawi tu autor domysł, że urny grobowe naśladowały ten kształt, bo groby są zawsze odwzorowaniem mieszkań. Następuje rzecz o budowlach czworokątnych z drzewa obrobionego, przyczem następczą się autorowi badania nad pochodzeniem wyrazów takich jak cieśla: topór, izba i i., z których wnioskuje, że cały słowozbiór Obecnie jednak zbadawszy rzecz głębiej przekonał się, że kości

ciesielski u nas jest przeważnie rodzimy, co zaś do wyrazów widocznie od sąsiadów przejętych, robi uwagę, że wprowadzenie ich bywało zwykle spowodowane jakąś zmianą lub ulepszeniem w robocie, jak np. wyraz szosa nie dowodzi, że u nas przedtém żadnych dróg nie było, lecz tylko że drogi tego rodzaju później były wynalezione i wprowadzone. Przechodząc do budowania z kamienia lub cegły, wskazuje autor, że tu słowozbiór jest prawie całkowicie obcym: mur, murus,—cegła, tegula i t. p. Wniosek ztąd, że jakkolwiek chata drewniana czworokątna, z dachem na krokwiach, drzwiami i oknami, jest całemu plemieniu aryjskiemu wspólna, pomimo to wszakże rozwinięcie się sztuki budowania z drzewa u nas należy uważać za rodzime.

Po tych uwagach ogólnych następuje przegląd głównych typów chaty pierwotnej u greków, u dawnych germanów, nareszcie zarys chaty polskiej, której odróżnia autor dwa typy: jeden o wejściu z boku w ścianie dłuższej, a ścianie krótszej zwróconej do drogi lub ulicy. Typ drugi o wejściu w ścianie krótszej, pod wystawką dachu wspartą na słupkach. Zasadnicza ta różnica pociąga za sobą odmienny rozkład w urządzeniu wewnętrzném. Po tém wszystkiém dołączone są uwagi nad rozmieszczeniem zabudowań gospodarskich.

#### Dział V. Miscellanea.

Obejmuje artykuły treści rozmaitej, nie pomieszczone w działach odpowiednich z powodu spóźnienia.

Kozłowski J. L. dr. Powstanie nasypów nadbrzeżnych, przesypów i rew zatoki Gdańskiej. Z mapą.

Autor opisując zmiany odbywające się ciągle na tej części po-brzeża Bałtyckiego, wskutek podwójnego działania rzek wpadających do morza i prądów morskich, na oznaczenie owych groźnych częstokroć zjawisk używa miejscowej terminologii topograficznej. Duny, to jest wzgórza piaszczyste ruchome, powstające z połączonej czynności bałwanów morskich i wiatrów, mianuje nasypami, — nierzeja lub mierzeja, gatunek grobli naturalnej oddzielającej odnogę morską od pełnego morza, a utworzonej przez przeciwne sobie działania napływów rzecznych i odmiałów wyrzucanych falą morską, otrzymała nazwę prawdopodobnie z języka prusko-litewskiego, zastępuje ją przeto autor nazwą przesyp. Wreszcie mielizny morskie, ławy piaszczyste (rafy podwodne) mianuje rewami, nazwą wziętą od Kaszubów. Skreśliwszy spustoszenia nieustannie sprawiane działaniem miejscowém sił przyrody, za jedno z następstw tego stanu rzeczy uważa posuwanie się ujścia Wisły od czasów najdawniejszych coraz dalej na wschód. Przesyp Świeży i przesyp czyli półwysep Helu są także wierzchołkiem zwrócone ku wschodowi.

Twardowska Marya. Przyczynek do flory Pińszczyzny.

Autorka poświęcająca się z zamiłowaniem badaniu flory krajowej, w tomie III Pamiętnika pomieściła spis roślin z okolic Szemietowszczyzny na Litwie w Swienciańskim. Obecnie zamieszkując na Po-

lesiu nadsyła spis roślin zebranych w Weleśnicy nad rzeką Jasiołdą. Spisy te nie są wyczerpujące, mogą wszakże dostarczyć ciekawych porównań z sobą i ze spisami roślin innych okolic.

Sobkie wicz R. Roślinność i zwierzęta okolicy Żytomierza.

Zarys zanadto ogółowy a pobieżny, aby mógł dać wystarczające pojęcie o właściwościach krainy. Świat roślinny przedstawia autor sumarycznie w wykazie główniejszych rodzin i niektórych gatunków, zamyka rzecz tabelką wskazującą liczbę rodzajów i gatunków roślin, nie wspominając czyich to poszukiwań jest ona streszczeniem.

Pod wzmianką o jodle rozumieć zapewne należy nasz świerk, że jednak nigdzie miejsce znajdowania nie jest podane, wątpliwość rozstrzygnąć się nie da; gdyby jodła rzeczywiście tam była dostrzeżona, poznanoby najdalej na wschód posunięte u nas jej stanowisko i jedno z ważniejszych pytań geografii roślin pozyskałoby wyjaśnienie. Przy wzmiance o pięknej krzewinie, *Azalea pontica*, należało wskazać gdzie po spustoszeniu lasów rzadka ta roślina jeszcze się utrzymuje. Świat zwierzęcy traktuje autor jeszcze pobieżniej: na Polesiu wołyńskim zaznacza znikanie wskutek złej gospodarki niektórych cennych gatunków zwierząt np. bobra, a nawet łosia, niedźwiedzia i rysia, pomiędzy zaś jeszcze tam żyjącymi przypuszcza znajdowanie się jelenia? Część kraju bardziej południowa ma być pod względem życia zwierzęcego znacznie uboższa, lecz poprzestaje tu autor na bardzo ułomnym wykazie zwierząt ssących, obejmującym tylko 26 gatunków, z której to liczby 9 jest domowych. Siedmnaście gatunków zwierząt dzikich, a choćby i drugie tyle, to jeszcze zamały zasób życia zwierzęcego nieco rozleglejszej okolicy. Przed 30 blisko laty ogłoszone a przedmiotu jeszcze niewyczerpujące wykazy krain sąsiednich: jak Belkego spis zwierząt okolic Kamieńca Podolskiego i Kesslera fauna kijowska pozwalają to przekonanie wyrazić. Najbardziej zastanawia w wykazie brak wzmianki o gatunkach charakterystycznych dla fauny wschodu: o Suśle, Slepku i Slepuszonce; podać rozrzucone stanowiska pierwszego, a granice rozsiedlenia obu następnych, byłoby dla badacza samodzielnego wdzięcznym zadaniem.

Przy pracy zbiorowej, dążącej do wszechstronnego zbadania przyrody ziemi ojczystej, pozyskanie współpracowników osiadłych na licznych punktach kraju, mogących dokładniej zbadać rzeczy sobie bliższe, jest w najwyższym stopniu pożądane; żeby jednak zacna gotowość pomocy przynosiła rzeczywisty pożytek, należałoby porozumieć się z uczestnikami pracy, przynajmniej co do metody w opracowaniach, pozostawiając całą swobodę w wyborze treści i formy, zapewnić jednak pewną zgodność dążenia do wytkniętego celu.

Ślósarski A. Szczątki kopalne zwierząt, nadesłane do wydawnictwa Pamiętnika.

1. Łoś kopalny (*Cervus alces fossilis*) róg znaleziony przy kopaniu torfu we wsi Olesznie w powiecie Lipnowskim gub. Płockiej, od p. Karnkowskiego.

2. *Elephas antiquus* Falc. ząb trzonowy dosyć dobrze zachowany, o blaszkach szkliwa przerzynających koronę wyraźnie pokazujących charakterystyczne u tego gatunku słonia załamanie pośrodku. Znaleziony na dnie Wisły pod Bielanami przy wydobywaniu zwiru.

3. Mamut (*Elephas primigenius* Blum). Ząb trzonowy dobrze zachowany i część miednicy. Szczątki te znalezione były razem z poprzednim zębem słonia na dnie Wisły, zebrane i przesłane przez p. G. Broniewskiego, inżyniera.

Zebranie wymienionych tu szczegółowo prac, wykazuje w niniejszym tomie Pamiętnika 24 rozprawy, napisane przez 22 autorów, objaśnione 16 tablicami litograficznymi, oraz 21 drzeworytami w tekście.

W życiu naszym umysłowym jest to fakt pocieszający istnienie wydawnictwa czysto naukowego przez lat cztery wytrwale prowadzonego. Pisma specjalne, nie służące samemu uprzyjemnieniu życia, lecz poważnym a często i trudnym jego stronom poświęcone, nietylko u nas, ale wszędzie nie są wdzięcznym przedsięwzięciem. Utrzymać się one mogą jedynie albo pomocą rządu krajowego, albo współdziałaniem odpowiednich ciał naukowych, opieką władzy otoczonych; gdzie pomocy tych mieć nie można, wydawnictwa tej natury stać mogą tylko ofiarnością pojedynczych osób, których liczba im będzie w narodzie większą, tém lżejsze stosunkowo brzemię spada na barki osobników. Wyraźniej mówiąc, im społeczeństwo większą posiada ilość członków naukowo ukształconych, umiających ocenić wartość i potrzebę życia umysłowego narodu, tém chętniej zaliczy do obowiązków obywatelskich konieczność utrzymania tego życia, a chociaż obowiązki u ogólności nie są zabawą, a u nas pełnienie ich wymaga znacznego wysiłku, niemal bohaterstwa, pomimo to społeczeństwo rozumne i zacne, spełnia swe obowiązki o ile tylko może. Nie należy tracić nadziei, że jeżeli czteroletnie ciężkie przejścia nie złamały wydawnictwa Pamiętnika fizyograficznego, społeczeństwo użyczy mu pomocy do dalszej pracy.

A. W.

---

Aperçu de l'état actuel des législations civiles de l'Europe, de l'Amérique etc. etc. avec indication des sources bibliographiques suivi de trois appendices par Albert Amlaud. Paris, 1884 in oct. str. 244.

Nikt więcej nie pracował od francuzów nad prawem prywatnym międzynarodowym. Prócz źródłowych utworów posiadają oni mnóstwo traktatów i specjalnych w tym przedmiocie książek. Przy pierwszych edycjach komentarzy Durantona zamieszczono paralelne teksty obcych prawodawstw. Bonnier obrobił porównawczo rzecz



o aktach, St. Felix później Demagent, podali systematyczne wykłady postępowania przy wykonywaniu wyroków i windykacji spadków, Anthoine de St. Joseph ogłosił dwa olbrzymie zbiory konkordancyi ustaw hipotecznych i cywilnych, gdzie, obok tekstów, pomieszczono wywód historyczny respective każdego prawodawstwa. Ogromny balast literacki w pomienionym zakresie zgromadził autor książki, o której słów kilka zamierzylśmy napisać, w rubrykach bowiem bibliograficznych, do rzeczonęj kwestyi odnoszących się, mnóstwo dzieł powołał, świadczących, jak francuzi usilnie zabiegali o zwiększenie umysłowego dorobku na tém polu. Paryż jest ogniskiem cywilizacji prawniczej. Mnóstwo interesów kondensuje się w nim samym, a gdy chodzi o radę, w zawiłych sprawach, o konferencyą do adwokatów, cały kraj, ba, nawet społeczeństwa obce, rządzone Kod. Nap., zwracają się. Była też zasada założenia w mieście tém stowarzyszenia do badań porównawczych prawa, Paryż bowiem, zestosunkowany z całym światem, powinien dostarczać wskazówek, na wypadek kolizyi mieszkańców jego z obcokrajowcami. Amiaud, sekretarz i kustosz komitetu sekcji zagranicznej w ministryum sprawiedliwości, oddawna zamyslał o zjednoczeniu w jedną całość prac korporacyi, oraz pomnożeniu onych owocami własnych w tym względzie refleksyi. Obecnie zamiar swój pomyślnym skutkiem uwieńczył, podając czytelnikowi skaźnik z trzydziestu przeszło prawodawstw, oraz ich zmian, jakie w koloniach i oddzielnych prowincjach zaprowadzono. Układ słownikowy książki zgodny jest z jęj celem informacyjnym, jakkolwiek, dla względów naukowych, wolelibyśmy podział na grupy, co dziełu zapewniłoby szerszy interes; autor jednak na wstępie usprawiedliwia zadanie, które miał przed oczyma, powinniśmy więc, na jego stojąc gruncie, nie z własnego zapatrywać się stanowiska na książkę.

Wobec ogromnej masy materiału, który wypadalo uporządkować, na pierwszym planie stanęły główne kodyfikacye, oraz tam, gdzie ich nie ma, zbiory katalogowane: ułożono je wedle trzech rubryk: prawo materialne, formalne i notaryat z hypoteką. Inne ustawy uwzględnione są warunkowo. Najwięcej kłopotu przynosiły autorowi Niemcy ze względu na różnolitość zasad, jakimi się rządzą. Powiedzmy, że tameczni prawnicy, piszący traktaty porównawcze, w przystępie szczerości, przyznawali się do niemożliwości w wyczerpaniu materiału. Amiaud radził sobie, dzieląc wykład na trzy kategorye, a mianowicie: kraje rządzące się prawem pruskim, francuzkiem i powszechnem niemieckim; do drugiej kategoryi należą prowincye nadreńskie, część Hessyi, palatynat bawarski, oraz Baden; do trzeciej, z wyjątkiem Prus i dopiero co wymienionych, całe Niemcy. Rzecz prosta, że, w tej rubryce, kodeks saski, jako najbardziej postępowy i bawarski, ważny pod względem historycznym, stoją na pierwszym planie. Co do innych, drobnych państweczek, podano sumienną listę zbiorów prawa obowiązującego, w wydaniach urzędowych, do których czytelnik w razie potrzeby może się odwołać. Wykład historyczny, oparty na Savignym

i Mittermayerze, bardzo zwięzły, z naciskiem odznacza wartość Land-rechtu, jako pomnika mądrości prawniczej zeszłego wieku.

Z kodyfikacji europejskich bliżej obchodzą nas: Austria, Holandia, Włochy i Szwajcarya. Co do pierwszej, autor nie zapuszcza się daleko. Punktem wyjścia dla niego jest „Corpus juris Fredericiani” (1753), potem prawodawstwo Maryi Teresy i Józefa II. Streśczenie dzisiejszego stanu rzeczy ma tę wartość, iż uzupełniono kodeksy obowiązujące całym szeregiem ustaw, które później wydano. Postępowa kodyfikacja holenderska, skreślona 1838 r. na wzór francuzkiej, a w licznych punktach ulepszona, budzi dla prawnika istotny interes. Szkoda, że autor nie odstąpił od schematu, z góry wytkniętego i, poza prostym skaznikiem ustaw, moc obowiązującą mających, wyrzekł się wszelkich spostrzeżeń. Więcej miejsca poświęcono koloniom w Australii, oraz Indjach wschodnich, wreszcie w Ameryce. Amiaud zebrał starannie materiały bibliograficzne do tego działu, wykazując, jak i w tym względzie bogatą jest literatura francuzka w przekłady. Z tém wszystkiém do zupełnego wyczerpania kwestyi niepodobna się obyć bez języka holenderskiego. Kodeksa włoskie stanowią prawie moment ostatni w rozwoju prawodawstw europejskich. Po skonsolidowaniu państwa w jedną całość weszły w miejsce dawnych (głównie dziesięciu) ustaw. Dzisiejszy kodeks, nader do francuzkiego zbliżony, odznacza się zwięzłością i poprawnością redakcyi. Najpewniejsza w szeregu tym ustawa notaryalna zbudowana jest na pierwiastku dawnych organizacyi. Autor poświęcił tu więcej miejsca żywiołowi historycznemu i pracom prawodawczego ciała, któremu Włochy dzisiejszy ład sądowy zawdzięczają. Istny róg obfitości ustawodawstw szwajcarskich znalazł odzwierciedlenie w książce Amiaud’a w uporządkowanej specyfikacji 25 kantonów, z oznaczeniem, jakich zasad każdy z nich się trzyma. W obszernym wstępie podzielono je na grupy, stosownie do języka i pierwiastków, z jakich się składają. Prawodawstwo duńskie i szwedzkie autor obrobił podług książki Beauchet’a i artykułów w „Revue de droit“ z uwzględnieniem chwili ostatniej, źródła do notaryatu w Szwecyi, który jest faktem epoki bieżącej, zaledwie uwzględniono. Dodatkowo znajdujemy wzmiankę o prawodawstwie islandzkim. Zajmujący obraz ustawodawstwa greckiego i na wyspach Jońskich opracowano na źródłach francuzkich. Dowiadujemy się tu, że zasługę kodyfikacji miejscowej mają urzędnicy bawarscy, przez króla Ottona sprowadzeni. Kodyfikacja Rzpłtej San Marino, tudzież portugalska dział ten zamyka. Początek jęj sięga XV wieku; szkoda, iż autor, mając tyle źródeł przed sobą, poprzestał na krótkim szkicu; tego jednak wymagała proporcjonalność w układzie całości. Ustęp ten, ze względu, iż prawodawstwo kraju odległego jest najmniej znane u nas, budzi szczególnie dla tutejszego czytelnika interes. Inne prawodawstwa kodyfikowane, starannie w książce Amiaud’a obrobione, jak Belgii, ze względu na małe wyróżnienia w francuzkiém, oraz księstw naddunajskich, jako niewznicające naukowego zajęcia,

pomijamy. Do państw z ustawami katalogowanemi należą: Anglia, Hiszpania, Rosya, tudzież Stany Zjednoczone. Rzućmy okiem na to, co mówi o nich autor:

W. Brytania charakterystyczne zajmuje stanowisko ze swoim konserwatywnym prawodawstwem. Niepodobna się było wdawać w szczegóły tego chaosu; szło jedynie o podanie w szkicu, jakimi zasadami magistratura tameczna się rządzi. Cudzoziemców zapoznawał z pomienionym przedmiotem: Gans, Franqueville i tłumacze Blackstona; wszystko to jednak nie przyniosło pożądanego skutku wobec trudności, przy jakich sami krajowcy toną. Amiaud ogranicza się na wykazaniu, co jest *common law* i uszeregowaniu wszystkich rewizyi tych ustaw. Zaznacza w końcu, iż w trójkrólestwie od pewnego czasu poczyna się objawiać chęć do kodyfikacyi. Najlepszym tego dowodem jest księga uchwał dla Bengalu, oraz innych kolonii, których wymieniono prawodawstwa; tu należą: Cypr, Gibraltar, wyspy: Man, Jersey, Guernesey, Malta, Wniebowstąpienie, Przylądek Dobrzej Nadziei, Sierra-Leone, Maurice, Natal, Kanada, Jamajka, Św. Łucya, Św. Trójcy, Australia, Victoria, oraz inne.

Hiszpania, dotąd rządząca się prawem zwyczajowem i ordonansami kastylskimi, nie zdobyła się na kodyfikacyą cywilną. Autor wyznacza przepisy, obowiązujące w prastarych uchwałach, jak: „Siete Partidas,” „Leyes de Toro” i „Recopilaciones.” Dekrety królewskie bieżącego stulecia podają klucz do tego brakowania śród ustaw. Podziwiać potrzeba, jak Amiaud w tym lesie obcego prawodawstwa orientuje się wybornie. W tém trudnem położeniu zadanie ułatwia ta okoliczność, że przynajmniej zdobyto się w ostatniem 20-to-leciu na kodeks handlowy i postępowania sądowego, co i chaotyzm w studiach jedynie do prawa materialnego sprowadza. O prawodawstwie kolonii (Kuba i Porto-Rico) nie zapomniano. W związku z Hiszpanią jest Rzpłta Andorry, w której stan rzeczy w sposób zajmujący przedstawiono. Warto zaznaczyć, iż rozumny ustrój sądowy małego państewka zaangażował w wymiarze sprawiedliwości notaryat i stan obrończy, którego członków kolejno do magistratury, jako *juris periti* (w kwestyach zawitych) delegują.

Rosyą w czterech obrobiono rubrykach: Cesarstwo, Królestwo Polskie, Finlandya oraz prowincye nadbałtyckie. Druga obchodzi nas bliżej. Autor czerpał z uczonej rozprawy Tissa i Ludwika Lublinera i podał nadzwyczaj krótki skaznik zmian, jakim Kod. Nap. ulegał, wzmiankę o prawie małżeńskiem i ustawie hypotecznój. Digesta rosyjskie (głównie tom X) przedstawiono podług prac Zezasa, nową kodyfikacyą podług Lehra. Do innych działów posłużyły za materiały studia Turnera i Glassona. Wogóle w traktowaniu Cesarstwa znać, iż Amiaud był na łasce źródeł z drugiej ręki, a kodeks prowincyi nadbałtyckich (dostępny ze względu na język) traktował pobieżnie, jak rzecz niemającą tradycyi, kompilowaną na podstawie Landrechtu i praw miejskich. Kończąc z Europą winniśmy nadmienić, iż autor

daje miejsce dla praw Luxemburga i Monaco, wytworzonych właściwie z kodeksu francuzkiego z małemi modyfikacyami, które w czasach ostatnich wprowadzono. Do systematu prawodawstw katalogowanych należy węgierskie, ktoremu, poza Austryą, autor oddzielną poświęca rubrykę, rozbierając projekt kodeksu nowego, do którego napisania wysadzono specyjalną komisją. Losy tych prac niedaleka przyszłość rozstrzygnie. Nowe przepisy, po waice o niepodległość, na pierwiastku tradycyjnym zbudowane, uszeregowano chronologicznie.

Prawa Stanów Zjednoczonych najlepszego znalazły komentatora w Storym, który w sposob dostępny zapoznał z nimi ogół. Autor, widocznie uważając tę książkę za przestarzałą, nie powołuje się na nią wcale. W krótkim ustępie mamy przedstawiony ustroj ciał prawodawczych, następnie specyfikacją 39 ustaw, obowiązujących w państwie. Niektóre z pomienionych zbiorów niewłaściwie noszą nazwę kodeksów, są bowiem zwykłym prawem katalogowanym. Poza organizacją Stanów są jeszcze w państwie terytorya, rządzące się oddzielnymi przepisami, a mianowicie: Arrizona, Dakota, Idaho, Montana, Utah; Washington (posiada kodeks postępowania sądowego) i Wyoming. Ze wszystkich Stanów jedna tylko Louisiana ma kodeks (1825) na podstawie prawa francuzkiego ułożony. Składa się on z 3,522 artykułów.

W innych prawodawstwach amerykańskich przemaga pierwiastek hiszpański: kodyfikatorem Argentyny był Velez-Sarsheld (1871 r.) i w pracy swojej zapatrzył się na różne prawodawstwa amerykańskie, ale przedewszystkiem na projekt kodeksu dla półwyspu pirenejskiego. Procedura powstała nieco później. Uchwałę sądową dla Boliwii promulgowano w 1843 r.; przemaga w niej wpływ prawa kanonicznego. Chili było jednym z państw, gdzie najwięcej nad uporządkowaniem przepisów pracowano; owocem tych zabiegów był kodeks 1855 r., złożony z 2,524 artykułów. Małżeństwa cywilne wprowadzono r. 1883. Kzeczypospolite Costa - Rica, Equator, Guatemała, Haiti, Handuras, Nicaragua i Venezuela mają kodyfikacją hiszpańską; Salvador i Uruguay również, ale z pewną domieszką francuzkiego wpływu. Kodeks Perou ogłoszony 1852 r., zbudowany jest na zasadach postępowych prawodawstwa Napoleona i posiada układ naukowy; zwłaszcza teoria zobowiązań przeprowadzoną tu jest konsekwentnie. Brazylia ze swoim prawem, opartym na pierwiastku francuzkim i portugalskim, zamyka tę grupę. Kodyfikatorem państwa był dr. Freitas. Podstawą prawodawstwa miejscowego jest projekt jego sankcyonowany, po licznych przerobkach, w r. 1876. Pracę tę ostatecznie w formę kodeksu przyobleczono w r. 1881. Niezależnie od tego w Cesarstwie oddzielne obowiązują rozporządzenia, jak np. o najmie usług rolnych; kodeksu postępowania sądowego Brazylia nie posiada. Dla uzupełnienia materii o prawodawstwie odległych okolic wypada nadmienić, iż autor nie zapomniał o wyspach Sandwich, aczkolwiek nie dość grzecznie o ich instytucjach się wyraża. Konsolidacja z r. 1859 wcale nie odpowiada

reputacji dobrej, z jakiejż zmysł prawniczy hawajski dotąd w Europie korzystał.

Cały ten obraz, pomimo szerokiego materiału, w tak ściśle ramy jest ujęty, że czytelnik jednym nieledwie rzutem oka pochłonąć go może. Tajemnicę zwięzłego pisania mają tylko francuzi, a jego podstawą jest wyborna znajomość przedmiotu i bezwzględne panowanie nad nim. Amiaud, mając na względzie cel praktyczny, trzymał się ściśle wytkniętego programu: podać, co w którym kraju obowiązuje, oraz jakie jest pochodzenie przepisów, wreszcie gdzie należy szukać ich uzupełnienia. Pod względem ścisłości w wykazywaniu źródeł nie znaleźliśmy ani jednego błędu, co najlepiej przekonywa, z jaką sumiennością rzecz obrobiono. Szkoda, że autor w użytecznej swjej pracy pominął ustroj sądowy, przynajmniej w zakresie magistratury cywilnej, co nawet byłoby w zgodzie z planem dzieła, niezmiernie ułatwiając interesowanym poszukiwanie; wiedzieliby bowiem, do kogo się zwrócić w swoich żądaniach, co dziś nie jest wyjaśnionem. Z kolei rzućmy jeszcze okiem na porządki Wschodu.

Dział ten rozpoczyna się od Chin, których prawodawca nie wyróżnia dziedziny prawa cywilnego, wydzielając dla niej miejsce przy prawie karnem; w ten sposób rozwiązano tu niektóre jedynie stosunki, jak lichwę, sprzedaż i rozwody. Twórca książki poznał bliżej te przepisy ze znanego zbioru Stauntona. Egipt jest właściwie na łonie projektów: jurysdykcya konsularna, proponowana przed dziesięciu laty, nie doprowadziła do pożądanых rezultatów. Sądy mieszane dopiero lepszy wywołały stan rzeczy; ogłoszono sześć kodeksów a między temi cywilny i postępowania; pochodzenie pozwanego rozwiązuje kwestyą stanu i zdolności, poddając je przepisom kraju właściwego. Ustawy muzułmańskie regulują stosunki krajowców. Japonia oddawna przedsięwzięła reformę prawodawczą pod kierunkiem p. Bossonnade, profesora fakultetu paryskiego; tym celem komisya, zasiadająca w Tokio, przygotowała odpowiedni projekt w 1880 r., który z komentarzami zaczęte publikować. Księga pierwsza ma objąć prawa stanu, trzy następne o rzeczach, sposobie nabycia i prawach osobistych, już są skodyfikowane. Kodeksy francuski i włoski służyły za modłę tej pracy. Prawa Madagaskaru dotąd nie istniały na piśmie; niedawno dopiero wydano kodeks o 305 artykułach, już na języki europejskie tłómaczony, który dawnych zwyczajów nie usunął, tych nawet co w skład jego nie weszły. Persya hołduje sekcje Szyitów, którzy w Koranie upatrują źródła praw swoich. Anglicy i francuzi mają specyjalną w tym przedmiocie literaturę i do niej autor czytelnika odsyła. Ze względu na stanowisko Persyi w grupie wschodnich państw, ustęp ten może za zwięzle przedstawiono. Ogólne zasady prawa muzułmańskiego właściwie autor pod rubryką Turcyi wyłożył. Głównem ich źródłem jest Koran, zaś komentarz obejmuje Sunnach, której znaczenie na Wschodzie nadzwyczaj było doniosłe; poza niemi komentatorów nie zbrakło i oni to, ze względu że dotyczyli nie tylko przepisów prawnych ale i re-

ligijnych, dali początek rozmaitym sektom. W roku 1839 rząd otomański pokusił się o unifikację tych danych i utworzenie zbioru ogólnego. Wysiłki owe odniosły owoc w 1869 roku. Ogłoszony wówczas projekt nie zawiera praw stanu i małżeńskich, jako z religią związanych. Całość na język francuski przełożona, obejmuje trzy księgi: o sprzedaży, najmie, oraz rękojmiach. Wszystko to nie usunęło dawniej jurysdykcji kadych, rządzących się prawem zwyczajowem a właściwie dowolnością; główną dla ogółu co do tego wskazówką, jest prawo powszechne muzułmańskie zebrane w XVI wieku. Najważniejsze ustawy z ostatniej epoki regulują stosunki cudzoziemców na terytorium tureckiem, a mianowicie co do hipoteki oraz własności.

Na końcu książki dodano tablice, z których jedna obejmuje kraje, co zawarły z Francją traktaty, regulujące kwestyą spadków po cudzoziemcach, zmarłych we Francji, oraz francuzach, których zgon za granicą nastąpił; druga wymienia kraje, których poddani wolni są od składania we Francji rękojmi „judicatum solvi,” trzecie wykazują poddanych, którym dobrodziejstwo to służy jedynie w razie, gdy mają dodaną pomoc sądową; czwarta wylicza państwa, co z Francją zawarły umowy, co do wykonalności wyroków. Nie potrzebujemy nadmienić, iż praktyczna użyteczność rzeczonych tablic jest niezmierna, bo każdy po ich przejrzeniu, może sobie zdać sprawę o skali praw swoich w daném terytorium. Jeżeliby przyszło do przekładu cennej pracy Amiauda na język polski, tablice te należałoby zastąpić innemi a mianowicie wymienić odpowiednie traktaty, zawarte przez rząd tutejszy w danej chwili z obcemi krajami. Taki jest materiał w książce, o którą nam chodzi, zgromadzony: z tego najlepiej sądzić można o wielkim trudzie i wszechstronnej wiedzy jej twórcy. Pomijając lokalny cel książki, wykazującej doniosłość kodeksu, który się stał hasłem do wielkich reform prawodawczych w ucywilizowanym świecie, ma ona ogólny interes naukowy, podaje bowiem szerokie wskazówki etnograficzne, dotyczące kultury i wszechobyczaju ludzkiego. W tém się mieści niespożyta doniosłość dzieła, które interesuje każdego człowieka wykształconego. W przedmowie autor wytknął, w jaki to sposób rozwijał się duch nowego prawodawstwa i jakim wpływom ulegał. Wybaczymy też mu chętnie pewną gorycz, z jaką wyraża się o Savignym, który część życia poświęcił na to, aby szyć buty kodyfikacy Napoleona, przez udowadnianie, że cały rozum prawniczy nowej epoki zawdzięczać tylko wypada instytucyom rzymskim. Głos Bluntschlego wystarcza do zachwiania twierdzeń głośnego romanisty, któremu tak o chwalebę szło Landrechtu, że nie chciał jej przyznać obcym ustawom; bezstronny szwajcarski uczoney zapytał razu pewnego skromnie: dlaczego żaden lud nie zapatrzył się na Landrecht a podbite przecież wprowadziły kodeks Napoleona i uważają go za dobrodziejstwo?... niemcy nawet utrzymali go w palatynacie i w prowincyach nadreńskich. Stusznie też twierdzi Amiaud, że zasługą Napoleona jest przechylenie szali na korzyść kodyfikacy, która wkrótce, z małemi wyjątkami, za-

jęła miejsce dawnego systematu katalogowanego. Pod naciskiem tym szkoła historyczna w Niemczech, stając w obronie konserwatywnego czynnika, musiała porobić jednak ustępstwa metodzie dogmatycznej. Prusy, które stały w tyle, wprowadziły kodyfikacją karną, handlową, hipoteczną i notaryalną. Skłonność kodyfikacyjna objawia się wszędzie, nawet w zacofanej Anglii, gdzie do wniosków dawnych, postawionych w tym względzie przez Benthama, Broughama i Peel'a, wracają.

Dalecy od ubóstwiania kodeksu Napoleona, któremu (w 1825 — 1818) najdzielniejsi orędownicy w kraju naszym skrzydeł przyciąć musieli, ze względu na potrzeby lokalne, pojmujemy dobrze chlubę francuza, skoro mu chodzi o monument geniuszu narodowego. Nie z tej więc pobudki podnosimy wartość jego książki; ale dlatego, że obznajomił nas w niej z kulturą prawniczą na całej ziemi, podając rys postępu w instytucjach i podobieństwa, pomiędzy niemi, co pozwala tuszyć, iż ludzkość myśląca zejdzie kiedyś do wspólnych zasad w regulowaniu swoich stosunków. Nie możemy się wszakże na wszystkie autora ideały zgodzić a przynajmniej na zasady kodeksu w kwestyach, związanych z religią. Jeżeli więc mowa o zrównaniu przepisów, to jedynie bez szkody dla tradycji i sumienia, co zresztą jest warunkiem dobrze rozumianego postępu. Rzut oka na prawodawczy dorobek wszechludów jest i z tego względu niezmiernie pouczającym, iż wykazuje wspólny im pierwiastek etyczny, burząc tém samém zasady nowoczesnego pozytywizmu, jakoby moralność na pryncypie relatywnym spoczywała. Są czynniki bezwzględne, które przeszły do wszystkich ustaw, bo je sam Bóg włożył w serca ludzkości, np.: poszanowanie ojcowskiej władzy, powaga zaciągniętych zobowiązań i nienaruszalność własności. Postrzeżenie tych zjawisk jest celem badań porównawczych a ich rezultat sprowadza istotnie chwałę dla kodeksu Napoleona, w którym naprzód zogniskowano pierwiastki cywilizacyjne i postarano się wynaleźć takie rygory, na jakie tylko rozum ludzki zdobyć się był zdolny. Prawie cały świat myślący oczy na to prawodawstwo zwrócił i faktycznie najwięcej wskazówek, opartych już na doświadczeniu, z niego czerpał. Może tak wdzięczny rezultat badań porównawczych, był skuteczną pobudką dla francuzów, że po wszystkie czasy brali się do nich z ochotą. Nie można tego samego powiedzieć o innych narodowości uczonych.

Niemcy mieli zawsze w poszanowaniu metodę porównawczą, lecz zwracali się do źródeł gotowych, dla których niewiele bezpośrednio zrobili. Euler i Oesterley z tego stanowiska opracowali notaryat, Endeman prawo handlowe; kryminalistów już nie wspominamy. W piśmiennictwie angielskiem w tym samym zakresie istnieją dzieła Brooka i Storego, traktatów zaś o prawie wschodniem zliczyć niepodobna. Książka więc Amiauda ma zasługę, że całość ogarnia. Owoce odbytych przezeń studyów, zgromadzone w niej, są zdumiewające. Z małym wyjątkiem (rzplta Equadoru) zebrał materiały do prawa cywilnego na terytorium z kulturą, wykazując różnice, jakie w głównych zasadach, tu

i owdzie zachodzą. Ujął też umiejętnie rozproszone źródła prawodawstw katalogowanych, ułatwiając oryentowanie się czytelnikowi po olbrzymich w tym względzie literaturach. Aby mieć pojęcie o trudnościach, jakie się tu następują, dość powiedzieć, że materiał sam pozytywny (np. tekst obowiązujący digestów rosyjskich) czasami całą bibliotekę zapełnić może. Autor przyznaje, że książka jego nie uwalnia od uciekania się do dzieł specjalnych: wskaźniki bibliograficzne, w niej zawarte, cel ten ułatwiają. Skromny pracownik odmawia sobie nawet zasługi oryginalności; co więcej, twierdzi, iż nie ma pretensyi, aby jego książka uważaną była za naukową. Istotnie orzekliśmy, że cel jej był praktyczny, twórca wszelako zdążać do niego musiał po torach umiejętności i całym balastem studyów uzbrojony. Jego marzeniem była ścisłość, ale odczuwa, że w obec obszaru i różnolitości materiału, mógł jej niepodołać, dlatego, prośba do czytelników, aby wsparli go uwagami na wypadek dostrzeżonych usterków, jest najzupełniej usprawiedliwioną. Praca tego rodzaju tylko zbiorowemi siłami dopełniona, może być wykończoną. Dodajmy, iż Amiaud tak był sumiennym, iż, nie poprzestając na swoim odwołaniu się w druku do publiczności, przez korespondencyą z rzeczoznawcami świata całego, w tym celu się porozumiewał. W obec tej zabiegliwości, miłe wrażenie sprawia jego pełne skromności wyznanie, że rezultat swoich trudów zawdzięcza tym jedynie, co uprzedzili go w pracy na tém polu. Zebranie też pierwszych źródeł, przynajmniej w tak szerokich rozmiarach, które posłużyć mogły do dzieła niniejszego, jest bezwątpienia zasługą współpracowników biuletynu i rocznika, wydawanych przez stowarzyszenie do badań prawa porównawczego. Materiał ten, lubo różnolity i ogromny, ze względu na obszar przedmiotu, nieraz okazał się zamałym. Niedomówienie pewnych kwestyi a czasem pominięcie onych zupełne, obciąża co prawda nie samego tylko autora, lecz i tych, co mu dostarczali szczegółów. Głównym liwerantem była Societé de la législation comparée, której członkowie nie obdzielili pracami swojemi wszystkich prawodawstw na równi. Nasz kraj wyszedł na tych zbiorowych studyach najgorzej. Instytucya lat ośmnaście istnieje, posiada w łonie społeczeństwa tutejszego przedstawicieli a prócz pana Roszkowskiego (który znów nie jest cywilistą), żadnemu na myśl nie przyszło, aby oznajmiać francuzów z tém, co u nas na polu rozwoju kodeksu Napoleona zrobiono. Skutkiem tego, Amiaud rzecz kilku słowy zbywa. Nieznana mu jest literatura tutejsza cywilistyczna, w której każda zmiana prawodawcza swój znalazła refleks. Dutkiewicz pisał o ustawie hypotecznój, Walewski skomentował prawo z roku 1825 a Holewiński obrobił rzecz o umowach przedślubnych. Mieliśmy też autorów co pisali po francusku jak: Józefowicz, Boniecki, Lewandowski, Skłodowski i wielu innych. W interesie własnej chlubny leży, abyśmy pod korcem unysłowego dorobku naszego nie trzymali. Pracowano też u nas dosyć i nad prawem formalnem, jak: Szymanowski, Chwalibóg i Krzyżanowski, o czém autor nic nie wie. W pa-



pierach b. Komisji Sprawiedliwości pozostało też wiele projektów prawodawczych, które są śladem poważnych studyów. Rozpraw do kodyfikacji Napoleona, rozproszonych po różnych czasopismach, niepodobna tu wymieniać. Nad innymi gałęziami umiejętności pracowano także. Projekta adwokata Stanisława Zalewskiego co do zmian prawa subhastacyjnego, olbrzymie wydawnictwa rządowe „Dziennika praw,” obecnie kontynuowane przez Stefana Godlewskiego, zastugiwały ze wszelkich miar na pomieszczenie w spisach bibliograficznych. Nic tam również nie powiedziano o przekładach kodeksów: Zawadzkiego i Szaniawskiego (prawa cywilne), Skorochoła Majewskiego (handlowe), które przy registrach tego rodzaju na uwagę zasługiwały. Wreszcie wypada nadmienić, iż krytyka francuska robi autorowi zarzut, że tytułów powołań, zwłaszcza w językach mniej znanych, nie podał w przekładzie.

Na zakończenie tego sprawozdania, zapoznajmy się bliżej z osobą twórcy książki, znanego już dziś z naukowych zasług w szerokich kołach czytających. Albert Amiaud urodził się w Villefagnan (dep. Charente) 24 stycznia 1840 r. W jego rodzinie trzy uprzednie pokolenia piastowały godność notaryalną; powołanie to przeszło widocznie in succum et sanguinem autora, skoro temu zawodowi piórem służył a przez dziesięć lat (1867—1877) sam kancelaryą prowadził i w tym czas-okresie dwukrotnie na prezesa notaryuszy okręgu Angoulême był powoływany. Od ośmiu lat przeszedł do ministerjum, gdzie zajmuje posady na czele wymienione. Kształcił się w uniwersytecie w Poitiers, z kąd wyniósł prawdziwy zapal do nauki: temu przypisać wypada jego nadzwyczajną płodność literacką. Jest członkiem stowarzyszenia prawodawstwa porównawczego i to nadzwyczaj skrzętnym, korespondentem Akademii Prawodawczej w Tuluzie, tudzież Notaryalnej w Madrycie. Pisuje do wszystkich organów naukowych belgijskich i francuskich, w zakresie prawniczym redagowanych. Oto spis ważniejszych prac jego: „Etude de droit pratique,” 1869; „De la vénalité des offices,” 1870; „Institution du notariat en Russie et en Espagne,” 1872; „Le notariat français,” 1879; „De la prescription de l'hypothèque,” 1880; „Le tarif des notaires,” 1881, 2 t.; „Recherches bibliographiques sur le notariat,” 1881; dzieło kapitalne, które przyskało powszechnie uznanie; „Commentaire sur la loi du 25 ventôse an XI” (podług Rutgeerts'a) 3 t., 1884; „Commentaire de la loi du sept Août,” 1880; „De l'intérêt des avances des notaires,” 1868. Z jego prac dziennikarskich zasługują na wzmiankę: „Responsabilité des conservateurs,” „Observations sur les honoraires,” „De la compétence des juges de paix” i wiele innych, wkraczających w zakres projektów prawodawczych i głównie dotyczących reformy notaryatu. Nadto skrzętny autor opracowuje dwa dzieła porównawcze: „Code annoté et comparé des lois notariales en vigueur en Europe,” tudzież „Aperçu de l'état naturel des législations pénales de l'Europe, de l'Amérique.” Taka szeroka działalność oddawna już Amiaudowi zapewniła nietylko

w kraju własnym, ale i poza nim uznanie; dzieła jego są poważane i wśród naszych specjalistów, to też mniemamy, że poczytaném nam będzie za przysługę użyteczną dla krytycznej literatury, żeśmy nieco się obszernie nad ostatnią pracą jego zastanowili. Nadmienić wypada, iż wywołała ona w dziennikarstwie naukowym zagranicą powszechny interes, którego ignorować nam niewolno. Byłoby do życzenia, by się znalazł ktoś, coby tę cenną książkę piśmiennictwu polskiemu przyswoił, z uwzględnieniem zmian, o których wyżej była mowa i uzupełnieniem bibliografii prawnictwa krajowego. Przyrzucenoby w ten sposób jedną cegiełkę do ubogiego dorobku studyów porównawczych, które tak nisko tu jeszcze stoją.

A. N.

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

### WARSZAWA.

*Styczeń 1885.*—Projekt ustawy o regulacyi rzek, w Królestwie Galicyi i Lodomeryi wraz z Wielkiem Księstwem Krakowskiem, wniesiony przez rząd Przedlitawii do Izby poselskiej d. 20 stycznia 1885 przedstawia ważną tę i dla naszego kraju sprawę w sposób następujący:

§. 1. Celem państwa jest uregulowanie następujących przestrzeni rzek, mianowicie: *a)* Wisły od ujścia Przemszy do austriacko-rosyjskiej granicy pod Zawichostem, *b)* Dunajca od Zgłobienia do ujścia jego do Wisły, *c)* Wisłoki od Mielca do ujścia jej do Wisły, *d)* Sanu od Jarosławia do ujścia jego do Wisły, *e)* Dniestru od Żurawna do austriacko rosyjskiej granicy pod Okopami.

Dla urzeczywistnienia tego postanowienia zastrzega się dopłatę od interesantów do tych robót wedle przepisu ustaw o prawie wodnym (§ 26 ustawy z dnia 30 maja r. 1869, „Dz. u. p.“ p. l. 93, a względnie § 51 galicyjskiej ustawy wodnej z dnia 14 marca r. 1875, „Dz. u. kr.“ p. l. 38) roczną kwotę 500,000 zł. z funduszków państwa na czas lat piętnastu. Tę kwotę likwidować należy od dnia 1 stycznia r. 1885.

Koszta utrzymania budowli regulacyjnych zapisują się na rachunek zwyczajnej dotacyi na budowle wodne.

§. 2. Dla uregulowania wymienionych poniżej rzek, a względnie przestrzeni rzek, mianowicie: *a)* Wisły od ujścia Przemszy do ujścia Białki, *b)* Soły, *c)* Skawy, *d)* Raby, *e)* Dunajca od Zgłobienia ku górze, *f)* Wisłoki od Mielca ku górze, *g)* Sanu od Jarosławia ku górze, *h)* Wisłoka, *i)* Dniestru od Żurawna ku górze, *k)* Stryja, *l)* Świcy, *m)* Łomnicy, *n)* Bystrzycy włącznie z Bystrzycą sołotwińską i nadworniańską; wraz z uregulowaniem najniebezpieczniejszych dopływów tych rzek i odpowiednimi zalesieniami obszarów tychże rzek; przyzwala się na czas lat piętnastu, licząc od r. 1885, dopłatę skarbową w kwocie 7,980,000 zł. jako sześćdziesięcio-procentową część dopłaty przeznaczonęj na regulacye, które w powyższym przeciągu cza-

su mają się wykonać, sumy ogólnej 13,300,000 zł. pod warunkiem, że resztę, czterdzieści procent, w kwocie 5,320 000 zł. kraj pokryje.

W przyzwolonej dopłacie skarbowej mieszczą się zarazem prestatycje państwa z tytułu administracji dróg i dróg żelaznych.

§. 3 Na rachunek dopłaty skarbowej przyzwala się na pierwsze lata, pod warunkiem stosunkowej wpłaty na rachunek określonej w § 2 kwoty krajowej na koszta nakładów, niecierpiących zwłoki, szczególnie mapowania rzek, ułożenia projektów generalnych, zaszczepienia wierzbiny i niecierpiących zwłoki budowli, kwotę co najwięcej 500,000 ze skarbu państwa, którą likwidować należy w miarę potrzeby wraz z odpowiednią dopłatą kraju. Pozostającą się po strąceniu kwoty, łożonej na wydatki niecierpiące zwłoki, sumę dopłat skarbowej i krajowej, określonych w § 2, likwidować należy po zatwierdzeniu programu generalnego (§ 5) w równych ratach rocznych, a to kwartalnie z góry.

§. 4. Celem wykonania określonych w § 2 budowli, utworzyć należy fundusz regulacyjny. Do tego funduszu wpływać będą: a) dopłaty skarbowe, b) dopłaty funduszu krajowego, c) dopłaty interesantów, które ureguluje ustawodawstwo krajowe, d) przychód i dochód z gruntów zdobytych przy wykonaniu budowli.

§. 5 Ustanowić należy komisją krajową z siedzibą we Lwowie pod przewodnictwem namiestnika lub jego zastępcy, która składać się będzie: a) z delegatów administracji państwa, b) z członków których wydeleguje wydział krajowy i z delegatów obywateli Towarzystw gospodarskich, we Lwowie i w Krakowie. Komisya ta zarządzi zmapowanie rzek, wymienionych w § 2, każe na podstawie tych map ułożyć projekta generalne, a potem ustanowi generalny program budowli, który się ma wykonać wedle § 2, trzymając się w tém zasady téj, że te budowle, które dla ochrony kraju przeciw powodziom są najpilniejsze i najważniejsze, nasamprzód powiuny być wykonane. Zatwierdzenie programu generalnego zastrzega się administracji państwa w porozumieniu z wydziałem krajowym. Komisya krajowa ma dalej ułożyć projekta szczegółowe i preliminarze kosztów dla pojedynczych przedsięwzięć, ma występować z wszelką inicjatywą w téj sprawie, ma kierować robotami, nadzorować w czasie trwania budowy dokonane roboty i administrować funduszem regulacyjnym. Bliższe postanowienia co do liczby członków i zakresu działania komisji, tudzież co do mającego się złożyć stałego wydziału komisji, zostaną ogłoszone przez rząd w drodze rozporządzenia, a to po porozumieniu się z wydziałem krajowym, trzymając się zasady, iż przy tych postanowieniach zapewnia się władzy rządowej przynależny równy wpływ na wykonanie regulacji.

§. 6. O ile przy wykonaniu zarządzeń, przewidzianych w paragrafie 2 ma być zastosowaną ustawa z d. 30 czerwca 1884 dz. u. p. nr. 117 o zarządzeniach dla nieszkodliwego odprowadzania wód górskich, postanowienia w téj mierze należą także do komisji krajo-

wój w myśl pragrafu 23 pomienionój ustawy z zastrzeżeniem przewidzianego w paragrafie 24 jój wzmocnienia jednym przedstawicielem c. k. generalnój inspekcji kolei żelaznych.

§. 7. Sprawa konserwacji dzieła regulacyjnego po upływie terminu oznaczonego w paragrafie 2, niemniej przyczynienie się państwa do kosztów na te regulacye rzek pomienionych, które nie mogą być wykonane z pomocą przyzwolonych kredytów w ciągu oznaczonego terminu, zostaną uregulowane osobną ustawą.

§. 8. Regulacya innych, w paragrafach 1 i 2 nie wymienionych rzek krajowych, o ile okaże się potrzebną, ma być dokonana według przepisow ustawy wodnój. W jakich rozmiarach i pod jakimi warunkami może być przytem udzielone wsparcie z państwowego funduszu melioracyjnego utworzonego na podstawie ustawy z d. 30 czerwca 1884, dz. u. p. nr. 116 należy ocenić według postanowień teje ustawy.

§. 9. Kwoty, jakie mają być udzielone na podstawie niniejszój ustawy będą wprowadzone do preliminarzy państwowych w latach odnośnych.

§. 10. Od stempli mają być uwolnione: 1) Dokumenta, które będą wystawione dla uzyskania przeznaczonój przez sejm krajowy pożyczki na cele oznaczone w paragrafie 2, dalej kwity interymalne, częściowe udziały obligacyi dłużnych i kupony udziałów obligacyj dłużnych owój pożyczki; 2) Podania, kontrakta i inne dokumenta, tudzież czynności urzędowe, jakie okażą się potrzebne dla wykonania oznaczonych w paragrafach 2 i 3 ustawy robót.

§. 11. Udziały obligacyi dłużnych wzmiankowanój pożyczki mogą być użyte na oprocentowaną lokacyą kapitałów różnych fundacyi, zakładów zostających pod nadzorem publicznym, dalej pieniędzy pupilarnych, fideikomisowych i depozytowych, wreszcie mogą być oddane na giełdę, jednakże nie wyżej ponad ich wartość nominalną, a w końcu mogą służyć jako kaucye służbowe i inne, wynikające z zawierania interesów.

§. 12. O ile wyżej przytoczone postanowienia teje ustawy odnoszą się do regulacyi oznaczonych w paragrafie 2 rzek, względnie do przestrzeni tych rzek, nabiorą one mocy obowiązującej, skoro zgodne z temi postanowieniami przyczynienie się kraju zostanie zabezpieczone na drodze ustawodawstwa krajowego. Zresztą ustawa ta wchodzi w moc obowiązującą z dniem jój ogłoszenia.

§. 13. Wykonanie teje ustawy porucza Monarcha ministrom spraw wewnętrznych, rolnictwa i skarbu.

— „Gazeta lwowska“ z d. 10 stycznia 1885 r. w nr. 7 ogłosiła ciekawy „Przyczynek do życiorysu Antoniego Malczewskiego,” pióra Ant. Małeckiego, który zasługuje na uwagę jaknajszerszego koła czytelników.—Prof. M., zaznaczywszy dotkliwy brak wyczerpujących życiorysów pisarzy naszych, nawet takich, jak Mickiewicz, Krasiński i Słowacki, robi słuszną uwagę, że daleko jeszcze

trudniej zebrać dzisiaj dokładny materiał do biografii Antoniego Malczewskiego! Mało mamy bowiem poetów, których życie byłoby tak nieznaną, jak Malczewskiego. O wydaniu korespondencji mowy być nie może. Listy, pisane do niego, spłonęły zapewne wówczas, gdy poeta palił papiery swoje przed śmiercią, ze względów podobno politycznych. Z listów, przezeń pisanych do różnych osób, wydano zaledwie trzy z lat 1822 i 1823.

Oprócz tych, zachowała się tylko wieść o listach do szambelana Skibickiego; ale dotąd nie zostały one wydane.—Obok listów, służy jako materiał biograficzny kilka wiadomości niedokładnych, krótkich, jak: Cezarego Biernackiego, list Zofii Rucińskiej do Wójcickiego, list Józefa hr. Załuskiego, pamiętnik Fr. Kowalskiego, wspomnienia kolegi z czasów krzemienieckich — oto i wszystko.

Opracowania, oparte na powiększych materiałach, nie dostarczają nowych szczegółów do życiorysu. Na podstawie tak nieobfitych źródeł, życie poety odtwarzać można tylko fragmentarycznie.

Antoni Malczewski należał do ludzi nader hojnie obdarzonych od natury. Urodzony w r. 1792 w domu zamożnych i rozległe posiadającym stosunki rodziców, rozpoczął już w r. 1803 nauki w szkole pow. krzemienieckiej <sup>1)</sup>. Gdy w r. 1805 zamieniono tę powiatową szkołę na gimnazjum wołyńskie, Malczewski wstąpił już do klasy czwartej, którą ukończył odznaczony medalem. I w następnych klasach celował również w naukach. Przeznaczony do służby wojskowej, oddawał się z osobliwą pilnością naukom matematycznym i zjednać miał sobie szczególne względy Józefa Czecha, profesora matematyki. Jak się prócz tego wszechstronnie kształcił, przekonywa wykaz udzielanych mu przedmiotów w czasie pobytu w krzemienieckim liceum i ciekawy rękopis, znajdujący się w bibliotece Ossolińskich następującej osnowy:

JPan Antoni Malczewski przybył w r. 1803 do Krzemieńca, kiedy jeszcze była szkoła powiatowa. Gdy w r. 1804 dn. 1 października otworzyłem gimnazjum wołyńskie, JP. Malczewski został uczniem tej celniejszej szkoły. W r. 1806 z czwartej klasy odebrał medal. W każdym roku szczególniejszą otrzymał pochwałę. Cień nagany jego nie dotknął. Był przykładem postępowania dobrego, innych celował uczniów w naukach i z chlubą dla tej szkoły był uczniem, któremu pierwszeństwo zgodne zdanie władzy szkolnej, profesorów, metrów i uczniów samych przyznało. Uczył się nauk: języka łacińskiego, francuzkiego, niemieckiego, greckiego, angielskiego, nauki moralnej, geografii, arytmetyki, geometrii, trygonometrii, algebry, logiki, matematyki wyższej, rachunku dyferencyjalnego i integralnego,

<sup>1)</sup> Zkąd wziął Chódkiewicz (Bluszczy XIV, 274) wiadomość o uczęszczaniu przedtem do szkoły w Dubnie — niewiadomo. Tak powyższy fakt jnkotęd wiele następnych, opiera się na świadectwie Czackiego, które poniżej przytaczam.

historii starożytnej, nowożytnej, wymowy, fizyki, prawa przyrodzonego, prawa politycznego, ekonomii politycznej, prawa narodów, literatury polskiej, chemii, historii naturalnej, i w tych wszystkich naukach wielki uczynił postęp. Nadto doskonalił się w talentach, jako to: w rysunkach, w rysunkach topograficznych, w fechtowaniu, w jeździe na koniu, w tańcowaniu; i z nich równie wielki odniósł pożytek. Ten młodzian nadziei wychodzi z gimnazyum po skończonych naukach, inię jego zachowuje się z prawdziwym szacunkiem w księdze uczniów. Z przekonania polecam go wszystkim władzom, jako młodego człowieka, który z prawem sercem, z najszcześniejszą zdatnością przez swoje postępowanie okaże pożytki z publicznej edukacji i dowiedzie korzyści, które uczniom ta celniejsza szkoła w dozorze i ułatwieniu środków do udoskonalenia serca i rozszerzenia władzy rozumu udziela. Obdarzony medalem, zasłużył sobie w rok na odwołanie tego zaszczytu, zawsze uważany będzie w szkole krzemienieckiej za ucznia, którego wspomnienie jest i będzie miłym: ma prawo do pomocy mojej i urzędników edukacyjnych, jeżeli jej potrzebować będzie i zawsze mundur nosić mu jest wolno.

Ten list świadeczny, urzędownie wydany, podpisem ręki mojej przy wyciśnieniu pieczęci wołyńskiego gimnazyum stwierdzam. Dan w Krzemieńcu. Tysiąc ósmset jedenastego roku, dnia jedenastego miesiąca maja.

*Tadeusz Czacki m. p.*

Po ukończeniu nauk w r. 1810, obdarzony medalem, pozostał Malczewski z powodu młodego wieku jeszcze przez rok jeden w liceum i zasłużył sobie na medal powtórnie.

Otaczała go ogólna sympatya w Krzemieńcu. Lubili go zarówno profesorowie jak koledzy. W towarzyskiem życiu miał również powodzenie nadzwyczajne. Posiadał bowiem liczne zalety, jedające mu serca ludzi. Obok niepospolitych zdolności, zalecała go nader ujmująca powierzchowność i piękny charakter. „Antosko“ pociągał wszystkich do siebie — wyznaje jeden z kolegów Malczewskiego. — Piękny, jak anioł, blondyn, szafirowych oczu, śmiało w górę podniesionego czoła, uprzejmy, słodki, swawolny, zawojował on całą szkołę krzemieniecką. Ile razy wypadało kogoś od kary wyprosić, czyjaś winę na siebie przyjąć, jakąś nadliczbową chwilę rozrywki u przełożonych pozyskać, zawsze Antosko był naszym orędownikiem.”

Powtarzam tu z zupełną wiarą powyższe podanie kolegi Malczewskiego, potwierdza je bowiem w całej osnowie poważne świadectwo Czackiego. Widać z obu, że głównym rysem charakteru poety była wielka dobroć serca, połączona z wesołym, swawolnym nawet usposobieniem.

Ukończywszy 11 maja 1811 r. nauki w szkole krzemienieckiej, cieszy się Malczewski niedługo zupełną swobodą; 1 września bowiem tegoż roku zapisał się do korpusu inżynierii w Warszawie.

W czasach szkolnych czuł już Malczewski pewną skłonność do poezji. W sztambuchu szambelana Skibickiego, honorowego kura-

tora szkół wołyńskich, znajduje się „Oda do wojny,” która powstała wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w czasach nauki krzemienieckiej lub niebawem po jej ukończeniu. Tak w przesadnym patosie, jakoteż w personifikacjach i szafowaniu mitologią — widocznie są cechy klasycyzmu. Bellona występuje w otoczeniu przemocy, chciwości złota, występków i wad rozmaitych; niewinność leży skępowana „z rozczochranymi włosami, w skrwawionej odzieży — i woła przebaczenia; cnota okowana w kajdany.“ Wiersz ten świadczy, że Malczewski, podobnie jak wielu naszych romantyków, hołdował w początkach poetyckiego zawodu powszechnemu podówczas pseudoklasycyzmowi francuzkiemu, ale zbija zarazem czynione mu zarzuty, jakoby mową polską źle władał, posługując się przeważnie francuzczyzną.

Nie mamy zamiaru iść krok w krok z biegiem burzliwego życia poety. Ulubieniec losu w młodości, jednał sobie serca wszędzie, gdziekolwiek się pojawił, podobny w tym względzie do Lamartine'a; czy to na ławie szkolnej w Krzemieńcu, czy na salonach warszawskich, jako piękny młody oficer, czy później w podróży po Europie, lub po powrocie do kraju. Szczęśliwa gwiazda jego zaćmiła się dopiero wówczas, gdy zapragnął sławy poetyckiej, gdy może marzył, że mu poezya zetrze z czoła troskę o chleb dla siebie i dla kochanej kobiety. Były to złudzenia, które się niebawem rozwiały.

Podajemy dwa własnoręczne kwity Malczewskiego z owych smutnych chwil jego życia <sup>1)</sup>. Pierwszy: „Odebrałem złp. ośmdziesiąt nro 80 31 lipca 1825. JWPan dał sam te pieniądze. Malczewski m. p.“; drugi: „Odebrałem od JP. (nazwisko starte) z rozkazu JWH. Karola Kossowskiego złotych polskich sto nro 100. 2 października 1825 Malczewski m. p.“ Było to już po wyjściu z druku „Maryi.“

Nie znamy bliższych szczegółów, dotyczących kwitów. Drobnie atoli te kwoty pozwalają się domyślać w jakiej potrzebie był poeta i w jaki sposób ją zaspakajał. Niebawem nastąpić miało zupełne rozczarowanie: nadzieje, jakie żywił co do powodzenia „Maryi,” nie spełniały się nawet w najmniejszej części. A jednakże tak ufał w wewnętrzną wartość swego utworu, że miał na łożu śmiertelnym odezwać się do przyjaciela Karola Kossowskiego: „potomność będzie sprawiedliwsza.“

Zmarł na skira w Warszawie 2 maja 1826 r. na drugim pięttrze domu 796 przy ulicy Elektoralnej.

Przed śmiercią spalił wszystkie swe papiery, a pomiędzy niemi i utwory poetyczne. Ocalały tylko resztki, które zabrała bądź Zofia Rucińska, bądź Karol Kossowski.

— Ubiorz wojska polskiego w Berlinie. W stolicy Niemiec, w sali 1-go piętra, świeżo uporządkowanej i niedawno otwartej zbrojowni państwa Niemieckiego, wystawiono zbiór ubiorów wojska polskiego z czasów W. Ks. Konstantego (przed r. 1830). Ubiorz te



mieszczą się w trzech oszklonych szafach ze wszystkich stron dostępnych. Wszystko tu ułożone jest w takim porządku od kasków aż do trzewików, iż daje dokładny obraz kształtów i umundurowania żołnierzy, jakkolwiek ubiory te nie są na manekinach. Są tu ubiory grenadyera, strzelca konnego gwardyi, żołnierzy 4-go pułku piechoty, 1-go pułku strzelców pieszych, batalionu saperów, artyleryi pieszej, konnej, artyleryi gwardyi, 2-go pułku ułanów, 4-go pułku szaserów i żandarma. Ubiory są oryginalne, dobrze przechowane, w podwójnym komplecie, dla parady i codziennego użytku. Znajduje się też i odpowiednia uprząż na konia. W teże zbrojowni, pomiędzy stosami zdobytych chorągwi i sztandarów, dostrzedz można jedną chorągiew polską z r. 1794 i dwa górne mosiężne znaki od sztandarów z cyfrą Stanisława Augusta. W bogatym zaś zbiorze olbrzymich dział, moździerzy, kartaczownic i innój broni, znajdują się dwie kosy zabrane w W. Ks. Poznańskiem w r. 1846.

— Dr. JAN HANUSZ habilitował się w Wiedniu, w obecności profesorów wydziału filozoficznego tamtejszej wszechnicy i licznie zgromadzonych studentów na docenta lingwistyki. Wykład habilitacyjny rozbiegał rzecz p. n. „Charakterystyka oddzielnych gałęzi szczepu indoeuropejskiego.“ Młody uczony, znanym jest w świecie naukowym z licznych rozpraw z dziedziny filologii porównawczej, zamieszczanych w czasopismach polskich i niemieckich. Dr. Hanusz poświęca się studjom sanskrytu i ma być wkrótce powołany przez uniwersytet jagielloński na mającą się tam otworzyć katedrę sanskrytu. Będzie on więc pierwszym i jedynym uczonym, wykładającym przedmiot ten publicznie po polsku.

— „Psalterii Florianensis partem polonicam ad fidem codicis recensuit, apparatus critico, indice locupletissimo instruxit Wladislaus Nehring.“ Poseniae 1883, LI i 248 in 8<sup>o</sup>. — Po wydaniu psalterza Floryańskiego (dawniej zwykle psalterzem Małgorzaty zwanego) z roku 1834, które dziś już jest bardzo rzadkiem i okazało się w stu mniej więcej miejscach niedokładnem, wydanie prof. Nehringa jest jedynem krytycznem wedle rękopisu Floryańskiego sporządzonem wydaniem tego najstarszego pomnika języka polskiego większej objętości. W obszernych prolegomenach mówi prof. Nehring o kolejach, przez jakie rękopis przechodził, o literaturze tyczącej się tego pomnika i o wartości każdego z trzech tekstów psalterza.— Wiadomo, że rękopis pisany jest w łacińskim, polskim i niemieckim języku. Prof. N. rozpisuje się w szczególności o tekście polskim i jego stosunku do łacińskiego, do niemieckiego, jako też do innych starszych polskich całkowitych lub częściowych przed drukowanemi. Tekst sam, w tém wydaniu bez typograficznych pomyłek, opatrzony jest krytycznemi uwagami, a do wydania dodany jest słownik wszystkich wyrazów, które się znajdują w psalterzu z obitami cytatami. Nehring przytacza w słowniku wszystkie wyrazy w tej formie głosowniowej, jaką miały w XIV wieku. Księgarni Żupańskiego w Poznaniu należy się zasługa, że wzię-

ła w nakład dzieło czysto naukowe, które powinno znaleźć wstęp do każdej większej biblioteki.

— Pod redakcją F. Techmera, docenta lingwistyki porównawczej na uniwersytecie lipskim, poczęło wychodzić czasopismo specjalne poświęcone lingwistyce w najobszerniejszym znaczeniu p.t.: „Internationale Zeitschrift für allgemeine Sprachwissenschaft.“ Między współpracownikami, których wymieniono na tytule, czytamy imiona Ascoli'ego, Leskiena, Miklosicha, Fryd. Müllera i Maxa Müllera, Potta, Radloffa, Scherera, Steinthala, Whitney'a i i. Zeszyt 1 tomu I poświęcony W. Humboldtowi, zawiera śliczny staloryt pomnika postawionego mu w r. 1883 w Berlinie, dwa jego listy, wyjątek z mowy ministra Gosslera, przy odsłonięciu pomnika, a po słowie wstępuem redaktora, dziewięć rozpraw. Na czele stoi instruktywna praca sędziwego lingwisty Potta p. t.: „Einleitung in die allgemeine Sprachwissenschaft,“ obejmująca w dwóch rozdziałach głównych sumę niezmierniej erudycji, z uwzględnieniem najnowszej nawet bibliografii przedmiotu, dalej Techmera „Naturwissenschaftliche Analyse und Synthese der hörbaren Sprache“ i projekt transkrypcji „mittelst der lateinischen Kursivschrift.“ Garricka Mallery (z Washingtonu) „Sing language“ (język mig) po angielsku; Fr. Müllera artykuł polemiczny p. t. „Sind Lautgesetze Naturgesetze?“ Maxa Müllera notatę etymologiczną „Zephyros und Gahusha;“ L. Adama „De la catégorie du genre“ (po francusku); A. H. Sayce'a „The Person-Endings of the Indo-European Verb“ (po angielsku); nakonnice K. Brugmanna „Zur Frage nach den Verwandtschaftsverhältnissen der indogermanischen Sprachen.“ — Zeszyt ten formatu wielkiej ósemki na szesnastu arkuszach bardzo pięknego papieru, ma przeszło 80 drzeworytów i 7 litografowanych tablic. Cena jego 6 marek (rs. 2 kop. 50). Rocznie wychodzić ma dwa zeszyty stanowiące jeden tom.

— Dnia 16-go stycznia odbyło się w Akademii umiejętności w Krakowie posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego pod przewodnictwem prof. dr. Heyzmanna, na którym dr. prof. Zoll czytał rozprawę: „O składzie senatu rzymskiego na podstawie lex Ovinia.“ Prelegent przytoczywszy najdawniejsze ustępy ze źródeł odnoszących się do treści tak zwanego prawa Owinusza, dochodzi do wniosku, że według niego w składzie senatu odróżnić można było tylko: 1) właściwych senatorów, umieszczonych na liście cenzorskiej i 2) osoby, które po sporządzeniu takiej listy na mocy piastowanego dostojęństwa magistratualnego w senacie cum voto informativo zasiadać mogły i które cenzorowie przy najbliższym sporządzeniu listy, do niej wciągnąć, a więc właściwymi senatorami uczynić — byli obowiązani. Zdanie, jakoby w senacie byli senatorowie z prawem głosowania, ale bez prawa objawienia swego zdania, prelegent odrzuca stanowczo, utrzymując, że i tak zwani senatores pedarii żadnego odrębnego rodzaju nie stanowili. W tej części wywodu swego przytacza prelegent także zdanie Jana Zamoyskiego i Wawrzyńca Goślickiego o senatorach rzeczonych. Prelegent podaje następnie nowe tłumaczenie

wyrazów praeteriti i loco moti z ustępu Festusa, wspominającego o téj ustawie, utrzymując, że tylko właściwy senator mógł być praeteritus. W dalszym ciągu twierdzi prelegent, że ustawa ta była wynikiem dążenia trybunów do zapewnienia plebejuszom większego udziału w Izbie senackiej, i że nie wcześniej jak w r. 339 przed Chrystusem mogła być uchwaloną, bo odtąd dopiero cenzorstwo większą im pod tym względem dawało rękomią, ale na ograniczenia, nałożone w niej cenzorom, wpłynęli zapewne patrycyusze. Zwracając się w końcu do ocenienia jéj znaczenia, twierdzi prelegent, iż ustawa ta politycznego ducha i kierunku senatu rzymskiego, a więc stanowiska jęgo w dotychczasowym ustroju rzeczypospolitej nie zmieniła.

— Akademia umiejętności w Krakowie odbyła w dn. 17 stycznia r. b. posiedzenie wydziału filologicznego pod przewodnictwem d-ra Estrejchera. Nadesłaną przez Antoniego Kalinę rozprawę p. Bruchnalskiego, p. t.: „Legenda aurea w literaturze polskiej XV w.,” uchwalono przyjąć do pism wydziału, z zastrzeżeniem pewnych zmian co do języka, oraz wyjaśnienia niektórych szczegółów. Na posiedzeniu administracyjném wydział wyznaczył referentów do rozbioru prac nadesłanych na konkurs imienia S. B. Lindego. Dnia 18 stycznia odbyło się pod przewodnictwem prezesa Akademii, d-ra Majera, posiedzenie komisji językowej, na którém powzięto ostatecznie uchwały w sprawie pisowni polskiej. Wnioski swe przekazała komisya do wszechstronnego zbadania komitetowi, wyznaczonemu w tym celu przez Akademią na walném posiedzeniu w dniu 15-go listopada 1884 r.

— Dnia 1 stycznia r. b. wyszedł z pod prasy zeszyt 61 (1 tomu 6-go) „Słownika geograficznego polskiego“ i obejmuje opis miejscowości od Malczyce do Matuszyce. Z obszerniejszych artykułów zeszyt ten zawiera: Malechów, Malejowce, Malin, Malinin, Małkowy, Maławieś, Małkowice, Małogoszcz, Małopolska, Małorus.

— W Pradze wyszło w osobnej odbitce z poważnego wydawnictwa „Kral. českéj Společnosti nauk w Pradze,” ważne dla historii polskiej studyum uczonego senatora R. Hube, p. t.: „Księgi ziemskie i grodzkie wieku XIV w Polsce.“ Praga, 1884, 4<sup>o</sup>, str. 8. Akademia czeska uznała za właściwe ogłosić tę pracę nie w przekładzie czeskim, lecz w języku polskim w swoich rocznikach. Tak samo postąpiła sobie redakcja „Książki jubileuszowej dla uczczenia 50-letniej działalności naukowej prof. d-ra Szokalskiego“, zamieszczając rozprawę prof. uniwersytetu praskiego, d-ra J. Schnöbla, w języku czeskim. Taki objaw wzajemności czesko-polskiej na polu naukowym może przynieść bardzo pożądane owoce dla postępu nauki i wzrostu oświaty w literaturze obydwóch narodów.

— Według ogłoszonej statystyki szkół gimnazyalnych i realnych, posiada Austria obecnie 171 gimnazyów (o 2 więcej niżli w roku przeszłym). Z tych, w 96 zakładach językiem wykładowym jest język niemiecki, w 38 czeski, w 23 polski, w 4 włoski, w 1 ruski, w 1

serbsko-kroacki, w 6 wreszcie gimnazyach odbywają się wykłady w dwóch językach. Do gimnazyów i szkół realnych uczęszcza ogółem 55,946 uczniów (w roku zeszłym 55,247). Liczba szkół realnych wynosi 85, (o jedną mniej niż zeszłego roku) a mianowicie 19 niższych szkół realnych i 66 wyższych. W 59 szkołach realnych wykład odbywa się w języku niemieckim, w 16 w czeskim, w 5 w polskim, w 4 we włoskim, w 1 w serbsko-kroackim. Ogółem uczęszcza do szkół realnych 17,049 uczniów (w roku zeszłym tylko 16,574).

— Wychodźstwo żydów do Palestyny. Posłowie tureccy zagranicą rozesłali do podwładnych sobie konsulów okólnik, w którym piszą: „Wobec zamętu, spowodowanego w Palestynie nawałem izraelitów, ze wszystkich stron świata przybywających tam dla osiedlenia się, rząd cesarski zabronił tymże wychodźtwa do téj prowincyi państwa ottomańskiego. Mimo to niektórym z nich powiodło się, pod pozorem pielgrzymek lub interesów handlowych, uzyskać wstęp do tego kraju i następnie tam się osiedlić. Aby tedy potożyć kres tym stosunkom, rząd cesarski postanowił przybywającym z zagranicy izraelitom jedynie pod następującemi warunkami dozwolnić wstępu do Palestyny: 1) W paszporcie ich musi być powiedzianém wyraźnie, że udają się do Jerozolimy jako pątnicy, nie zaś dla zajmowania się tam handlem. 2) Pobyt ich w Palestynie nie może pod żadnym warunkiem trwać dłużej, nad jeden miesiąc. Paszporty, w duchu powyższych warunków wystawione, winni izraelici przedstawiać do wizowania właściwym konsulom tureckim, a za przybyciem na miejsce postarać się u właściwych władz tureckich o kartę pobytu i t. d. Okólnik dodaje, że Palestyna w ogólności nie jest polem dla handlarzy, a ci, którzy handel podają jako powód swojego tam pobytu, ukrywają tylko pod tym pozorem rzeczywistą chęć osiedlenia się w téj ziemi.

---

## N e k r o l o g i a.

— † Ś. p. *Gustaw Piotrowski*, zmarły 30 grudnia 1884 r. w Krakowie, profesor fizjologii i mikroskopii w uniwersytecie Jagiellońskim, członek czynny Akademii umiejętności i senior wydziału lekarskiego wspomnianego uniwersytetu, urodził się w Tarnowie dnia 1 marca 1833 r. Początkowe nauki pobierał w domu rodzicielskim, następnie uczęszczał do gimnazjum w Tarnowie i uniw. w Wiedniu, gdzie słuchał wykładów na wydziale lekarskim. W r. 1856, złożony pierwszy egzamin lekarski, został prywatnym asystentem ówczesnego profesora fizjologii w uniwersytecie krakowskim, Czermaka, którego katedrę zajął w maju r. 1860. Jako asystent ogłosił rzecz o badaniu białka i wspólnie z Czermakiem rzecz o ruchach serca. Wspólnie z Helmholtzem w Heidelbergu wydał rozprawę o tarcu się płynów. W r. 1865 ogłosił drukiem swoje wykłady akademickie p. t.: „Fizjologia ludzka w zarysie.” Prócz powyżej wymienionych, ogłosił jeszcze wiele innych prac naukowych, które zjednały mu poważne imię w nauce; jakoż Akademia umiejętności od pierwszej chwili powołała go do grona czynnych swych członków. Zastługom tym naukowym i wypróbowanej prawości charakteru, zawdzięczał zmarły wielokrotne godności akademickie. Pełen głębokiego poczucia obowiązków obywatelskich, nie usuwał się ś. p. Piotrowski od udziału w sprawach publicznych, gorliwie pełnił mandat poselski na sejm i z wyboru sejmowego do rady państwa, a jako długoletni członek komitetu Towarzystwa rolniczego krakowskiego, w ostatnich zaś czasach, jako kurator szkoły czernichowskiej, rozliczne położył zasługi. Cześć jego pamięci!

— † Ś. p. *Feliks Wicherski*, jeden z najczynniejszych literatów z epoki Rzewuskiego i M. Grabowskiego, umarł w pierwszej połowie stycznia r. b. w Paryżu. Ś. p. Feliks urodził się w Wilnie 1820 r. Studya uniwersyteckie ukończył w Moskwie na wydziale filologicznym, poczem osiadł w Petersburgu, gdzie dla literatury polskiej nie małe położył zasługi jako krytyk i sprawozdawca ruchu

umysłowego w „Gwieździe“ i „Tygodniku petersburskim,“ w których drukował poezye swoje. Z większych prac jego zasługują na pamięć: 1) „Poezya“ pod pseudonimem Ostapowicza. Petersburg, 1844. (Wydanie to zawiera oprócz drobniejszych wierszy dwa utwory sceniczne: „Młody człowiek“ i „Dymitr Wiśniowiecki“).—2) „Nowy harpagon,“ komedia w dwóch aktach. Petersburg, 1853 r.—3) „Korespondencye“ po angielsku z przekładem rosyjskim. London, r. 1869 (po francuzku w Genewie).—4) „Matka,“ zbiór poezyi. Bruksela, 1864.—5) „Miscelanea,“ Paryż, 1872. W rękopisie pozostawił dwa tomy „Miscelaneów.“ Cześć jego pamięci!

— † Ś. p. *Filip Sulimierski*, długoletni redaktor „Wędrowca,“ kierownik „Encyklopedyi wiedzy ludzkiej“ oraz „Słownika geograficznego,“ zmarł dnia 8-go stycznia r. b. w Warszawie na aneryzm serca, w 41-ym roku życia. Ś. p. Sulimierski urodził się w Sieradzu r. 1844, nauki gimnazyalne odbywał w Piotrkowie, uwięczył zaś wykształcenie swoje na wydziale fizyczno-matematycznym szkoły głównej warszawskiej, z której wyszedł magistrem. Po ukończeniu nauk objął kierunek „Wędrowca,“ któremu z razu jako redaktor, a następnie i jako wydawca przewodniczył przez lat kilkanaście. „Encyklopedya wiedzy ludzkiej,“ wydawana przez Józefa Ungra, pod nominalnym kierunkiem redakcyi „Tygodnika ilustrowanego“ i „Wędrowca,“ ale rzeczywiście pod kierunkiem osobistym Sulimierskiego, odznaczała się staranném opracowaniem części przyrodniczej. Najznakomitszém jednak przedsięwzięciem Sulimierskiego, któremu ostatnie lata życia swojego poświęcił był „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i krajów przyległych“ (doprowadzony do litery M.), zawierający już pięć ogromnych tomów. Ś. p. Filip, pełen gorących intencyi obywatelskich, pragnął i na polu publicystyki robić dobrze dla kraju: próbował tedy wśród postępowego prądu redagować gazetę „Nowiny,“ ale wnet porzucił tę drogę. Zwolennik gruntownej nauki i postępu na gruncie narodowym, skłaniał się do kierunku pozytywistycznego w prasie naszój; ale uznawał jednak zasługi i tych, z którymi się różnił w poglądach na sprawy społeczne i kwestye filozoficzne. Biblioteka Warszawska drukowała w ostatnich latach kilka cennych prac ś. p. Filipa, równie jak i „Niwa.“ „Pamiętnik fizyograficzny“ tudzież „Wszechświat,“ cieszyły się gorliwém jego współpracownictwem. Cześć jego pamięci!

— † Dnia 13-go stycznia r. b. zmarł w Warszawie zasłużony na polu wydawnictw artystycznych, *Józef Łoski*, były radca dyrekcji głównej Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Urodzony w r. 1827-ym w Krakowskiém, po ukończeniu szkół i zakładu agronomicznego w Hohenheim, osiadł na Podlasiu i tam łan ojczysty uprawiał. W chwilach wolnych od pracy zajmował się archeologią sztuki i badał pomniki naszój przeszłości umysłowej. Z pomiędzy wyda-

wnictw jego wymieniamy: „Genealogią portretową Sapiechów“ (1856), „Cerkiew zamkową w Kodniu,“ „Bibliotekę muzeum Świdzińskiego“ i „Życiorys Wojciecha Jakubowskiego.“ W „Bibliotece Warszawskiej“ Łoski pomieścił kilka cennych rozpraw do historii sztuki i starożytności polskich. Najcenniejszą jego publikacją były „Ryciny polskich i obcych rytowników.“ Wydawnictwo to, specjalnym sposobem (fotodrukowym) wykonywane, obejmuje cenne podobizny prac sztycharzy naszych z dwóch ostatnich wieków i stanowi żywy monument polskiego arcyzmu w tej epoce. Genealogią własnego rodu skreślił w broszurce „Franciszek z Łosia Łoski, podkomorzy warszawski, regent korony.“ Do zajmujących prac jego należy biografia ks. Pawła Szymańskiego, wydana przez Bergera. Zmarły oddany swjej specjalności, interesował się jednak wszystkiem co kraju tyczyło. Skromny, nie dbał o reklamę. Do swoich „Rycin“ przygotował tekst objaśniający w języku francuzkim p. t. „Gravures du XVII et XVIII siècle, portraits de personages historiques,“ wydany w r. 1878-ym. Z powodu jubileuszu Sobieskiego Łoski wydał podobiznę pomnika bohatera, podług fotografamów, zdjętych w Wiedniu z rzeźby Piotra Vanneau, o czem szczegółowie drukował studyum w Bibl. Warsz. Zebrane przezzeń z tegoż powodu najrozlicniejsze pamiątki, odnoszące się do wyprawy wiedeńskiej, wyszły jego staraniem w dziewięciu zeszytach p. t. „Jan Sobieski, jego rodzina, towarzysze broni i współczesne zabytki.“ W kilkuset drzeworytach zgromadzono tu razem co najcenniejsze zabytki rozrzucone po świecie: a tekst pióra Łoskiego, podobnie jak poprzedni, dostarczył historykom niemało rzeczy nowych, wydobytych ze źródeł przedtém nietykanych. Była to najpiękniejsza, ale niestety! i ostatnia już praca Łoskiego. Oddawna trawiony chorobą, padł w walce między nią a pracą, jak przystało na dobrego ryacza. Niech odpoczywa w pokoju!

— † Ś. p. książd *Kacper Borowski*, biskup płocki, starzec ośmdziesięcio-kilkoletni, najstarszy z biskupów naszych, zmarł d. 15 stycznia w Płocku. Ś. p. K. urodził się 6 stycznia 1802 roku, pierwiastkowe wykształcenie odbierał na Białorusi, w roku 1830 otrzymał święcenia kapłańskie i od téj pory zajmował się ustawicznie pracami swego powołania i pracami naukowemi. Przez kilka lat pracował w parafiach niemieckich, a od roku 1833 aż do roku 1848 sprawował ciężki obowiązek profesora naprzód w akademii duchownej wileńskiej, a potém w petersburskiej. W roku 1848 ks. Borowski otrzymał prekonizacyą na biskupa łucko-żytomierskiego. W roku następnym odwiedził katedry swjej dyecezyi w Łucku i Żytomierzu, wizytował obszerną dyecezyą, pracował nad dobrem materyalném i moralném swoich dyecezyan, zakładając instytucye dobroczynne i czuwając nad czystością nauki i nad przykładem duchowieństwa parafialnego. W r. 1883 został powołany do pracy biskupiej w Pło-

cku. Umysł głęboko wykształcony zwracał się na drogę praktyczną życia; mało pisał, choć władał językiem Skargi jak nikt lepiej z żyjących dostojników Kościoła naszego. Z pism ś. p. ks. biskupa B. zasługują przedewszystkiemi na uwagę przekłady z oryginału greckiego, a mianowicie „Pism mężów apostołskich, Klemensa Rzymskiego, Ignacego i Polikarpa biskupów,“ przytém „Dziejów męczeństwa“ dwóch ostatnich i listu do Djoneta. Redakcyja „Przegl. katol.“ posiada kilka próbek poetycznych nieboszczyka; są to przekłady poematów ś. Grzegorza Nanzyańskiego, skreślone z głębokim uczuciem i prostotą w nadobnej formie. Pracą tą nieboszczyk dostojny skracał sobie czas w Permie. Niektóre jego nauki z czasów kapelaństwa przy akademii miane do alumnów, są wzorami retoryki i odznaczają się niepospolitą erudycją kościelną. Tutaj przedewszystkiemi należy „Syn marnotrawny“ drukowany w „Pam. Rel. Mor.“ (zeszyt październik r. 1852). Pierwsze dwa listy pasterskie, po ingresach w dwóch dyecezyach, ogłosił ks. Kacper w Petersburgu w r. 1848. W „Pam.“ znajdują się także dwie cenne rozprawy: „O Sakramencie Pokuty“ (t. 28 str. 527) i „O godności stanu duchownego“ (t. 29 str. 5). Z prac katechetycznych notujemy; „Katechizm rzymsko-katolicki“ pod pseudonimem Chwaliboga wydany w Żytomierzu w „Bibl. Dom.“ zaś r. 1860 Katechizm mniejszy w Wilnie t. r. W rękopisach dostojny nieboszczyk zostawił przekład rozprawy z niemieckiego, dotyczącej krytyki kościelnej, oraz ocenę Rankego z punktu katolickiego. Dobry syn kraju, uczony kapłan niech w Bogu odpoczywa!

— † Dnia 17 stycznia 1885 r. umarł w Warszawie *Antoni Edward Odyniec*, licząc 80 lat wieku. Działalność ś. p. Edwarda w literaturze jest tego znaczenia, że prace jego zasługują na szczegółowe studyum równie dla swój wartości jak i ze względu na idee epoki i kierunków, jakie w sobie zawierają. Redakcyja „Bibl.“ utraciła w zmarłym nie tylko jaknajżyczliwszego przyjaciela i współpracownika, ale i gorliwego „Członka-redaktora.“ Poświęcając w tém miejscu pamięci zmarłego słowo czci i żalu, musimy się ograniczyć na główniejszych tylko momentach jego żywota pod względem biograficznym i literackim. Ś. p. A. E. O. urodził się d. 25 stycznia roku 1804 w Giejstunach w pow. Oszniańskim gub. wileńskiej. Wykształcenie szkolne pobierał w blizkiem, małym miasteczku Borunach, gdzie księża Bazylianie utrzymywali wzorową szkołę podwydziałową, tłumnie nawiedzaną. Po ukończeniu téj szkoły udał się 17-to-letni młodzieniec do uniwersytetu wileńskiego, aby podług woli ojca poświęcić się nauce prawa. Podobnie jak Mickiewicz znalazł się Odyniec — wbrew zamiarom rodziny — na wydziale literackim. Czytelnikom „Biblioteki“ nie potrzebujemy przypominać téj atmosfery świetlanej, a cieplej „przyjaciół cnoty“ (filaretów), wśród której tak szczęśliwie kształcili się najznakomitsi twórcy naszej nowszej poezyi. Nieboszczyk zajmował tu między Zanem, Czeczotem, Mickiewiczem i t. in,



niepoślednie miejsce, jak nam to nie tak dawno opowiedział w „Bibl.” Teofil dr. Ziemia. Muza ś. p. E. rwała się rychło (od r. 1822) do pieśni i przechodziła koleje, towarzyszące zwykle rozwojowi nawet wielkich geniuszów. Pod wpływem idei romantyzmu pisał Odynieć ballady, wiersze okolicznościowe („Kasino,” wiersz na dochód Tow. dobroczynności, wydrukowany w Wilnie 1823) i drobniejsze przekłady poetów obcych, które wydał p. t.: „Poezye“ A. E. O. (2 t., Warsz. i Wilno, 1825, t. II, Wilno, 1826). Przeniósłszy się do Warszawy (r. 1826), zastał tutaj gorący spór romantyków z klasykami, w którym nie brał wybitniejszego udziału, ale mimo to służył korzystnie rozpowszechnianiu się romantyzmu w piśmie zbiorowém, które jako Noworocznik począł wydawać w Warszawie p. t.: „Melitele“ (3 t. 1829, 30, 31 i w Lipsku 1839, t. 4). Mieszczą się tu utwory najznakomitszych przedstawicieli szkoły romantycznej (Mickiewicza, Słowackiego, Zaleskiego i i.) i ogłosił dramat 3-aktowy „Izora,” osnuty na tle wieków średnich (Warsz., 1829). Wyjechawszy za granicę z Mickiewiczem, którego od pierwszej młodości był najserdeczniejszym wielbicielem i przyjacielem, bawił tam, przeważnie w Dreźnie, do r. 1836, ogłaszając swoje wzorowe tłumaczenia takich poetów jak: Walter Scott („Dziewica jeziora,” „Pieśń ostatniego minstrela”), Byron („Naręczona z Abydos,” „Korsarz,” „Niebo i ziemia,” „Mazepa”), Moore („Czciciele ognia,” „Raj i Peri“ ballady) i Schillera („Dziewica Orleańska”). Tłumaczenia te (wyszły w Lipsku 1838—1844 w 6-ciu tomach, wyd. drugie w Warszawie u Gebethnera i Wolffa, 1874, t. 4) wstawiły imię Odyńca bardziej i trwalej niżeli utwory oryginalne; ponieważ tłumacz-poeta potrafił w nich uwydatnić geniusz, myśli, ducha i wykwintną formę autorów w pięknym języku i w jaknajwdzięczniejszej budowie wiersza. W tymże czasie uskutečnił nowe wydanie wskazanych już powyżej „Poezyi“ (Parnas nowy polski, oddział 2-gi), Poznań, 1832, oraz ułożył zbiór nabożeństwa katolickiego, pod tyt.: „Ołtarzyk rzymsko-katolicki,” Lipsk, 1846; drugie wyd. Lipsk, 1857; trzecie w Warszawie u M. Orgelbranda, 1875. Z Drezna dopomagał Bobrowiczowi do wydawania w Lipsku „Biblioteki klasyków polskich;“ ztamtąd przysposobił wydawnictwo „Przyjaciela ludu“ u Günthera w Lesznie w W. Ks. Poznańskim. Wydawnictwo to pomimo niedopuszczenia Odyńca do redakcyi przez rząd pruski, stało się najpożyteczniejszą publikacją polską pod owe czasy (1834 — 1850) przy stałym współpracownictwie ś. p. Edwarda. Po powrocie do kraju w r. 1837, tudzież po krótkim pobycie w Warszawie, zamieszkał Odynieć w Wilnie, gdzie redagował przez dwa lata „Encyklopedyą powszechną,” wydawaną przez Glücksberga (lit. A. B. C.). Po śmierci Marcinińskiego powołany został na redaktora „Kuriera wileńskiego“ (od r. 1840 — 1860), powstałego na miejscu „Kuriera litewskiego,” który tu od roku 1760 wychodził. Publicystyka nie była atoli odpowiedniem zadaniem dla umysłu Odyńca; dolatywało nas téż niekiedy ztamtąd echo nieopatrznego słowa, po którym poeta chro-

nił się z utworami swojemi na przyjaźniejsze dla swojej muzy niwę „Rocznika“ petersburskiego, „Pamiętnika“ Podbereskiego i różnych pism zbiorowych warszawskich. W r. 1850 wydał w Wilnie „Troje rymów JMCP. Junoc. Staruszkiewicza.“ W téj téż epoce Odyniec, powróciwszy do zaniedbanego od wielu lat dramatu, napisał szereg wielkiej wartości utworów literackich w formie dramatycznej, jako to: 1) „Felicyta,“ czyli męczennicy kartagińscy. Dramat w pięciu aktach; Wilno, 1849 (wyd. 2-gie, Poznań, 1858. Wyd. 3-cie, nakł. Przegl. katol., Warsz., 1880). 2) „Barbara Radziwiłłówna,“ czyli początek panowania Zygmunta Augusta, poema dramatyczne w 6-ciu aktach z prologiem. Wilno, 1858; 3) „Jerzy Lubomirski,“ czyli wojna domowa w Polsce, dramat histor. w dwóch częściach z prologiem, Wilno, 1861. Oprócz tego nieogłoszone: początek „Krzyżaków,“ i plan dramatu z czasów Kazimierza Jagiellończyka. Dramata Odyńca nie są utworami scenicznymi, ale poematami dyalogowanymi, których wartość leży w podniosłej myśli zasadniczej, w szlachetnym nastroju uczucia i w cudnie pięknym języku. Z téj epoki należy jeszcze zaznaczyć wiersz humorystyczny, p. t.: „Panu a panu na tym padole: na Jaszunach i Ruczaju, Michałowi Balińskiemu na parnasia: na łopacie szubrawskiej, Auszłasisowi etc. etc. R. 1855. Lutego 9 na popielec po przebyciu zapust w Jaszunach.“ Wilno, u Zawadzkiego (tylko kilkadziesiąt egzemplarzy odbito). W tymże czasie uskutečnił nowe, pomnożone wydanie swoich drobniejszych poezyi w Zbiorze: Skarbczyk poezyi polskich t. XII. Petersb., 1850; — toż samo w Wilnie, 1859 r. Wydanie 4 poprawione i pomnożone t. 2. Warsz. Gebethner i Wolff. r. 1875. W r. 1858 należał Odyniec także do wydania „Album Wileńskiego.“ W r. 1863-im przełożył Odyniec z pieśni Reinecka: „Lube ptaszęta“ i „Widzenie.“ Muzyka Th. Kahle, Wilno, 1863. Osiadłszy w r. 1866-ym w Warszawie próbował Odyniec jeszcze raz zawodu redaktorskiego, gdy po ustąpieniu K. Kucza „Kuryer Waszawski“ musiał sobie nowego szukać kierownika; lecz niebawem przekonał się poeta, że gromadzenie codziennych, powszednich wiadomości lokalnych nie jest dla niego odpowiedniem polem i usunąwszy się z tego stanowiska, wybrany członkiem-redaktorem „Bibl. Warsz.“ wspierał literackie usiłowania tego wydawnictwa. Oprócz luźnych drobnych wierszyków („Do Kazimierza Wójcickiego“ 7 października 1869 Warsz., „Poeta i Panienci“ w Krak. 1879. „Z Rabki: Rabskie wróżki bosonóżki, krakowiaczek rabski.“ Krak. 1879), tudzież kilku utworów poetycznych, paru życiorysów oraz „Wspomnień“ o Stef. Witwickim i Stef. Garczyńskim w „Kłosach,“ brał najżywszy udział w pracach redakcyjnych „Kroniki Rodzinnéj.“ W piśmie tém składał téż nieocenione swoje, że tak powiemy, pamiętniki, które odtwarzając na szerokim idealnym widnokregu ową wdzięczną atmosferę minionéj co tylko epoki, dostarczyły nam nietylko charakterystycznych rysów, ale i nieocenionych wiadomości autentycznych do wszechstronnego zbadania początku i wzrostu naszej poezyi narodowéj w bieżącym stuleciu.

Skarbem tym są: 1) „Listy z podróży“ t. 4. T. 1 i 2-gi z Warszawy do Rzymu, t. 3 ci z Rzymu; t. 4 z Neapolu do Genewy. Warszawa. 1875—1878. 2) „Wspomnienia z przeszłości, opowiadane Deotymie.“ Warszawa, 1884. Ś. p. E. zebrał w tych dziełach wszystko, co się odnosiło do całej plejady poetów, krążących około Adama Mickiewicza jak planety koło słońca, a uczynił to z właściwą sobie skromnością, nigdy siebie na pierwszy widok nie wysuwając. Wierny Bogu i ideałom, które sobie w młodości pod wpływem swego druha wypieścił, był tyle szczęśliwy, że, uznając potrzebę postępu na gruncie tradycji narodowych, przekazał te ideały swojej młodości niepokalane młodszemu pokoleniu, aby ich nie przestało kochać i całą duszą pielęgnować na tej ziemi, którą dostojny poeta z religijną miłością, wiarą i nadzieją tak spokojnie żegnał! Oby mu ta ziemia lekką byłą! „Non cum corpore exstinguuntur magnae animae. Placide quiescat!

— † Dnia 26 stycznia 1885 r. umarł w Warszawie *Eugeniusz Żmijewski*, uzdolniony technik, zasłużony obywatel i pisarz utalentowany. Ś. p. Eugeniusz urodził się dnia 17-go listopada 1816 r. we wsi dziedzicznej rodziców swoich, Żmijewo, w guberni Płockiej z ojca Feliksa i matki Karoliny z Broniewskich. Nauki gimnazjalne pobierał w Łomży, wyższe zaś zbierał w Krakowie. W r. 1838-ym po jednorocznym pobycie w Warszawie wyjechał na Wschód i lat 18-cie najpiękniejszej młodości przepędził w Nerczyńsku w głębokiej Syberji, gdzie jako zdolny technik odbywał po placarach i tajgach tamtejszych poszukiwania min złota. W drugiej połowie tego ciężkiego okresu zwiedził ś. p. Eugeniusz najodleglejsze krańce Syberji północno-wschodniej i z owego czasu pochodzą wyborne opisy tego rozległego kraju, które wydał p. t. „Sceny z życia koczującego.“ Warsz. 1859 t. 2, t. 3 1862. Żm. w ostatnich jeszcze latach drukował opowiadania swoje z tych wędrowek pod rozmaitemi tytułami (np. „Współka,“ „Dauria“ przeważnie w gazecie „Wiek.“ Powróciwszy do kraju w roku 1858, po chwilowym pobycie w Suwałkach udał się na Ukrainę i tam zajmował się gospodarstwem u Stanisława hr. Potockiego; po śmierci Potockiego u Romana ks. Sanguszki na Wołyniu, z którym go łączyły stosunki dawnego koleżeństwa. Po śmierci ks. Romana powrócił ś. p. Eugeniusz do Warszawy z gorącą chęcią pracy dla utrzymania siebie i rodziny. Znalazłszy skromną posadę w biurach drogi żelaznej nadwiślańskiej, począł pracować także na polu literackim. Żm. pracował w cichości i drukował zwykle utwory swoje bezimiennie. Do celniejszych jego powieści należą „Ordegowie“ (Tygod. romansów i powieści). „Z czarnej godziny.“ Powieść z niedawnej przeszłości. Przez Feliksa (imię ojca) Śrzeniawitę (herb rodzinny) (w Bibliotece Warszawskiej roku 1883). Pomniejsze utwory drukowała „Niwa.“ Opowiadania i powieści ś. p. Eugeniusza odznaczają się wierną obserwacją stosunków i społeczeństwa, które kreśli, oraz

kolorytem natury, pełnym prawdy życia, a wszystko to osłonięte jakimś nieco uśmiechniętym humorem, który nadawał opowiadaniom ś. p. Eugeniusza, jakkolwiek nie odznaczającym się głębszą analizą psychologiczną, urok szczególny a wdzięczny. Wiadomo nam, że ś. p. Eugeniusz pozostawił w rękopisie dwie powieści historyczne, jedną z czasów Zygmunta III-go, a drugą z czasów Zygmunta Augusta p. t. „Stanisław Kmita,“ których wydanie zubożyłoby literaturę i przyniosłoby korzyść rodzinie, łagodząc jej swój żal tylko tém jedyńm skromnym dziedzictwem. Nie wątpimy, że ziemia lekką będzie synowi, który jój z taką miłością wytrwale i zaszczytnie służył!

---

*Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**